



UCIEKAJ  
UKRYJ SIĘ  
WALCZ

APRIL  
HENRY



APRIL HENRY

UCIEKAJ

UKRYJ SIĘ

WALCZ

PRZEŁOŻYŁA

**Agnieszka Lipska-Nakoniecznik**



Tytuł oryginału: ***Run, hide, fight back***

Projekt okładki: *Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN*

Redakcja: *Maria Śleszyńska*

Redakcja techniczna: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz, Maria Śleszyńska*

Zdjęcia na okładce:

© Lianhao Qu/Unsplash

© Nilufer Barin/Arcangel Images

Copyright © 2018 by April Henry

Published by arrangement with Henry Holt Company.

Henry Holt® is a registered trademark  
of Macmillan Publishing Group, LLC.

All rights reserved.

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2020

© for the Polish translation by Agnieszka Lipska-Nakoniecznik

ISBN 978-83-287-1210-2

Wydawnictwo Akurat

Wydanie I

Warszawa 2020

*Mojemu ojcu, Hankowi Henry'emu (1923–2003),  
prawemu człowiekowi z zasadami,  
dla którego najważniejsze było,  
aby codziennie każdemu z nas powiedzieć: „kocham cię”.*



## Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

„Florida Today” 18 stycznia 2015

Ocaleć

Sto sześćdziesiąt kilometrów

Jest ich tak wiele

Czas, by umrzeć

Jak strzelanie do kaczek

Ze względu na krew

To nie może być prawda

Czekając na śmierć

Panika

Żadna z tych osób

W pułapce

Gra wideo

Jakby zależało od tego jej życie

Zanim on nas zobaczy

To twój szczęśliwy dzień

To tylko skorupa

Najlepsze na świecie reality show

Jak długo

Bez względu na to, co się wydarzy

To ja będę decydował

Wszystko, żeby przetrwać

Po raz ostatni

Odkrycie największej tajemnicy

Oni chcą, żebyśmy w to wierzyła

Jaki jest naprawdę

Dla ludzi takich jak wy

Przypuszczam, że mówi

Obudź się!

Uprzedzaliśmy, co się stanie

Powoli, powoli

Wszystko jest pod kontrolą

Wszyscy pójdziecie ze mną

To ostatnia rzecz, której będą się spodziewać

Wszystkich nas nie zastrzelą  
Walczyć do końca  
My nie uciekamy  
Jeśli chcesz nas okłamać  
Każdy trzask i każdy stukot  
Szanse bliskie zeru  
Nigdzie nie jest bezpiecznie  
Nie miałem pojęcia  
Dokładnie tam, gdzie trzeba  
Niczego poza oddechem  
Stworzona jedynie do zabijania  
Naprawdę wierzyłeś  
Tylko kilka centymetrów  
Już go nie ma  
Nie ustępuje  
Na spuście  
To koniec  
Tego już za wiele  
Morderstwa i uzięcie zakładników w Fairgate Mall  
Razem możemy coś zmienić

*Od autora*

# „Florida Today”

## 18 stycznia 2015

---

Po wybuchu sobotniej strzelaniny w centrum handlowym Melbourne Square na miejsce zdarzenia błyskawicznie przybyły dziesiątki funkcjonariuszy policji z okolicznych posterunków, którzy nieśli pomoc klientom centrum, a także zamknęli dostęp do budynku. W tym samym czasie do przeszukania obiektu przygotowywał się specjalnie przeszkolony oddział antyterrorystów...

Jak poinformował szeryf hrabstwa Brevard Wayne Ivey, ze szkoleń i doświadczenia służb wynika, że obywatele, którzy znajdują się w zamkniętej przestrzeni z uzbrojonym w broń palną napastnikiem – tak jak to przydarzyło się dziesiątkom klientów i pracowników centrum handlowego, kiedy rozpętała się strzelanina – często mają do wyboru trzy możliwości: uciekać, ukryć się albo walczyć.

Nawet jeśli agresor ma broń, a ty jesteś nieuzbrojony, sytuacja nie jest beznadziejna. Znanych jest wiele przypadków strzelanin, w czasie których obecni na miejscu zdarzenia ludzie zdołali obezwładnić napastnika i ujść z życiem. Szkolimy cywili, by starali się osaczyć sprawcę, a także by wykorzystali inne taktyki, takie jak zajęcie miejsca w pobliżu drzwi, poza zasięgiem wzroku, i podjęcie próby odebrania napastnikowi broni, gdy tylko wejdzie on do pomieszczenia.

Skuteczność tych metod została zaprezentowana w naszej analizie ataku z wykorzystaniem broni palnej na Uniwersytecie Stanowym Wirginii w 2007 roku. W tym przypadku napastnik zaatakował lub próbował zaatakować pięć sal wykładowych. Ludzie obecni w każdej z nich zareagowali w różny sposób. W pomieszczeniu, które jako pierwsze było celem ataku, nikt nie podjął żadnych działań obronnych, w wyniku czego zastrzelonych zostało 92% obecnych w nim osób. W innej sali, gdzie studenci zdołali przepchnąć ciężkie biurko i zablokować nim wejście, napastnik otworzył ogień przez drzwi, jednak nikt nie zginął.

Fragment raportu prof. Pete'a Blaira z Uniwersytetu Stanowego w Teksasie pt. *Działania policji w razie incydentu z użyciem broni palnej* opublikowanego na Forum Badawczym Policji



marzec 2014 r.

Kiedy wróg zbiera siły, przygotuj się do odparcia ataku. Kiedy jest mocny, unikaj go. Próbuj rozgniewać generała wrogich wojsk, postaraj się wprowadzić go w błąd. Udawaj słabego, aby nabrał zuchwałej pewności siebie. Kiedy jest spokojny, rozdrażnij go. Jeśli zjednoczył siły, postaraj się je rozdzielić. Zaatakuj, kiedy wróg nie będzie przygotowany, zjawiaj się tam, gdzie się ciebie nie spodziewa.

Sun Tzu (V w. p.n.e., chiński generał, strateg wojskowy i filozof), *Sztuka wojny*

# Ocaleć

KIEDY PADAJĄ STRZAŁY, w Fairgate Mall znajduje się sześcioro nastolatków: Miranda Nash, Cole Bond, Javier Ramirez, Parker Gray, Amina Omar i Grace Busby.

Jedyne, co ich łączy, to chęć przetrwania. Jednak nie wszystkim uda się ocaleć.

# Sto sześćdziesiąt kilometrów

godzina 15.37

**S**to sześćdziesiąt kilometrów od Fairgate Mall w Portland autostradą międzystanową numer 84 pędzi na zachód ciężarówka z naczepą. Osiemnastokołowiec jest biały, nie ma żadnego oznakowania. Całkiem anonimowy.

Tak jest bezpieczniej. Bezpieczniej dla trzech uzbrojonych strażników siedzących na drewnianej ławce wewnątrz ciężarówki. Bezpieczniej dla ładunku, składającego się z rzędów czarnych pojemników wypełnionych sztabkami metalu, z których każda rozmiarami przypomina tackę na kostki lodu.

W niektórych pojemnikach znajdują się sztabki srebra. W innych jest czyste złoto.

Jeden pojemnik ze złotem waży trzydzieści dziewięć kilogramów i jest wart milion sześćset tysięcy dolarów.

Karl McKinley od lat o nich rozmyśla.

Raz w miesiącu ciężarówka odbywa podróż z Martin's Metal w Boise w stanie Idaho do zakładów przetwórczych w Vancouver w stanie Washington. Zakłady te obsługują producentów biżuterii od Portland po Seattle.

Kilka dni przed wyruszeniem ciężarówki w drogę Karl przekupił pracownika Martin's Metal, żeby ten zamontował w niej dwa dodatkowe urządzenia. Urządzenia, o których istnieniu konwojenci nie mają pojęcia.

Pierwszym jest nadajnik GPS, przytwierdzony do spodniej części podwozia za pomocą magnesu. Dzięki niemu Karl może wirtualnie śledzić ciężarówkę, nie wzbudzając podejrzeń pilnujących ładunku strażników.

Drugi znajduje się pod deską rozdzielczą, w miejscu przeznaczonym na nogi. Takie urządzenie w domach milionerów służy do odstraszenia włamywaczy. Aktywowane za pomocą pilota ma napęścić wnętrze kabiny piekącym gazem pieprzowym.

# Jest ich tak wiele

godzina 15.37

**G**otowe! – Konsultantka Clinique uśmiecha się do Mirandy Nash, odwracając lusterko w jej stronę. – Ten kolor naprawdę pięknie podkreśla oczy. Będzie pani świetnie wyglądać na świątecznych imprezach.

Powieki Mirandy pokrywa warstwa srebrzystego cienia, podkreślona grubą, soczyście zieloną kreską. W takim makijażu wygląda jak kosmitka. Piękna, z wielkimi, wyrazistymi oczyma, ale jednak kosmitka.

– Nie sądzi pani, że to trochę przesada? – Miranda przechyliła głowę na bok, nie zwracając uwagi na ból pulsujący w skroniach. Błada ciemnowłosa dziewczyna w lusterku robi to samo.

– Może faktycznie jest dość wyrazisty, ale pasuje pani.

Sprzedawczyni przypomina Mirandzie jej mamę. Niemłoda już, ale wciąż przystojną kobietę, która pazurami trzyma się swojej urody. Ekspedientka zdążyła ją otaksować wzrokiem, kiedy Miranda podchodziła do lady. Jej spojrzenie przesunęło się z drogich butów dziewczyny na logo markowej torebki. Przypuszczalnie obudziła się w niej nadzieja, że zdoła młodej klientce wcisnąć bazę, cienie, kredkę do oczu, tusz do rzęs oraz kilka produktów do pielęgnacji skóry.

– Czy mogę zobaczyć tamten podkład? – Miranda zdążyła już zarejestrować, gdzie co stoi, i teraz wskazuje produkt umieszczony w najdalszym miejscu. Taki, po który sprzedawczyni będzie musiała się odwrócić.

Szuflada tuż obok kolana Mirandy wypełniona jest smukłymi pudełkami z tuszem do rzęs. Gdy tylko sprzedawczyni odwraca się do niej plecami, Miranda błyskawicznie schyla się i otwiera szufladę, zupełnie ignorując fakt, że ten ruch nasilił ból głowy. Sięga w głąb, chwyta pół tuzina pudełek z tuszem i wsuwa je pod elastyczny bandaż, który ciasno opina jej talię. Bandaż znajduje się pod luźnym czerwonym swetrem w za dużym rozmiarze – takim, które mają zwyczaj ześlizgiwać się z jednego ramienia. Cała akcja trwa najwyżej pięć sekund.

Miranda już wcześniej stworzyła sobie w głowie mapę miejsc, w których zainstalowano kamery ochrony. Najbliższa znajduje się tuż za jej plecami, więc

dziewczyna bardzo się pilnuje, by nie odwrócić twarzy w tamtą stronę. Przy odrobinie szczęścia nikt nawet nie zauważy, że coś zniknęło, dopóki nie zaczną robić inwentaryzacji. Miranda wie, że nie wolno zostawiać pustych opakowań. Lepiej zabrać wszystko i pozwolić, żeby tamci snuli przypuszczenia, niż zostawić puste pudełko i dać im pewność.

Chcąc ostatecznie zbić sprzedawczynię z tropu, spędza w salonie dodatkowe pięć minut i udaje, że rozważa wady i zalety rozmaitych kosmetyków.

– Muszę się jeszcze zastanowić – mówi w końcu. – Chcę zobaczyć, jak ten makijaż będzie wyglądał późnym wieczorem.

Przez twarz konsultantki przemyka cień irytacji, szybko zamaskowany profesjonalnym uśmiechem, który jednak nie sięgnął oczu.

– Oczywiście.

Pewnie kobieta myśli teraz, że Miranda chciała jedynie za darmo poprawić sobie makijaż przed wieczorną imprezą. I nawet jeśli potem wróci i rzeczywiście coś kupi, zostanie to zapisane na konto innej sprzedawczynie. A ona bez sensu zmarnowała pół godziny.

Miranda czuje ukłucie wyrzutów sumienia. Ale przecież musi to zrobić. Zwyczajnie musi.

Ponieważ jest chora. Coraz bardziej chora.

Do spotkania z Matthew została jej jeszcze cała godzina. W jaki sposób mogłaby się nieco odprężyć? Może filiżanka kawy pomoże. Kawalek dalej, w głównym holu mieści się kawiarnia Perk Me Up.

– Poproszę podwójną latte – mówi do baristki. – Z dwoma dodatkowymi szotami.

Kobieta robi zdziwioną minę.

– To w sumie będą cztery.

Powinna spróbować na chwilę zamieszkać w głowie Mirandy. Tam już zresztą ktoś siedzi, z młotkiem w ręku.

– Tak, wiem. Ale to jest właśnie to, czego chcę.

Kiedy kobieta włącza ekspres do kawy ozdobiony choinkową błyskotką i sztucznym ostrokrzewem, Miranda opiera się o kolumnę. Piętnaście metrów dalej dostrzega jasną czuprynę Parkera i jej żołądek natychmiast zaciska się w supeł. Po tym, co wydarzyło się kilka tygodni temu, nie chce być zmuszona do rozmowy z nim. Nie chce spojrzeć mu w oczy. Na szczęście on odwraca się do niej plecami. Jest w towarzystwie paru chłopaków z drużyny zapaśniczej. Właśnie wstają od stolika, nie próbując nawet posprzątać bałaganu, który po nich został.

Parker teatralnym gestem podnosi nad głowę serwetkę, potrząsa nią, a potem pozwala, żeby sfrunęła na podłogę. Obserwuje go nie tylko publiczność składająca się z kolegów, lecz także pewien chłopak o oliwkowej skórze, ubrany w zielony fartuch. Kumple Parkera wybuchają śmiechem, zaś pomocnik kelnera tylko wbija wzrok w ziemię i chwyta za swój wózek. Miranda widzi, jak chłopak zaciska szczęki. Na wypadek, gdyby Parker jednak się odwrócił, dziewczyna szybko przesuwa się za kolumnę i staje oparta o nią, nie zważając na to, że bandaż nieprzyjemnie wrzyna się jej w talię.

Ten ruch przybliżyła ją do wolontariuszki Armii Zbawienia, stojącej z dzwonkiem w ręku obok czerwonego kociołka. W drugiej ręce kobieta dzierży slogan, który idealnie nadawałby się na naklejkę na samochodowy zderzak: „Razem możemy coś zmienić”. Cóż, starsza pani z pewnością mogłaby coś zmienić, gdyby zechciała przerwać swoje nieustające ding, ding, ding. Podzwanianie niezdolnie rezonuje w obolałej głowie Mirandy.

Przy stoliku stojącym jakieś sześć metrów dalej siedzą matka i córka. Jedzą jabłka. Osobliwy widok w miejscu, gdzie wszyscy dookoła spożywają potrawy smażone w głębokim tłuszczu albo pokryte rozpuszczonym serem, albo jedno i drugie.

Te dwie wyglądają jak bliźniaczki, choć dzieli je dwadzieścia pięć lat: obie mają ciemne oczy i długie brązowe włosy rozdzielone przedziałkiem na środku głowy. Włosy dziewczyny są ściągnięte do tyłu za pomocą białej gumki, matka zaś nosi swoje rozpuszczone. Nawet ubrane są podobnie, w dżinsy i koszule zapinane na guziki; matki jest niebieska, a dziewczyny biała. Miranda spogląda na nie spod zmrużonych powiek. Na prawym biodrze dziewczyny widać jakieś podłużne logo w wyblakłym kolorze, a na kieszonce na pośladku haftowaną na biało patkę. Chociaż Miranda stoi za daleko, żeby cokolwiek przeczytać, to i tak wie, czyj to znak: Stelli McCartney. Jeśli płacisz pięć setek za parę dżinsów, musisz mieć pewność, że każdy rozpozna markę.

Matka i córka pochylają się z uśmiechem ku sobie, wymieniając jakieś słowa i gestykułując dłońmi o smukłych palcach. Jak to jest być tak blisko ze swoją mamą? – zastanawia się Miranda. I czy sama miałaby na to ochotę? Skoro ubierają się tak podobnie, to może pożyczają od siebie ubrania, a jeśli tak jest, ciekawe, jak ta dziewczyna się z tym czuje? We własnym domu Miranda nauczyła się chować wszystko, co lubi, a co mogłoby zdenerwować jej matkę. Nie żeby po jej minie można było się czegokolwiek domyślić. Napakowała sobie w twarz tyle botoksu, że właściwie już nie jest w stanie się zezłościć. Ledwie udaje się jej unieść brwi. Najszczęśliwsza bywa wtedy, kiedy ktoś obcy spyta, czy przypadkiem nie jest siostrą Mirandy.



Mama bogatej dziewczyny podnosi do ust jabłko, żeby ugryźć następny kęs, i w tej samej chwili na jej piersi rozkwita jasnoczerwona plama wielkości zaciśniętej pięści.

Miranda mruga. Czerwona plama powiększa się, jakby to była jakaś magiczna sztuczka, którą trudno zrozumieć. Dopiero wtedy Miranda rejestruje dźwięki, nieomal zatopione w białym szumie bożonarodzeniowej muzyki i szmerze setek rozmów.

Bang! Bang! Bang!

Jakiś mężczyzna w gładkiej niebieskiej koszuli, siedzący dwa stoliki dalej, nagle chwyta się za ramię. Chuda staruszka pada na ziemię, przewracając chodzik i wyrzucając w powietrze kubek z logo sieci Jamba Juice.

Te dźwięki to odgłosy strzałów. Jest ich tak wiele i następują tak szybko, że Miranda nie daje rady ich zliczyć.

Z powrotem odwraca się do matki dziewczyny. Kobieta pochyła się z szeroko otwartymi oczyma, a na jej wargach pojawiają się krwawe bąbelki. Dopiero wtedy Miranda uświadamia sobie, czym jest plama na piersi nieznajomej.

To plama krwi.

# Czas, by umrzeć

godzina 15.52

**K**iedy chłopak z jasną czupryną urządza sobie przedstawienie, rzucając na podłogę papierową serwetkę, Javier Ramirez zachowuje kamienną twarz. Dzieciak najwyraźniej uważa się za prawdziwego twardziela.

Zupełnie jakby taki bzdet czy wymamrotana pod nosem obelga mogły zepsuć Javierowi humor na cały dzień.

Jakby nie miał prawdziwych zmartwień.

Co, jeśli jego oceny będą złe, chociaż tak ciężko pracował przez cały semestr? A jeśli w centrum handlowym zorientują się, że numer ubezpieczenia, który im podał, jest najzwyczajniej w świecie fałszywy? Albo po świętach Bożego Narodzenia obetną mu godziny?

Javier właśnie schyla się, żeby podnieść serwetkę, kiedy zza jego pleców pada pierwszy strzał. Zza niego i ponad nim. Kobieta w wieku czterdziestu kilku lat dostaje prosto w pierś.

Chłopak natychmiast rozpoznaje ten dźwięk.

Rzuca się na oślep. Dla wielu ludzi obecnych w strefie restauracyjnej nadszedł czas, by umrzeć.

# Jak strzelanie do kaczek

godzina 15.53

**S**trzały nie cichną.

W głowie Mirandy kłębi się mieszanina przepęlnionych panicznym strachem myśli. W miarę jak dociera do niej, co właściwie się wydarzyło, jej ciało sztywnieje. Dookoła ludzie padają na ziemię. Niektórzy są ranni. Inni martwi. Tuziny żywych pędzą w popłochu. Potykają się o krzesła. Wrzeszczą. Krzyczą. W panice uciekają najszybciej jak się da.

Bogata dziewczyna odpycha krzesło tak gwałtownie, że przewraca je z hukiem. Okrążywszy stół, rzuca się do swojej mamy i próbuje ją podtrzymać, gdy tamta ześlizguje się na podłogę. Klatkę piersiową matki pokrywa teraz plama krwi, czerwona i błyszcząca jak świeżo rozlana farba.

Czy ona nie żyje? Miranda nie może w to uwierzyć, choć kobieta wygląda jak bezwładna szmaciana lalka.

Baristka upuszcza papierowy kubek z kawą – po prostu rzuca go na podłogę – i biegnie na zaplecze. Miranda zastanawia się, dokąd powinna uciekać. Co w ogóle powinna zrobić?

Czy także zostanie zastrzelona? Czy umrze tak jak inni?

Próbuje wspiąć się na wysoką ladę, ale frontowa szyba, za którą leżą ciasta i ciasteczka, jest zaokrąglona. Nie udaje jej się znaleźć oparcia dla stopy. Ześlizguje się z powrotem na podłogę.

Bang! Bang! Bang!

Pocisk roztrzaskuje szklaną witrynę tuż obok jej głowy.

Miranda zrywa się do ucieczki, zanim kolejna kula dosięgnie celu.

Ona oraz pozostali ludzie w strefie restauracyjnej są jak kaczki w stawie. Tak mawiał tata Mirandy, kiedy chciał zaznaczyć, że coś jest łatwe do osiągnięcia. To jak strzelanie do kaczek.

Miranda czuje się teraz jak jedna z tych nieszczęsnych kaczek, zataczając oszalałe kręgi w miejscu, skąd nie ma ucieczki.

# Ze względu na krew

godzina 15.54

**G**race Busby próbuje unieść swoją matkę, ale przypomina to dźwiganie szmacianej lalki, która waży sześćdziesiąt kilogramów. Łapie ją za nadgarstki i zaczyna odciągać na bok. Garbi przy tym ramiona i chowa głowę w nadziei, że przez to będzie mniej oczywistym celem dla zamachowca.

Nie zastanawia się, dlaczego wleczenie mamy po linoleum przychodzi jej łatwiej, niż powinno. To ze względu na krew.

Ostatnio Grace widziała mnóstwo krwi. Głównie swojej własnej, kiedy musiała napełniać nią probówkę za probówką. Lekarze zrobili jej w piersi dziurę, mniej więcej w tym samym miejscu, co teraz u jej mamy, tylko Grace miała ją zasłoniętą plastikową przykrywką.

W jej kierunku biegnie jakiś gość w zielonym fartuchu. Na jego plakietce widnieje imię Javier.

– Musisz ją zostawić! – Łapie Grace za ramię. – Ona nie żyje.

– Ale to moja mama!

Właściwie to kobieta ciągnięta po podłodze nie wygląda już jak jej mama. Nie z tymi zabarwionymi na ciemno włosami i bladą jak papier skórą. Jej oczy i usta są na wpół przymknięte i nieruchome.

– Zostaw. Nie możesz jej pomóc.

– Nie mogę jej zostawić!

Ponad ramieniem Javiera Grace widzi, jak jakiś facet w średnim wieku ubrany w garnitur pada na kolana. Obiema rękoma łapie się za szyję, a pomiędzy jego palców tryska czerwień.

– Twoja mama na pewno by nie chciała, żebyś zginęła. – Javier łapie Grace za nadgarstek. – Chodź!

Dziewczyna, zataczając się, rusza za nim.

# To nie może być prawda

godzina 15.55

**W**ybiegając z kawiarni, Miranda zadziera głowę. Strzały padają teraz z drugiego piętra, które w środku jest otwartą przestrzenią. Tam na górze nie ma sklepów, jest powierzchnia biurowa – dwa piętra połączone schodami ruchomymi. Ponad ciemną barierką przechylają się trzej mężczyźni w czarnych kominiarkach i strzelają z podłużnych czarnych karabinów, przypominających kałasznikowy albo inną tego typu broń.

Jakiś starszy pan wpycha za siebie żonę i zaraz potem dostaje pocisk prosto w pierś. Miranda wydaje z siebie przeraźliwy wrzask, kiedy tamten człowiek osuwa się na ziemię. Przecież to nie może być prawda!

Ale świetnie wie, że jednak tak. I że równie dobrze sama może stać się następną ofiarą. Musi się stąd wydostać. Natychmiast.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy Miranda poznała to centrum handlowe lepiej niż większość ludzi, którzy tutaj pracują. Nie tylko zna lokalizację wszystkich kamer; doskonale też wie, gdzie znajdują się wyjścia. Daje nura pod ruchome schody i biegnie w kierunku holu, który prowadzi do drzwi na zewnątrz.

# Czekając na śmierć

godzina 15.55

**A**mina Omar właśnie rozsuwa wieszaki – każdy musi znajdować się dwa centymetry od poprzedniego – kiedy coś przyciąga jej uwagę. Porzucony kubek z Perk Me Up. Tylko dlatego, że sklep znajduje się w pobliżu strefy restauracyjnej, ludzie uważają, że mogą tu włączyć z piciem, a czasami nawet z czymś do jedzenia. Podnosi kubek dwoma palcami i znosi go do kosza na śmieci, ignorując spojrzenie, które wymieniły Hannah i Giselle. Zamiast pracować, opierają się o ladę i plotkują w najlepsze.

Na swojej zmianie Amina nigdy nie ma czasu na odpoczynek. Wystarczy uważnie popatrzeć i od razu okazuje się, że jest coś do zrobienia. Upewnia się, że wszystko znajduje się na swoim miejscu i wygląda dokładnie tak, jak powinno. W dni, kiedy pracuje Amina, nigdy nie znajdzie się rozmiaru XS wepchniętego pomiędzy ciuchy w rozmiarze L. Stara się, jak może, żeby udowodnić Culpeppersom, że jest tak samo dobra jak inne pracownice – jeśli nie lepsza – pomimo tego, że nosi hidżab. Kierownik zrobił kiedyś aluzję, że państwo Culpeppersowie są „na wskroś amerykańscy”. Amina udowodni im, że amerykańskość może mieć różne oblicza. Na przykład twarz muzulmanki.

Na zewnątrz, w galerii, wybucha jakieś zamieszanie.

Amina podchodzi do drzwi, żeby zorientować się, o co chodzi. Zaczyna wycić alarm przeciwpożarowy. Ludzie w strefie restauracyjnej wrzeszczą, w popłochu pędząc we wszystkich kierunkach. Kilka osób leży skulonych na podłodze. Na oczach Aminy jakaś starsza kobieta przewraca się na ruchomych schodach, ląduje na ziemi i już tam zostaje, znieruchomiła... Czy ten odgłos, który Amina zna wyłącznie z filmów i policyjnych programów telewizyjnych, to przypadkiem nie są strzały z broni palnej?

Hannah i Giselle przepychają się obok niej i zaczynają biec. Skulone przemykają przez strefę restauracyjną. Nagle jeden z pocisków trafia Hannah w szyję, dziewczyna pada na ziemię. Amina wydaje przeraźliwy pisk, całkiem mimowolnie. Giselle rzuca za siebie jedno jedyne spojrzenie, a następnie przyspiesza kroku.

Kiedy centrum handlowe jest zamknięte, państwo Culpeppersowie każą pracownikom opuszczać metalowe żaluzje antywłamaniowe. Czy powstrzymają



pociski, jeśli Amina zdąży je opuścić?

Dziewczyna nie ma pojęcia, czy to coś da, ale lepiej zrobić cokolwiek niż nic. Lepiej działać niż stać beczynn timer, czekając na śmierć.

# Panika

godzina 15.57

**K**iedy Miranda biegnie obok Shoe Mill, powietrze wypełnia przenikliwy pisk alarmu przeciwpożarowego. Ten dźwięk częściowo maskuje wrzaski za jej plecami.

Ze sklepów wysypują się klienci, obładowani wypakowanymi torbami. Większość z nich wydaje się nigdzie nie spieszyć. Zachowują się tak, jakby hałas pochodził od wiertarki, jakby to, że go zignorują, miało nie zrobić żadnej różnicy. Nagle do holu wtacza się jakiś mężczyzna w brązowym swetrze. Jest blady jak ściana, ma szeroko otwarte oczy i usta. Palcami uciska swój biceps w miejscu, gdzie materiał przesiąknięty jest krwią.

Ludzie odwracają głowy w kierunku, skąd nadszedł – w stronę strefy restauracyjnej. Miranda także ryzykuje spojrzenie za siebie. Nagle hol pustoszeje. Na samym środku, gdzie piętrzą się stoliki i krzesła, zza wózka dozorczy, gdzie dotąd się ukrywała, wyskakuje jakaś kobieta w czerwonym szaliku i wrzeszcząc wniebogłosy, rzuca się w stronę korytarza, gdzie znajduje się Miranda i reszta.

Niestety nie udaje się jej tam dotrzeć.

Ludzie stłoczeni wokół Mirandy wpadają w panikę. Wrzeszczą, przeklinają, porzucają pakunki, wołają jedni drugich po imieniu albo wzywają Boga.

Kiedy Miranda usiłuje przepchnąć się między nimi, cały tłum rusza w kierunku wyjścia.

# Żadna z tych osób

godzina 15.57

Osiem minut wcześniej Parker Gray zgodził się, żeby jego mała siostrzyczka, Moxie, poszła sama kupić sobie precla. Dał jej banknot pięciodolarowy i pokazał, gdzie stoi wózek Cioci Anne. Mała lubiła gadać z ludźmi, a ludzie lubili ją zagadywać. Siedmioletnia dziewczynka z blond loczkami i niebieskimi oczyma. Śliczna jak aniołek, mówili.

Śliczna dla wszystkich poza Parkerem. Dla niego była kulą u nogi. Dzisiaj w szkole odbywały się warsztaty dla nauczycieli, co oznaczało, że uczniom dano wolne. Parker powinien teraz mieć czas na to, żeby się zabawić, a zamiast tego pełnił rolę darmowej niańki, ponieważ obydwój rodzice musieli iść do pracy. Mimo to bynajmniej nie zamierzał spędzać całego dnia w domu na oglądaniu kolejnych odcinków bajki Dora poznaje świat. Mógł przynajmniej powłóczyć się z kumplami, podczas gdy Moxie na zmianę bawiła się jego telefonem albo napychała łakociami swoje małe pyzate policzki.

Teraz wszyscy kumple gdzieś się rozpiechli. Każdy, kto tylko mógł biec, pędził przed siebie jak szalony. Parker został na środku strefy restauracyjnej, kręcąc się dookoła własnej osi.

– Moxie! Moxie! Moxie! – wrzeszczy z całych sił, żeby przekrzyczeć przenikliwy pisk alarmu.

Ale nigdzie nie może jej dostrzec. Wózek Cioci Anne stoi porzucony. Myśli Parkera miotają się w oszalałym kręgu pytań. Czy Moxie jest ranna? A może już nie żyje?

Pocisk gwizdże mu koło ucha i wbija się w kolumnę. Cała przestrzeń opustoszała. Wszędzie walają się przewrócone krzesła, na podłodze utworzyły się kałuże z rzuconych w popłochu drinków, tu i ówdzie wymieszane z plamami krwi. Ludzie, którzy zostali, leżą w tak dziwacznych pozycjach, że Parker nie ma wątpliwości, że muszą być martwi.

Jednak żadna z tych osób nie jest małą dziewczynką w czerwonym płaszczyku.

# W pułapce

godzina 15.58

**M**iranda przepycha się przez tłum w kierunku wyjścia.

Od drzwi dzieli ją zaledwie trzy i pół metra. Ale coś je blokuje. Zabezpieczenie do rowerów – pokryta czarną gumą stalowa linka – spina srebrzyste klamki obu skrzydeł drzwi wejściowych. Mimo to Miranda popycha bliższe skrzydło. Drzwi uchylają się o centymetr, zanim zabezpieczenie rowerowe zatrzymuje je na dobre.

Przez szklany panel Miranda widzi ludzi, którzy wydostali się przez inne wyjścia i teraz biegną przez parking w gęstniejący mrok.

Miranda znalazła się w pułapce. Ona i wszyscy ci, którzy teraz kłębią się za jej plecami. Z holu na zewnątrz prowadzą tylko dwa wyjścia – jedno przez zablokowane drzwi, drugie zaś przez strefę restauracyjną, gdzie zaczęła się strzelanina. Gdzie kilka pozostałych tam osób gorączkowo próbuje znaleźć drogę ucieczki, zanim dopadnie je śmierć.

W każdej chwili któryś z tych mężczyzn może zbiec z wyższego piętra po ruchomych schodach i dokończyć dzieła.

# Gra wideo

godzina 15.58

**T**o jak gra wideo, powtarza sobie Cole Bond. Przemyka po obrzeżach strefy restauracyjnej, manewrując pomiędzy skulonymi na linoleum ciałami.

Tamta pani w białej koszuli, która została zastrzelona jako pierwsza, wcale nie była prawdziwa. Żadna z tych osób nie jest. To tylko znakomita animacja. Pewnie włączyli ją na takim trójwymiarowym ekranie telewizyjnym, które teraz są wszędzie. Gdyby zechciał, mógłby wcisnąć przycisk pauzy. Jeśliby teraz spojrzął do tyłu, zobaczyłby, że pod plecami ma oparcie swojej własnej kanapy. W każdej chwili może wstać, pójść do lodówki w garażu i przynieść sobie następne piwo.

Stara się przekonać sam siebie, że leżące przed nim ciała nie istnieją poza światem gry. Że te osoby nigdy nie żyły naprawdę, więc nikt nie skrócił im życia. I że wiszący w powietrzu zapach miedzi jest po prostu wytworem jego wyobraźni.

Zaprzeczanie rzeczywistości staje się znacznie trudniejsze, kiedy stopa Cole'a nagle ślizga się w kałuży krwi.

Jednak Cole musi dalej udawać, że to gra. Bo jeśli uwierzy, że to, co dzieje się tu i teraz, jest prawdziwe, jeśli przyjmie do wiadomości, co stało się z jego dwoma starszymi braćmi, coś w nim pęknie.

Przed nim jakaś dziewczyna w muzułmańskiej chuście usiłuje opuścić metalowe żaluzje przeciwwłamaniowe. Niewiele, ale lepsze to niż nic.

Cole nie jest w stanie w żaden sposób pomóc pozbawionym życia ciałom na podłodze, ale być może zdoła sprawić, by kolejni ludzie nie stali się ofiarami w tym surrealistycznym horrorze.

# Jakby zależało od tego jej życie

godzina 15.59

**M**iranda wie, że musi się stąd wydostać. Żeby dotrzeć do któregoś z pozostałych wyjść, należy przedrzeć się z powrotem przez strefę restauracyjną. Tam jednak z każdą chwilą coraz mniej ludzi pozostaje przy życiu, a ci nieliczni są aż nazbyt oczywistym celem. Ryzykuje powrót do miejsca, gdzie część gastronomiczna łączy się z handlową, i tam, przed salonem LA Nails, próbuje postanowić, co dalej. Jak nie dać się zabić.

Pod ruchomymi schodami dostrzega Parkera, który wykrzykuje na głos imię swojej małej siostrzyczki i jednocześnie gorączkowo przeszukuje wzrokiem cały hol.

Pomocnik kelnera, z którego jeszcze niedawno Parker kpił w żywe oczy, teraz ciągnie dokądś tę bogatą dziewczynę, której matka została zastrzelona na samym początku. Już prawie dotarli w bezpieczne miejsce, kiedy rozlega się kolejny suchy trzask i chłopak łapie się za udo, a następnie zatacza się do przodu.

Poprzez wycie alarmu przebija się przeraźliwy gwizd. Miranda rozgląda się, szukając źródła dźwięku. Jakiś wysoki chudy chłopak, stojąc tuż obok wejścia do sklepu Culpeppersów, nerwowo ogryza paznokcie. Po drugiej stronie drzwi kręci się ta sprzedawczyni o ciemnej karnacji z muzułmańską chustą na głowie i to właśnie ona przywołuje Mirandę jedną ręką, jednocześnie drugą opuszczając metalowe żaluzje przeciwwłamaniowe.

Miranda pędzi w kierunku opadających żaluzji, jakby od tego zależało jej życie.

Bo wie, że tak właśnie jest.



## godzina 16.00

**Dyspozytor:** Wzywa pan policję, straż pożarną czy pomoc medyczną?

**Ron Skinner:** Policję! Tutaj ktoś strzela! Zginęło wielu ludzi!

**Dyspozytor:** W porządku. Proszę powiedzieć, kim pan jest, i podać adres.

**Skinner:** Ron Skinner. Pracownik ochrony w Fairgate Mall. Mnóstwo ludzi zostało zastrzelonych!

**Dyspozytor:** Okay, Ron, weź głęboki oddech. Czy strzelanina ciągle trwa?

**Skinner:** Nie wiem! Pospieszcie się! Błagam! Zastrzelili Gabriela i Zacha! Oni też tu pracowali! Nie mam pojęcia, gdzie jest Timmy! Mamy tylko gaz pieprzowy i opaski zaciskowe, a oni mają karabiny!

**Dyspozytor:** Wysyłam do was radiowozy. Ilu jest napastników? Gdzie się znajdują? Ktoś inny już złożył doniesienie, że atak rozpoczął się w strefie restauracyjnej.

**Skinner:** Jest ich bardzo wielu! Staram się dowiedzieć, co się stało z kolegami. Wszystko zaczęło się przy lokalach gastronomicznych, ale teraz oni są już wszędzie! Jeśli zorientują się, że jestem tutaj, w biurze ochrony, to mnie też zastrzelą! Musicie przysłać tu swoich ludzi! Proszę, błagam! Ja nie chcę umierać!

# Zanim on nas zobaczy

godzina 16.00

**M**iranda nie jest jedyną osobą, która desperacko pragnie dostać się do sklepu Culpeppersów. Tuż przed nią w stronę wejścia i powoli pełznących w dół metalowych żaluzji podążają bogata dziewczyna i ranny pomocnik kelnera. Górna część jednej nogawki spodni chłopaka zdążyła zrobić się już ciemna i lśniąca od krwi. Ręką obejmuje mocno ramiona dziewczyny. Choć jest sporo od niego szczuplejsza, wydaje się, że właściwie to ona go niesie.

Jak blisko są ci faceci z karabinami? Miranda zerka przez ramię. Parker nadal tkwi w tym samym miejscu, pod ciągłym ruchomym schodów, i z rozpostartymi ramionami rozpaczliwie wiruje wokół własnej osi. Przestał już wrzeszczeć: „Moxie!”, ale widać, że wciąż stara się odnaleźć swoją siostrzyczkę. Gdyby Miranda nie wiedziała, że to Parker, gdyby nie widziała go zaledwie piętnaście minut wcześniej, teraz nie zdołałaby go rozpoznać. Chłopak szeroko otwiera usta, wykrzywiając je w grymasie, a jego twarz lśni od łez.

Kiedy Miranda przesuwają spojrzenie na to, co dzieje się za plecami Parkera, drętwieje z przerażenia. Widzi, jak na drugim końcu strefy restauracyjnej jeden z zamachowców zjeżdża ruchomymi schodami na parter. Nie zbiega po stopniach, sunących powoli w dół, lecz stoi spokojnie w miejscu, jakby był zwyczajnym klientem. Zwyczajny klient z automatycznym karabinem w ręku. Jest ubrany na czarno, włącznie z czarną kominiarką z wyciętymi otworami na oczy i usta. Wygląda jak duży robak albo potwór. Albo jak terrorysta.

Czy właśnie tym są ci ludzie? Terrorystami?

Na ubraniu facet ma coś w rodzaju krótkiego czarnego fartucha z wąskimi, głębokimi kieszeniami, a w nich czerwone gumowe cegły z mnóstwem pozwijanych kabli. Po sekundzie to spostrzeżenie dociera do umysłu Mirandy. To kamizelka samobójcy.

Poza nim na ruchomych schodach nie ma nikogo, jedynie na dole piętrzy się stos trzech albo czterech ciał. Jedna z ofiar – kobieta z krótkimi kręconymi włosami – wciąż się porusza. Jej nogi słabo kopią pokryte czerwonymi smugami linoleum.

Mężczyzna w czerni bez pośpiechu podnosi karabin i strzela. Nogi kobiety drgają gwałtownie, a następnie zamierają w bezruchu.

Huk wystrzału zdejmuje z Mirandy zakłęcie, które dotąd trzymało ją w miejscu. Musi się stąd wydostać! Morderca wciąż kieruje spojrzenie przed siebie, nie patrzy w jej stronę. Jeszcze nie. Ale lada chwila może się odwrócić. Wystarczy, że przekręci głowę, zobaczy ją i zabije.

Od sklepu Culpeppersów dzieli ją trzy metry – trzy metry od metalowych rolet, które mogą ją ocalić. Roleta znajduje się już na wysokości klatki piersiowej dorosłego człowieka, kiedy pomocnik kelnera i bogata dziewczyna dają pod nią nura.

Mimo to Miranda odwraca się w drugą stronę, ignorując wewnętrzny głos, który krzyczy w jej głowie, że zachowuje się jak idiotka. Biegnie do Parkera, szarpie go z całych sił za nadgarstek i odwraca chłopaka ku sobie.

– Chodź! – przynagla go szeptem, który ledwo przebija się przez przeszywający pisk alarmu. – Chodź, zanim on nas zobaczy!

Parker stawia opór, ale ona ciągnie coraz mocniej, nie odwracając wzroku od terrorysty, który właśnie schodzi z ruchomych schodów.

Zamiast iść za nią, Parker nagle wstrzymuje oddech. Nie jak ktoś zdjęty przerażeniem, lecz raczej jak ktoś, kto poczuł niespodziewaną radość. Najwyraźniej dostrzegł coś w głębi holu z zamkniętymi drzwiami, który Miranda przed chwilą opuściła. Wrywa rękę z jej uścisku i pędzi przed siebie.

Miranda odwraca się w stronę sklepu Culpeppersów. Metalowe żaluzje już prawie opierają się o podłogę. Teraz widzi jedynie czyjeś kolana i stopy. I jedną głowę, i rękę, która przynagla ją do pośpiechu. To ten chłopak, który gwizdał. Jego twarz wykrzywia grymas, z ust nie wydobywa się żaden dźwięk, lecz Miranda doskonale odczytuje wszystko z ruchu warg.

– Pospiesz się!

Parę kroków przed roletą Miranda rzuca się na brzuch i turla w głąb sklepu.

Sekundę później metalowa krawędź dotyka podłogi.

## Godzina 16.01

**Dyspozytor:** Do wszystkich jednostek. Jest zgłoszenie o strzelaninie w Fairgate Mall. Prawdopodobnie w strefie restauracyjnej. Sześćdziesiąt osiem i pięćdziesiąt trzy, potwierdźcie.

**Jednostka 68:** Potwierdzam.

**Jednostka 53:** Potwierdzam.

**Dyspozytor:** Jedno zgłoszenie mam od pracownika ochrony, który jest na miejscu i ma dostęp do monitoringu. Ambulans jest już w drodze.

**Jednostka 68:** Czy strzelcy są wciąż obecni na miejscu zdarzenia?

**Dyspozytor:** Potwierdzam. Pierwszy informator zgłosił, że napastnicy nadal są wewnątrz i że doszło do wielokrotnego użycia broni. W drugim zgłoszeniu pracownik ochrony podaje, że jest ich przynajmniej ośmiu, prawdopodobnie sami mężczyźni, nieznanej rasy, ubrani na czarno, przypuszczalnie mają karabiny AR-15.

**Jednostka 53:** Czy coś wiadomo o pozostałych pracownikach ochrony?

**Dyspozytor:** W zgłoszeniu potwierdzono, że wszyscy nie żyją.

**Jednostka 68:** Wezwijcie antyterrorystów.

**Dyspozytor:** Potwierdzam. Antyterrorysty zostali powiadomieni.

**Jednostka 68:** Sześćdziesiąt osiem melduje się na miejscu.

**Dyspozytor:** Przyjąłem.

**Jednostka 53:** Pięćdziesiąt trzy, mamy jakieś dwa skrzyżowania do celu.

**Jednostka 68:** Do pięćdziesiątki trójki: jesteśmy przy południowej ścianie. Do dyspozytora: będzie potrzebna większa liczba jednostek. Z tej strony jest przynajmniej pięć wyjść, ze wszystkich wylewają się tłumy. Nie słychać żadnych strzałów.

**Dyspozytor:** Przyjąłem. Do wszystkich dyspozycyjnych jednostek. Kierujcie się do Fairgate Mall.

**Jednostka 43:** Czterdzieści trzy, jestem w drodze.

**Jednostka 41:** Czterdzieści jeden, będę za dziesięć minut.

**Jednostka 68** (w tle słychać krzyki): Mam przynajmniej trzech, którzy zostali zastrzeleni, ale dookoła kłębi się co najmniej kilkaset osób. Potrzebujemy więcej wozów. Musimy odgrodzić teren.

**Dyspozytor:** Przyjąłem. Mam czterdzieści trzy i czterdzieści jeden, kto jeszcze?

**Jednostka 45:** Czterdzieści pięć. Właśnie wjechałem na teren.

**Jednostka 14:** Czternastka w drodze.

**Jednostka 77:** Siedemdziesiąt siedem w drodze, ale na dwudziestce szóstce robi się korek.

**Jednostka 115:** Sto piętnaście. Jesteśmy na międzystanowej piątce, ale tu też mamy opóźnienie.

**Dyspozytor:** Jeśli są tam policjanci w cywilu, upewnijcie się, czy wszyscy są uzbrojeni.

**Jednostka 53 (w tle czyjś jęk):** Tu pięćdziesiąt trzy. Na parkingu mamy przynajmniej pięciu poważnie rannych. Jeden mężczyzna postrzelony w klatkę piersiową chyba jest w stanie krytycznym.

**Dyspozytor:** Przyjąłem. Uważajcie na ostrzał.

**Jednostka 68:** Wezwij Tigard, Beaverton, Oregon City, Salem, Vancouver i pozostałych, niech udzielą nam wsparcia. Potrzebujemy każdego, kto jest dostępny.

**Dyspozytor:** Przyjąłem.

**Jednostka 45:** Mamy na zewnątrz kolejną ranną osobę. Kobieta postrzelona w nogę. Pilnie potrzebny ambulans.

**Dyspozytor:** Czterdzieści pięć, wasza pozycja?

**Jednostka 45:** Po wschodniej stronie centrum. Jesteśmy pieszo.

**Dyspozytor:** Czterdzieści pięć, przyjąłem. Wyślę wam wsparcie.

**Jednostka 14 (w tle wycie syren):** Czternaście, jesteśmy na miejscu. Od zachodniej strony. Nie słychać strzałów.

**Dyspozytor:** Potwierdź. Nie słychać strzałów?

**Jednostka 14:** Potwierdzam. Nie słychać, odkąd tu jesteśmy.

**Jednostka 68:** Sześćdziesiąt osiem. Zdaje się, że strzelanina ustała. Przejmujemy komendę. Zakładamy stanowisko ogniowe w dawnym Centrum Sportu. To wolno stojący budynek po północnej stronie Fairgate Mall. Chcę mieć przynajmniej osiem jednostek, żeby otoczyć teren i mieć pod kontrolą ruch uliczny. Na razie stanowisko dowodzenia znajduje się przed Nordstromem, od strony południowej. Nordstrom wychodzi dokładnie na strefę restauracyjną.

**Dyspozytor:** Przyjąłem.

# To twój szczęśliwy dzień

godzina 16.02

**K**iedy Miranda szarpie Parkera za nadgarstek, ten nie ma czasu zastanowić się, co dziewczyna właściwie robi w Fairgate Mall ani dlaczego ze wszystkich obecnych tutaj ludzi akurat ona próbuje ratować mu życie. Bo właśnie kątem oka dostrzegł drobną postać ubraną na czerwono.

– Moxie!

Parker strząsa z nadgarstka dłoń Mirandy, rzuca się za siostrą i pędzi co sił, trzymając się blisko ściany, osłonięty przez wystający podest drugiego piętra.

Błyskawicznie dociera do korytarza, gdzie przed chwilą dojrzał błysk czerwieni. Chociaż teraz nie widzi Moxie, to ona musi gdzieś tutaj być, ponieważ stąd nie ma wyjścia. Drzwi z przodu zamknięte są na łańcuch, z tyłu zaś mieści się część restauracyjna, gdzie pozostali jedynie martwi lub umierający, i gdzie kręci się przynajmniej jeden z zamachowców. Moxie musi być gdzieś między dziesiątkami ludzi, szaleńczo przemierzającymi się z miejsca na miejsce, lub może w którymś z małych sklepów mieszczących się po obu stronach korytarza. Ze zręcznością zapaśnika Parker rozpycha tłum, przeciskając się pomiędzy kobietą w białym fartuchu i z białym daszkiem na włosach a gościem w średnim wieku odzianym w elegancki garnitur. Zygzakiem omija dzieciaka, którego mgliście kojarzy ze szkoły, i dziewczynę, która wygląda na nastolatkę, ale pcha przed sobą spacerówkę z niemowlakiem. Śmiga obok starszawego gościa w dżinsach z wysokim stanem i wypasionych butach do gry w tenisa, młodej kobiety na niewiarygodnie wysokich obcasach oraz trzech dziewczyn, które kurczowo ściskają torby z zakupami i siebie nawzajem. Święty Mikołaj także tutaj jest, albo raczej facet w ciuchach Świętego Mikołaja, który przed kilkoma minutami pozował do zdjęć. Teraz siedzi na ławeczce, czerwony na twarzy i ociekający potem. Parker robi uniki, macha rękoma i prześlizguje się pomiędzy ludźmi, a jego spojrzenie przeskakuje od osoby do osoby: od starszej czarnoskórej pani, przez biznesmena w okolicach czterdziestki do faceta z gęstą brodą i tunelami w uszach. W końcu zatrzymuje wzrok na mężczyźnie w średnim wieku, który trzyma się za ramię, jakby z własnej dłoni chciał zrobić opaskę uciskową, a pomiędzy jego palców sączy się krew.

Ani śladu Moxie.

Mała musi być w którymś ze sklepów. Po jednej stronie znajduje się Shoe Mill, a obok salon z aparatami telefonicznymi AT&T. Po drugiej mieści się magazyn Coach, sklep Van Duyn oraz coś, co nazywa się Eternity Day Spa. Wszystkie te lokale są na tyle nieduże, że jedyna droga do nich prowadzi przez główne drzwi. Moxie musiała schować się w którymś z nich, ze strachu albo w błogiej nieświadomości, i teraz czeka, przerażona albo tłumiąc chichot, aż Parker ją znajdzie. Chłopak ma nadzieję, że w grę wchodzi drugie rozwiązanie. Że Moxie nie ma pojęcia, co się dzieje. Że uda mu się ją złapać i wyprowadzić stąd taką drogą, żeby nie zobaczyła trupów na podłodze.

Alarm przeciwpożarowy nagle milknie. Przez moment cisza wydaje się równie głośna, jak przeszywający wizg, a potem całą przestrzeń wypełnia zmieszany gwar ludzkich głosów, wykrzykujących coś, przerażonych, wrzeszczących do komórek i pytających jeden drugiego, co robić.

Parker właśnie zamierza wbiec do najbliższego sklepu, Shoe Mill, kiedy jakiś metaliczny dźwięk zmusza go do odwrócenia głowy. To jeden z zabójców w kominiarkach. Ciągnie rozsuwaną metalową kratę znajdującą się przy ujściu korytarza, dokładnie tam, gdzie korytarz otwiera się na strefę restauracyjną. Karabin zarzucił na ramię. Przymocowana śrubami do ściany krata sunie na kółkach, otwierając się jak akordeon. Gdy tylko facet dotrze do przeciwległej ściany, wszyscy znajdują się w pułapce, zamknięci w ciasnej przestrzeni jak zwierzęta w zagrodzie. Albo w rzeźni.

Panika w tłumie przybiera na sile. Facet z tunelami rzuca się do ucieczki, ale po drugiej stronie pojawia się dwóch kolejnych mężczyzn w kominiarkach.

– Stać! – wrzeszczą obaj, odwracając karabiny w kierunku uciekiniera i ludzi za jego plecami.

Parker oczyma wyobraźni widzi, jak pociski koszą co najmniej pół tuzina osób. Ale wtedy uciekający mężczyzna kuli ramiona i staje w miejscu.

Gdy metalowa bramka już prawie zasunęła się do końca, ubrany na czarno zabójca przechodzi na drugą stronę kraty. Jego usta są pełne, jak u dziewczyny. Parker natychmiast nadaje mu ksywkę. Laska. Laska obraca się, robi zamach karabinem i wszyscy posłusznie się odsuwają.

Wszyscy trzej zamachowcy mają na sobie kamizelki samobójcy. Jeden z dwóch, którzy pozostali po przeciwnej stronie kraty, teraz zamyka ją na kłódkę. Tuż pod jego lewą brwią widnieje wyraźne, ciemne znamię. O kimś takim mówi się, że ma myszkę. Teraz Myszka kieruje wylot lufy w stronę zamkniętych w pułapce ludzi, zaś trzeci z zamachowców przykłada do ust megafon. Jego oczy mają kolor srebrnoniebieski,

jak oczy wilka.

– Słuchajcie uważnie – mówi Wilk chłodnym, rzeczowym tonem. – Jeśli chcecie żyć, a zakładam, że chcecie, to macie siedzieć cicho i robić to, co wam powiemy. Jeśli będziecie nieposłuszni, to zginiecie. Na początek każdy, kto gada przez telefon, ma się rozłączyć! Natychmiast!

Parker zastanawia się, czy może powinien poszukać mężczyzny ogolonego na łyso, który miał w ręku pistolet. Wcześniej ukrywał się za kolumną, ale teraz zniknął. Jeśli ten gość kropnie któregoś z zamachowców, czy pozostali odpalą ładunki wybuchowe?

– Czego od nas chcecie? – woła czarnoskóra kobieta z posrebrzanymi dreadami.

– Po pierwsze, nie wolno wam się odzywać. I, rzecz jasna, nie ma mowy o pyskowaniu – oznajmia Wilk i kieruje karabin w jej stronę, a ją przeszywa dreszcz. – Mógłbym teraz cię zastrzelić, żeby wszyscy uwierzyli, że to nie są żarty, ale tego nie zrobię. Nie tym razem. Jednak jeśli ktoś jeszcze ośmieli się odezwać, to kropniemy go jak psa, bo jesteście tylko parszywymi psami.

Jedynym dźwiękiem jest miarowe kap, kap, kap, kiedy sączące się z ramienia rannego mężczyzny krople krwi spadają na podłogę.

– Jeśli chodzi o to, czego chcemy... Przede wszystkim chcemy, żeby świat nas wysłuchał. Jesteście tutaj, żebyśmy mieli pewność, że zostaniemy usłyszani. I nie potrzeba nam konkurencyjnych źródeł informacji. To znaczy, że wszyscy mają oddać mi telefony. Każdy z obecnych. Wyjmijcie je z kieszeni i z torebek i przesuniecie po podłodze w moją stronę. Każdy, przy kim znajdziemy telefon, natychmiast pożegna się z życiem.

Od niechcienia kieruje karabin w stronę grupy ludzi, przesuwając lufę od jednej osoby do drugiej. Przez jedną straszliwą sekundę mierzy prosto w głowę Parkera, ale po chwili rusza dalej.

Jeden po drugim ludzie pochylają się i rzucają na podłogę telefony, starając się trafić w dziesięciocentymetrową szparę pod metalową bramką. Jeśli któryś z aparatów upadnie zbyt blisko, ci, którzy stoją przy bramce, kopniakami pomagają mu dotrzeć do celu. Myszka zaczyna wrzucać telefony do pustej torby ze sklepu Macy's.

– November, zgłoś się – mówi Wilk do mikrofonu. – November, odbiór.

Podczas gdy Wilk czeka na odpowiedź, która nie nadchodzi, Parker delikatnie przesuwa palcami po obudowie telefonu, który tkwi w tylnej kieszeni jego spodni. Nikt tego nie widzi, bo zasłania go pulchna pani w średnim wieku, która siedzi tuż przed nim. Zamiast jak inni wyjąć telefon, Parker po omacku szuka przycisku z boku obudowy i pstryknięciem wyłącza dzwonek.

Kiedy Myszka kończy, Wilk skinieniem przywołuje Laskę, który podchodzi do



drzwi Shoe Mill.

– Każdy, kto jest w środku, natychmiast wychodzi na zewnątrz! – wrzeszczy. – Jeśli znajdziemy kogoś później, zostanie zastrzelony.

Powtarza te słowa przy wejściu do każdego sklepu. W drzwiach salonu z telefonami staje dwudziestokilkulatek w spodniach khaki i wyprasowanej koszuli. Ze sklepu Van Duyn wyłania się sześćdziesięciokilkuletnia kobieta w białej siatce na włosach nerwowo wykręcająca dłonie. Obydwoje zostają zmuszeni do oddania telefonów. Gość z salonu AT&T ma ich aż trzy.

Ale Moxie się nie pojawia. Gdzie ona się podziała? Parker nigdy się nie modli, jednak teraz w głębi duszy odmawia modlitwę, żeby jakimś cudem Moxie uciekła daleko stąd. Żeby znalazła wyjście i została ewakuowana przez policję. Bo alternatywa takiego rozwiązania jest zbyt okropna, żeby w ogóle się nad nią zastanawiać.

Wilk niespiesznym krokiem podchodzi do metalowej kraty. Wydaje się całkiem odprężony, a w jego głosie nie słychać cienia zdenerwowania.

– Ludzie, może o tym nie wiecie, ale jesteście na wojnie. A na wojnie bywa tak, że czasami cywile dostają się pod ostrzał. Bardzo mi przykro z tego powodu.

Jego uśmiech nie pasuje do lodowatych oczu, które spoglądają przez wycięcia kominiarki.

Wszyscy milczą, czujnie obserwując Wilka.

– Jeśli gdzieś tam istnieje piekło, znajdziemy się w dobrym towarzystwie wielu pilotów bojowych, którzy musieli zrzucić bomby na niewinnych, żeby wygrać wojnę. Jednak powinniście wiedzieć, że czeka was bardziej szlachetne przeznaczenie niż los ofiar. – Jego spojrzenie przeszywa ich na wylot. – Jesteście kluczem do zmiany wszystkiego.

Wilk poprzez kraty bramki wskazuje palcem na dzieciaka, którego Parker rozpoznaje. Nazywa się Joe albo Joel – coś w tym stylu – i w szkole jest o rok niżej niż Parker. – Hej, ty! W okularach!

Okulary w ciemnych oprawkach ześlizgują się z mokrej od łez twarzy Joego vel Joela.

– Chodź tutaj!

Chłopak nawet nie drgnie. Nagle z tyłu zjawia się Laska i lufą karabinu dźga go w plecy.

Z cichym skomleniem dzieciak rusza naprzód, szurając nogami, a na przodzie jego spodni szybko powiększa się mokra plama.

– To twój szczęśliwy dzień, gówniarzu. – Szeroki uśmiech Wilka wcale nie jest radosny. – Będziesz żył. Zamierzamy otworzyć tę bramkę i wypuścić cię na zewnątrz.

Sięga do kieszeni i wyciąga z niej garść pendrive'ów.

– Schowasz je do kieszeni, a potem pobiegiesz wzdłuż korytarza, przejdiesz przez market Sears i wyjdiesz na zewnątrz z rękoma w górze. Tam oddasz pendrive'y każdemu reporterowi, którego napotkasz. To ty zanieśiesz światu nasze przesłanie.

# To tylko skorupa

godzina 16.02

**C**hwilę po tym, jak Miranda przetacza się pod opadającą żaluzją, metalowa rama z hukiem uderza w podłogę. Serce tłucze się w piersi dziewczyny jak wyrzucona na pokład łodzi ryba.

Zaciskając usta, zmusza płuca do cichszej pracy i jednocześnie wytęża słuch, w oczekiwaniu na strzał, który będzie świadczył, że Parker nie żyje. Zamknięty na rowerowy łańcuch hol, do którego przed chwilą wbiegł, znajduje się zaledwie trzydzieści metrów stąd.

Do jej uszu docierają tylko odgłosy kroków, stłumione krzyki i nawoływania, które przebijają się przez pisk alarmu i przenikają do wnętrza sklepu przez zasuniętą żaluzję. Ale Miranda nie słyszy huku wystrzałów. Co się dzieje? Czy jest więcej ofiar? Czy ci źli są na dole? A może policja jest już w środku?

W końcu Miranda pozwala sobie na zaczerpnięcie powietrza w krótkich, urywanych haustach i podciąga się do pozycji siedzącej. Czuje się ociężała i niezdarna, jakby jej ciało było workiem mięsa, który z trudem daje się ożywić.

W sklepie jest jeszcze czworo innych nastolatków. Po lewej stronie stoi ciemnoskóra dziewczyna w turkusowym nakryciu głowy, która właśnie skończyła opuszczać żaluzję. Ona pracuje u Culpeppersów, przypomina sobie Miranda. Zdaje się, że na imię ma Amina. Teraz otwiera oczy tak szeroko, że aż widać jej białka.

– To nie może być prawda – mówi Amina, bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego. – To nie może dziać się naprawdę.

Na prawo od niej stoi chłopak, który niedawno nakłaniał Mirandę, żeby uciekała do sklepu z żaluzją. Teraz zaciska pięści. Ciemne włosy opadają mu na oczy, a usta zacisnął tak mocno, że niemal ich nie widać. Ma na sobie dzinsy i czarny gładki T-shirt.

Dziewczyna, której matka zginęła na początku strzelaniny, opiera się o ladę i ze spuszczoną głową płacze, wydając krótkie, urywane łkania. Mirandzie nasuwa się myśl, że ten dźwięk można by pomylić ze śmiechem.

Pomocnik kelnera siedzi na podłodze, oparty plecami o kontuar. Ma zamknięte

oczy, a na twarzy wyraz cierpienia. Przesuwa rozpostartymi dłońmi po udzie w miejscach, gdzie pocisk wszedł i wyszedł. Miranda mruży oczy, żeby odczytać na przyklepionej do zielonego fartucha plakietce jego imię. Javier.

Javier otwiera oczy i spogląda na nią. Pomimo jego wysiłków krew zdążyła utworzyć na białym linoleum całkiem sporą kałużę.

– Musimy spróbować zatamować krwotok – oznajmia Miranda, zwracając się do wszystkich i do nikogo. Chwyta ze stojaka dwie bluzy w cytrynowym kolorze i rzuca się do Javiera, opadając na ręce i kolana.

Javier odrywa dłonie od uda i pozwala jej, żeby z dwóch stron przyłożyła do obolałej nogi bluzy i ucisnęła ranę. Miranda zawiązuje ciasno rękawy, tworząc w ten sposób prowizoryczny opatrunek.

– Dziękuję.

Javier zakrwawionymi palcami ściska jej dłoń. Ma tak ciemne oczy, że wydają się nie mieć źrenic.

Amina wpatruje się w Mirandę i mruży oczy.

– Czekaj... to ty! – mówi tonem, w którym słycać coś na kształt oburzenia.

Miesiąc temu przyłapała Mirandę, kiedy ta wychodziła ze sklepu z firmową reklamówką Culpeppersów wyładowaną kradzionymi swetrami z kaszmiru. W rezultacie Mirandzie zakazano tu wstępu.

Ludzie na zewnątrz umierają, a ta dziewczyna myśli tylko o regułach postępowania. Miranda wybucha śmiechem. Nic nie może na to poradzić. Ten śmiech niebezpiecznie przypomina atak hysterii, jest stanowczo zbyt głośny. Co będzie, jeśli ktoś po drugiej stronie, na przykład któryś z facetów z karabinami, usłyszy go przez pisk alarmu?

Przykładając dłoń do ust, usiłuje zdusić śmiech. Czuje smak krwi Javiera, metaliczny i słonawy. Chce jej się wymiotować. Ma ochotę wrzeszczeć, ma ochotę zalewać się łzami. Wolałaby być gdziekolwiek, byle nie tu.

Kiedy wreszcie udaje się jej wydobyć z siebie głos, utrzymuje go na poziomie półszepotu.

– I co masz zamiar zrobić? Znowu wywalisz mnie ze sklepu, czy jak?

– Nie, oczywiście, że nie – odpowiada Amina.

Odwraca spojrzenie, wykrzywiając przy tym usta.

Miranda także spogląda w tamtą stronę. Bogata dziewczyna zatraciła się we własnym świecie. Palcami kręci we włosach i jednocześnie mruży coś pod nosem.

– O mój Boże, mam, proszę, nie! Nie możesz umrzeć! Mam, nie możesz nie żyć!

Chłopak, który skłonił Mirandę do ukrycia się za metalową żaluzją, przysuwa się bliżej.

– Czekaj... czy to była twoja mama? Ta kobieta, która zginęła jako pierwsza?

Łkanie cichnie na moment, a w oczach dziewczyny pojawia się błysk. Wyraz jej twarzy jest niemą odpowiedzią.

– Strasznie mi przykro – mówi chłopak i krzywi się ze współczuciem. Jego oczy mają odcień jasnej szarości. – To naprawdę okropne.

– A co, jeśli ona nie umarła? – wyrzuca z siebie dziewczyna. – Może tylko została ranna? Powinnam tam wrócić.

– Posłuchaj – zaczyna Javier, ale nagle przerywa. – Jak masz na imię?

– Grace. – Jej wzrok szybko przenosi się z Javiera na zamkniętą żaluzję i krąży tam i z powrotem.

– Uwierz mi, Grace, ona nie żyje – mówi pozbawionym wyrazu głosem, w którym, podobnie jak w jego oczach, nie ma śladu emocji, za to słychać cień obcego akcentu. – Twoja mama nie żyje.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Bo nie była pierwszą osobą, na której śmierć patrzyłem. – Javier znów zamyka oczy.

Miranda wymienia pytające spojrzenie z drugim chłopakiem. Skąd taki ktoś jak Javier może o tym wiedzieć? Nagle dociera do niej, że ona także o czymś wie. Ciężko przełyka ślinę.

– Bardzo mi przykro, ale Javier chyba ma rację. Widziałam jednego z tych drani, jak schodził z ruchomych schodów. Strzelał do każdego, kto dawał oznaki życia.

– Nawet jeśli mama nie żyje, to i tak nie mogę jej tu tak po prostu zostawić – głos Grace brzmi nienaturalnie wysoko, zmieniony przez drżenie, które przeszywa całe jej ciało. – To moja mama.

– Nie, to już nie jest twoja mama – wtrąca chłopak o bladych oczach nieznoszącym sprzeciwu szeptem. – Już nie... Teraz to tylko... skorupa.

Kąciaki jego ust zastygają w nieprzyjemnym grymasie.

– Poza tym ona na pewno chciałaby, żebyś ty żyła.

– Kim ty jesteś i skąd wiesz, czego by chciała moja mama?!

– Nazywam się Cole. I zwyczajnie wiem, czego rodzice chcą dla swoich dzieci.

– Cóż, Cole, może jednak nie masz bladego pojęcia, czego by chciała moja mama. Może wcale by sobie nie życzyła, żeby zostawiać ją samą. Niczego o niej nie wiecie.

Nie wiecie, czy na pewno nie żyje, nie wiecie, czy chciałyby...

Grace przesuwa się o krok w kierunku opuszczonej żaluzji, ale Miranda łapie ją za nadgarstek.

– Jeśli teraz stąd wyjdiesz, narazisz nas wszystkich na niebezpieczeństwo.

– Ale przecież już przestali strzelać!

Grace usiłuje się wyrwać, ale Miranda nie zwalnia uścisku.

– Nie strzelają, bo wszyscy, którzy tam zostali, już są martwi.

Dźwięk alarmu przeciwpożarowego nagle się urywa.

Miranda natychmiast podnosi do ust wolną rękę.

– Ciii...

Wszyscy zamierają w bezruchu. Z zewnątrz, z kierunku, w którym pobiegł Parker, dobiega seria odgłosów. Metaliczny grzechot. Jakieś polecenia, które brzmią jak wydawane przez megafon. Miranda daje radę odróżnić pojedyncze słowa. Coś o tym, że świat ma się dowiedzieć, że wszyscy mają oddać telefony... Nagle jeden dźwięk powoduje, że każde z nich się wzdryga. Ten dźwięk jest mocno przytłumiony, ale przypomina strzał.

– Musimy się stąd wydostać – szepcze Miranda. – Jeśli tamci się zorientują, że tu jesteśmy, wystrzelają nas jedno po drugim.

– Ta metalowa roleta wystarczy, żeby nas ochronić – zauważa Amina.

Javier szeroko otwiera oczy.

– Coś ty! Widziałem, jak pociski przechodzą na wylot przez drzwi samochodu.

Miranda wcale nie pragnie dowiedzieć się, w jaki sposób Javier posiadał tę okropną wiedzę. Wskazuje tylną ścianę sklepu.

– Dokąd prowadzą te drzwi? – pyta.

– Na korytarz służbowy – wyjaśnia Amina i jej twarz się rozpromienia. – Ale tam na końcu jest wyjście!

Podbiega w tamtą stronę, otwiera drzwi i wystawia głowę na zewnątrz, ale zanim ktokolwiek pomyśli, żeby pójść w jej ślady, Amina cofa się gwałtownie i zatrzaskuje drzwi. Kiedy odwraca się do pozostałych, całym jej ciałem wstrząsają dreszcze.

– Oni tam też zabijają ludzi! Zaraz za drzwiami leży ciało. To Linda z Pottery Barn! Linda... – Z niedowierzaniem kręci głową.

Wszyscy spuszczaają głowy, kiedy ostatni promyk nadziei na ocalenie gaśnie.

– Czy oni mogą się do nas dostać od tamtej strony? – pyta szeptem Miranda.

Amina kręci głową.

– Nie, musieliby mieć klucz do tylnego wejścia do sklepu, a taki klucz mają tylko pracownicy.

Tak więc cała piątka nie może stąd wyjść, ale tu także nie jest bezpieczna. Zgodnie z tym, co mówił Javier, pociski mogą przeszyć metalową żaluzję z taką samą łatwością, jak blachę do konserw.

– Wyłączcie dzwonki w telefonach! – poleca Cole, machając ręką. – Chyba nikt nie chce, żeby tamci nas usłyszeli.

Miranda już wcześniej wyłączyła dźwięk w swojej komórce. Teraz zamyka oczy i próbuje nie wyobrażać sobie, jak będą tutaj umierali. Usiłuje zmusić się do myślenia. Przed trzema miesiącami w jej szkole odbył się próbny alarm antyterrorystyczny. Miranda przypomina sobie, jak kulila się po ciemku w najdalszym kącie sali, podczas gdy ktoś, kto stał na korytarzu, szarpał za klamkę zamkniętych na zasuwę drzwi. To trochę przypominało zabawę w chowanego, kiedy tak siedzieli, wstrzymując oddech i tłumiąc chichot. Właściwie było raczej śmiesznie niż strasznie. Jasne, wiadomo było, że okropne rzeczy się zdarzają, ale w innych szkołach, w innych miejscach. Takie sprawy zawsze dotyczyły obcych ludzi. Nigdy nie miały prawa przytrafić się tobie.

Co takiego mówił im wówczas zastępca szeryfa? Teraz Miranda przywołuje w pamięci jego słowa. Uciekać, jeśli jest taka możliwość. Jeśli nie ma, poszukać kryjówki. A jeśli nie można się schować, trzeba podjąć walkę.

Mordercy czekają przy obu wyjściach, więc ucieczka nie wchodzi w grę. Udało się znaleźć kryjówkę, ale jeśli Javier ma rację, czekanie za metalową żaluzją nie wydaje się zbyt bezpieczne.

Męski głos, który nieoczekiwanie rozlega się tuż za drzwiami, sprawia, że Miranda podskakuje z przerażenia. Zwracając się do wszystkich obecnych w centrum handlowym, mężczyzna mówi, że teraz nadarza się okazja, żeby wyjść z ukrycia. Że on pozwoli im wyjść, ale teraz i tylko teraz. Że jeśli odnajdą kogoś później, od razu zostanie zastrzelony. Po chwili powtarza to samo, tylko gdzieś dalej.

– Może powinniśmy otworzyć żaluzję i wyjść? – szepcze Grace.

– Nie! Nie możemy im ufać! – głos Cole'a wyraźnie się załamuje. – Oni po prostu nas zabiją.

– Ale jeżeli zostaniemy, a Javier ma rację, to metalowa żaluzja nie jest żadnym zabezpieczeniem – mówi Miranda. – Musimy wycofać się gdzieś dalej. Dokąd prowadzą te drzwi? – pyta, wskazując palcem.

Wydaje jej się, że wie dokąd, ale nie jest pewna.

Amina podąża wzrokiem za jej ręką.

– Do magazynu.

– Chodźmy. – Miranda podnosi się z podłogi i spogląda na Cole'a. – Pomóż mi przenieść tam Javiera.



# Najlepsze na świecie reality show

godzina 16.07

**K**iedy dzieciak o imieniu Joe albo Joel wybiega z budynku, Parker oraz pozostała grupa mniej więcej trzydziestu osób gapią się w milczeniu na Wilka. Ciszę przerywa jedynie zawodzenie małego chłopca, który zanosi się od płaczu.

– Ten gnojek zaczyna działać mi na nerwy. – Laska unosi broń. – Ucisz go, i to już!

Matka rozpaczliwie stara się uspokoić dziecko, ale bez rezultatu, bo malec szlocha coraz głośniej.

Jakiś facet w garniturze w prążki przysuwa się o krok w stronę bramki bezpieczeństwa. Laska natychmiast zapomina o płaczącym dziecku i rusza, żeby zastąpić tamtemu drogę, ale Wilk daje mu ręką znak, że wszystko jest w porządku.

Głos Biznesmena jest niski i przytłumiony, ale Parker stoi wystarczająco blisko, żeby usłyszeć każde słowo.

– Posłuchaj, chłopie, powiedz mi, czego chcesz, a ja ci to załatwię. Chcesz forsy? Mam przy sobie prawie tysiąc dolarów, a jeśli mnie puścicie, mogę dać wam jeszcze więcej.

Wilk przechyla głowę na bok.

– Forsa? – Podnosi megafon i przykłada go do ust. – Proponujesz mi pieniądze?

Parker czuje, jak krew ścina mu się w żyłach z przerażenia, kiedy Laska wymierza Biznesmenowi cios pod żebra kolbą karabinu. Facet stęka boleśnie, natychmiast wycofuje się i podnosi obie ręce. Wyraźnie stracił pewność siebie.

– Myślisz, że chodzi o pieniądze? – głos Wilka przypomina smagnięcie batem. – Myślisz, że skoro masz pieniądze, to możesz dyktować warunki, a cała reszta tych ludzi... – zatacza karabinem szeroki krąg – ...może po prostu zdychać, bo gównu cię to obchodzi?

– Najmocniej p-p-przep-raszam – jąka się Biznesmen.

Ale Wilk dopiero się rozkręca.

– Popatrzcie, czym stała się Ameryka. Miejscem, gdzie liczy się jedynie kasa. Ale my mamy zamiar obudzić ten kraj i pokazać wam, co naprawdę jest istotne. Jeśli oni tam sądzą, że w porządku jest zostawić ludzi nieżywych albo umierających, porzucić ich na pastwę losu – to poczekajcie, aż o nas zrobi się głośno. Chcemy załatwić to tak, żeby nikt nie mógł odwrócić oczu. To będzie najlepsze na świecie reality show. Autentyczny przekaz w czasie rzeczywistym! – oświadcza, uśmiechając się złowrogo od ucha do ucha.

Przesuwa taksującym wzrokiem po obecnych.

– Za mniej niż godzinę będziecie tematem dnia w wiadomościach CNN. Jutro znajdziecie się na pierwszych stronach wszystkich gazet. Za kilka dni zobaczycie siebie na okładce magazynu „People”.

Kiwa głową, jakby powinni być zadowoleni z takiego obrotu sprawy.

– I wyłącznie od waszego zachowania zależy, czy ta historia skończy się tragicznie, czy kiedyś tam będziecie udzielać wywiadów jako ci, którym udało się przeżyć. Jeśli nasze żądania zostaną spełnione, gwarantuję, że was uwolnimy. Do tego czasu radzę zachować spokój i nie wpadać w panikę. Nikomu nie stanie się krzywda, o ile zrobicie to, co wam powiemy.

Parker myśli, że trochę dużo tych warunków do spełnienia, ale jego twarz pozostaje beznamiętna.

Wilk skinieniem głowy daje znak Lasce, a ten podchodzi do wózka dozorca, stojącego przy ławce na samym środku holu. Na wierzchu leżą dwa zwoje sztywnego białego sznura z plastiku.

– Teraz po kolei zwiążecie sobie ręce, jeden drugiemu. Z przodu – oznajmia Wilk. – Polecenie dotyczy każdego, kto ma więcej niż pięć lat. Po jednej pętli dookoła przegubu dłoni. Upewnijcie się, czy ręce są ciasno związane. Jeśli ktoś zrobi to nieporządnie, zginie on i jego partner.

Niski, wzbierający pomruk przerywa nagle dzwonek telefonu gdzieś po lewej stronie od miejsca, gdzie stoi Parker. To melodia z filmu Rocky.

Ludzie natychmiast odsuwają się od wielkiego faceta w długiej zielonej kurtce, który stoi mniej więcej dziesięć kroków od wyjścia ewakuacyjnego. Gość w panice grzebie po wewnętrznych kieszeniach, żeby jak najszybciej wyłączyć dźwięk.

Myszka i Laska podrywają karabiny i wycelowują je w jego stronę. Wilk, zamiast sięgnąć po broń, szuka czegoś w tylnej kieszeni pasa, po czym wyjmuje pistolet z przykręconym tłumikiem. Niespiesznie podchodzi w stronę wyjścia ewakuacyjnego i oddaje pojedynczy strzał prosto w klatkę piersiową nieszczęśnika. Pomimo tłumika rozlega się dźwięk przypominający kłapanięcie. Ludzie zakrywają usta, żeby zdusić

krzyki przerażenia. Oczy mężczyzny rozszerzają się nienaturalnie, ale jeszcze przez kilka długich sekund udaje mu się utrzymać na własnych nogach, podczas gdy cały hol wypełnia jego rżący oddech, gwałtowny i urywany. W końcu osuwa się na kolana i powoli upada na podłogę, twarzą do linoleum.

W głosie Wilka nie słycać żadnych emocji, jakby przed chwilą zabił komara.

– Ktoś jeszcze ma przy sobie telefon?

Po chwili po podłodze suną w jego kierunku trzy komórki.

Zadanie związania Parkerowi nadgarstków przypadło Biznesmenowi. Pozostawia mu nieco luzu, ale chłopak nie potrafi stwierdzić, czy zrobił to celowo, czy przypadkiem. Mimo wszystko wydaje mu się, że to dobry pomysł, bo będzie mógł spróbować uwolnić ręce. Oczywiście nie teraz. Ale w głębi jego serca tli się iskierka nadziei, że stosowna chwila w końcu nadejdzie.

Wszyscy wykonują polecenie w milczeniu, przerywanym jedynie łkaniem dziecka i odległym dźwiękiem policyjnych syren, a w tym czasie Wilk wychodzi na środek strefy restauracyjnej, zlokalizowanej u zbiegu czterech korytarzy. Wchodzi w korytarz położony po przeciwnej stronie – ten, który prowadzi do Nordstromu – i podnosi do ust megafon.

– Jeśli w budynku przebywa ktoś jeszcze, może spokojnie się ujawnić, a my pozwolimy mu odejść. Jeżeli jednak później złapiemy kogoś, kto się schował, zastrzelimy go na miejscu.

Żaluzja antywłamaniowa w Nordstromie jest opuszczona do podłogi. Składa się z pojedynczych, cienkich metalowych płytek, przez które częściowo widać zaciemnione, opustoszałe wnętrza sklepu. Większość sąsiednich lokali wygląda tak samo, a jednak w drzwiach Sunglass Hut pojawia się jakaś kobieta w szarej sukience. Na widok Wilka zastyga z przerażenia, ale on zwraca się do niej spokojnym głosem:

– Idź. Uciekaj stąd, dopóki jeszcze masz taką możliwość.

Kobieta przechodzi przez część restauracyjną i rzuca się biegiem w głąb korytarza po prawej ręce Parkera, tak szybko, że wygląda to raczej jak kontrolowany upadek. Mija stoiska z futerałami na telefony i pilotami do telewizorów, a Parker czeka na moment, kiedy Wilk albo Myszką strzelą jej w plecy. Ale oni pozwalają jej uciec. Inni chyba musieli obserwować tę scenę i nasłuchiwać, bo po chwili z różnych sklepów wyłania się kolejno kilka postaci i rzuca w ślad za tamtą kobietą.

Parker dochodzi do wniosku, że Wilkiem bynajmniej nie kierują altruistyczne pobudki. On po prostu chce uniknąć niespodzianek. Za bramką bezpieczeństwa zamknął więcej zakładników, niż mu potrzeba, więc zdecydowanie lepszą opcją jest zachęcić do ucieczki tych, których poczynań nie zdoła kontrolować, niż musieć mieć

oczy dookoła głowy.

Teraz Wilk przechodzi w stronę dwóch kolejnych skrzyżowań korytarzy, których Parker ze swojego miejsca nie widzi, i tam ponawia wezwanie.

Po chwili jedynymi, którzy zostają, są zakładnicy zamknięci pomiędzy drzwiami spiętymi rowerową linką i wyjściem ewakuacyjnym.

Kiedy Wilk wraca do bramki, inicjatywę przejmuje Myszka.

– Hej, chcemy, żeby część z was ustawiła się w szeregu aż do szklanych drzwi. No, ruszać się!

Laska zaczyna popychać ludzi w kierunku drzwi zamkniętych rowerowym zabezpieczeniem, a wtedy Parker decyduje się cofnąć o krok. Potem o następny.

– Wszyscy przy drzwiach macie się odwrócić twarzami do parkingu – rozkazuje Wilk. – Chcę, żeby tamci widzieli dokładnie, co się stanie, jeśli nie zdecydują się na spełnienie naszych żądań. Chcę, żeby widzieli, kto będzie musiał zginąć, jeśli zechcą siłą wejść do środka.

– No, ruszać się! – pogania Laska. – Nie zmuszajcie mnie, żebym kogoś zastrzelił i w ten sposób skłonił resztę do pośpiechu. Ustawić się ramię przy ramieniu!

– Święty! – ryczy Wilk. – Ty masz stanąć przy samych drzwiach! Będziesz następnym najważniejszym tematem na Twitterze!

Chłopak przebrany za Świętego Mikołaja przedziera się przez grupki ludzi. Jego mokra od łez twarz jest prawie tak czerwona, jak jego ubranie.

Kiedy ludzie ruszają się w stronę drzwi lub w przeciwnym kierunku, Wilk mówi przytłumionym głosem do mikrofonu, który nosi przymocowany na ramieniu:

– November, odezwij się. Słyszysz mnie? November?

Nie ma odpowiedzi, więc przełącza nadajnik na inny kanał.

– Romeo, widziałeś, dokąd poszedł November? Odbiór.

Odpowiedź, która rozbrzmiewa z odbiornika, jest krótka i zdecydowana.

– Nie.

Parker znajduje się teraz przy wejściu do Shoe Mill. Wszyscy gapią się na to, co dzieje się przy przeszklonych drzwiach, więc cofa się jeszcze o krok, i oto już jest wewnątrz sklepu. Z tego miejsca nie widzi żadnego z terrorystów, a to oznacza, że oni także nie widzą jego. Teraz tylko słyszy ich głosy.

– Kilo, zakładnicy są zabezpieczeni – oznajmia Wilk. – Powtarzam, zakładnicy są zabezpieczeni.

W odpowiedzi z nadajnika rozlega się głos Kilo.

– Dobrze. Ile ofiar śmiertelnych?

– Dziewięć w strefie restauracyjnej. Może więcej, bo nie liczę tych, którzy początkowo jeszcze byli w stanie się ruszyć. Jedna tutaj. To na razie tyle. – Głos Wilka jest pełen pogardy: – Głupek próbował ukryć telefon.

– A pozostali strażnicy? – dopytuje niewidoczny Kilo.

Parker, wślizgując się głębiej w zakamarki sklepu, zastanawia się, gdzie, jak daleko stąd jest ten facet. I w ogóle, ilu zabójców znajduje się w centrum handlowym?

– Już się nimi zajęliśmy. Romeo jest w kontakcie z gliniarzami.

– Przekazałeś wiadomość? – głos Kilo jest teraz ledwo słyszalny.

– Tak – odpowiada Wilk.

– W takim razie czekamy.

Wilk coś jeszcze mówi, ale jego słowa nikną, w miarę jak Parker przesuwa się ku tylnej ścianie salonu obuwniczego.

# Jak długo

godzina 16.07

**M**iranda pochyla się i chwyta Javiera za rękę, żeby pomóc mu wstać. Po chwili Cole robi to samo z drugiej strony. Kiedy Javier znajduje się już w pozycji pionowej, oplata ramionami ich szyję. Stęka boleśnie, opierając się na prawej nodze, i kurczowo zaciska palce na ręce Mirandy. Pachnie kwaśno potem i metaliczną wonią świeżej krwi z domieszką nuty słodkiego szamponu.

Chwiejnym krokiem podążają w kierunku kas i przebieralni, znacząc podłogę szlakiem czerwonych kropli. Jeśli ich prześladowcy zdołają przedostać się przez żaluzję, od razu zorientują się, gdzie ich szukać.

Z wysiłkiem przekraczają próg magazynu. Pomieszczenie ma jakieś cztery i pół na sześć metrów i od podłogi aż do sufitu wypełnione jest wysokimi metalowymi półkami, na których piętrzą się starannie poskładane ubrania. Z tyłu stoi malutkie biurko, a obok dwa rzędy niewielkich schowków. Znajdujące się w kącie drzwi prowadzą do niewielkiej łazienki z toaletą i umywalką.

Amina zamyka za nimi drzwi magazynu. Spogląda na ekran telefonu i wykrzywia usta.

Miranda, Cole i Javier przysuwają się do krzesła, które stoi przy biurku. Miranda w półmroku dostrzega na tablicy wiszącej na ścianie zdjęcie, a na nim własną, pozbawioną uśmiechu twarz, i szybko odwraca wzrok w nadziei, że nikt jej nie rozpozna.

Powoli schyla się, żeby Javier mógł usiąść na krześle, ale Cole nie powtarza jej ruchu. Zamiast tego wolną ręką zrzuca z najbliższej półki na podłogę dwa stopy sweterków w jasnym kolorze.

– Javier musi mieć nogi wyżej niż głowę, bo inaczej dozna wstrząsu – Cole wypowiada te słowa szorstko, niemal ze zniecierpliwieniem. Kopnięciem rozrzuca swetry, a następnie wspólnie z Mirandą, najostrożniej jak się da, układają Javiera na podłodze. Mimo to, kiedy Javier plecami natrafia na twarde podłoże, krzywi się z bólu i przekręca się nieco na bok.

Miranda pomaga mu unieść stopę na oparcie krzesła. Okazuje się, że w ruchu

poluzował się prowizoryczny bandaż.

– Muszę to zawiązać jeszcze raz – mówi, biorąc do ręki końce rękawów. Javier kiwa głową i zaciska zęby. To przypomina wyciskanie zakrwawionej gąbki. Może powinna raczej spróbować zrobić opaskę uciskową? W głowie widzi strzępy wspomnień: Matthew i pasek zaciśnięty dookoła jego bicepsa. Potrząsa głową, starając się skoncentrować na tym pomieszczeniu, na tym chłopaku, którego gorąca krew niemal parzy jej dłonie.

– Dziękuję – szepcze Javier. – Po raz kolejny.

Miranda kiwa głową i wyciera ręce w dzinsy, zbyt późno przypominając sobie, że przecież tuż obok jest łazienka z bieżącą wodą. Jak długo zdołają się ukrywać, gdy nie będzie tu leżał krwawiący chłopak, lecz jego martwe ciało?

Wyjmuje telefon, żeby wysłać esemesa do swoich rodziców, wiedząc, że każde z nich zareaguje inaczej. Tata natychmiast rzuci się do działania. Mama zapewne się rozsypie.

*Strzelanina w Fairgate Mall. Schowałam się u Culpeppersów. Zawiadomcie gliny. Jeden chłopak postrzelony w nogę.*

Kiedy Miranda kończy, Amina podnosi wzrok znad swojego aparatu.

– Dzwonię i dzwonię na dziewięćset jedenaście, ale nikt nie odbiera. Jak to możliwe?

– Możliwe, bo każdy, kto jeszcze ma taką opcję, wydzwania pod numer alarmowy – odpowiada Cole. – Są przeładowani. Jesteśmy zdani sami na siebie.

W jego głosie nie słyhać przerażenia, ale ręka wyraźnie mu drży, kiedy próbuje odgarnąć opadające na oczy włosy.

Grace siedzi na podłodze z plecami opartymi o biurko. Potrząsa głową.

– Nie, nie, nie – jej głos wznosi się i po chwili załamuje. – Ktoś przecież przyjdzie, żeby nas uratować.

– Nie liczylibym na to – odpowiada bez ogródek Cole. – Słyszałaś chyba, co tamci mówili o roli zakładników?

Miranda usiłuje sobie przypomnieć, co słyszała zza metalowej żaluzji.

– Jeśli są zakładnicy, to policja wstrzymuje atak i rozpoczyna negocjacje. Nie będą wdzierać się siłą, bo nie zaryzykują, że ktoś zostanie zastrzelony. Tak więc może to potrwać naprawdę długo.

Cole otwiera szufladę biurka i przeszukuje jej zawartość.

Jedyną odpowiedzią ze strony Grace jest ciche kwilenie. Po chwili dziewczyna zaczyna kiwać się w przód i w tył.

– To nie może być prawda – mówi Amina. – To zupełnie jak w kinie. Albo jak w nocnym koszmarze. – Zamyka oczy. – Chcę się obudzić.

– Nikt z nas nie może sobie pozwolić na to, żeby stąd wyjść. Nie, jeśli chcemy żyć. – Cole otwiera następną szufladę. – Rozejrzyjcie się i zobaczycie, co może nam posłużyć za broń.

Ale w tym pomieszczeniu są jedynie ubrania. Co mieliby zrobić, oślepić zamachowców za pomocą wyszywanego cekinami sweterka?

Cole skończył przegląd szuflad i wychodzi z biurka z trzypunktowym dziurkaczem oraz parą nożyczek.

– Jeśli uda im się wtargnąć do sklepu, musimy być gotowi do ataku – oznajmia.

Miranda nie ma zamiaru powierzyć swojego życia komuś uzbrojonemu jedynie w dziurkacz.

– Czy nie możemy po prostu zamknąć tych drzwi? – zwraca się do Aminy.

W odpowiedzi Amina kręci głową.

Miranda próbuje, czy uda się jej przepchnąć najbliższy regał z ciuchami. Półka nawet nie drgnie. Wobec tego Miranda napiera na nią całym swoim ciężarem. Tym razem mebel przesuwa się odrobinę, może o pół centymetra. Mimo to Miranda czuje przyływ podniecenia.

– Jeśli uda nam się przesunąć te regały tak, żeby zabarykadować drzwi, oni nie zdołają tutaj wejść. Wtedy nie będzie miało znaczenia, że nie mamy czym się bronić.

– To całkiem dobry pomysł – przyznaje Cole, a Miranda czuje ukłucie dumy.

Przysuwa się do regału, który stoi najbliżej drzwi.

– Pomóżcie mi go opróżnić, to nie będzie taki ciężki.

Amina i Cole ruszają w jej kierunku, ale Grace ani drgnie. Miranda podchodzi bliżej i wyciąga obie ręce.

– No dalej, Grace. Wstań i pomóż nam.

Po kilku sekundach Grace chwytając dłonie Mirandy i podnosi się z podłogi, wciąż pochlipując.

– Może ja też do czegoś się przydam. – Javier unosi się na łokciach.

– Nie, stary, nie przydasz się – mówi Cole bez ogródek. – Lepiej leż spokojnie, bo jak zaczniesz łązić, rana będzie krwawiła mocniej.

Miranda, Grace i Cole wspólnymi siłami zaczynają zrzucać na podłogę sterty flanelowych koszul i pudeł z masywnymi butami, podczas gdy Amina stara się układać je w porządkne stosy. Półki zrobione są z lekkiej, lichej stali, o wiele mniej



solidnej niż sama konstrukcja regałów, więc postanawiają zostawić je na miejscu.

Miranda wypowiada bezgłośnie: „raz, dwa, trzy” i na „cztery” cała czwórka popycha regał, ale ten przesuwa się zaledwie o kilka centymetrów. Bez zbędnego gadania stopniowo orientują się, co należy zrobić, aby wspólny wysiłek przynosił rezultaty, i przy każdym popchnięciu przesuują regał odrobinę dalej. Za którymś razem rozlega się głośny, metaliczny zgrzyt i wszyscy zastygają w bezruchu, jednak po drugiej stronie drzwi panuje cisza, więc wracają do pracy.

W końcu udaje im się ustawić metalową konstrukcję w poprzek drzwi.

– Dobra robota – sapie Cole.

Amina bezgłośnie bije brawo, Grace próbuje się uśmiechnąć, choć usta jej drżą, Miranda zaś nie może nic poradzić na to, że uśmiecha się od ucha do ucha.

Nagle Cole rzuca szeptem jakieś przekleństwo.

– O co chodzi? – Miranda z bliska przygląda się drzwiom. Nie widać zawiasów, co oznacza, że muszą być z drugiej strony, czyli... Teraz ona także klnie szpetnie.

Oczy Aminy wypełniają się łzami. Tylko Grace sprawia wrażenie zdezorientowanej.

– Spójrz na drzwi. Otwierają się na zewnątrz – wyjaśnia Miranda.

**@jennyhkoln**

Policja w Portland potwierdza, że w Fairgate Mall doszło do strzelaniny.

**@carriefriday**

Tylko nie to! Módlmy się za wszystkich w #FairgateShooting. Bądźcie bezpieczni.



**@SaraKiplinger**

Dopóki się nie dowiemy, co właściwie tam się wydarzyło, mogę powiedzieć o #FairgateShooting tylko jedno: że jestem wściekła – znowu!

**@Portland Police**

Jednostki straży pożarnej składają meldunki o dwudziestu ofiarach śmiertelnych zaincydenta w Fairgate Mall. Oddziały policji pracują nad oczyszczeniem miejsca zdarzenia.

**@LuPodmove**

Wspaniale! Następna masowa strzelanina! Wydaje się, że one są już na porządku dziennym, z byle powodu. Rzygać się chce! Myślami jestem z ludźmi w #FairgateShooting.

**@naturalknots**

#FairgateShooting to zamach na nasz dom. Bycie tutaj to przywilej, a nie prawo. Kiedy wreszcie to szaleństwo się skończy?

**@MsCampbell Reads**

Źle to wygląda. Trzymam kciuki za siły porządkowe i niech Bóg będzie z wami! Nasza policja jest naprawdę wspaniała!

#FairgateShooting

**@tracybarrynews**

Strzelanina w Portland, Oregon. Policja potwierdza udział 4–8 zamachowców, którzy noszą maski i przypuszczalnie kamizelki kuloodporne. Jak dotąd nikt nie został aresztowany. Kilka ofiar śmiertelnych.

# Bez względu na to, co się wydarzy

godzina 16.17

**M**iranda z gniewem odwraca się do Aminy.

– Ty tutaj pracujesz – mówi przez zaciśnięte zęby. – Wiesz, w którą stronę otwierają się te cholerne drzwi! Dlaczego nic nie powiedziałaś, kiedy wypruwaliśmy sobie flaki, żeby je zastawić?

Teraz wystarczy, że zabójcy szarpnięciem otworzą drzwi, wsadzą między półki lufy karabinów i poślą serie pocisków do wnętrza magazynu.

Amina opiera ręce na biodrach.

– Hej, to był twój pomysł, nie mój! Poza tym ja też pchałam to dziadostwo! Zwyczajnie nie pomyślałam, to wszystko.

– Cisza! – Cole przykłada palec do ust. – Bo was usłyszą!

Z jednej strony Miranda wie, że on ma rację, z drugiej jednak musi dać upust złości, która krąży w jej żyłach, rozładować nieco napięcie.

– Może ona chce, żeby tamci nas usłyszeli! Ostatecznie nosi hidżab!

– Co ty wygadujesz? – szepcze Amina.

Grace otwiera szeroko oczy i przesuwa spojrzeniem od jednej do drugiej.

– Jak to się u was mówi? Allahu akbar? – mówi Miranda. – Zdaje się, że muzułmanie czczą boga wtedy, kiedy strzelają do ludzi albo podkładają bomby.

Oczy Aminy robią się okrągłe ze zdumienia.

– Czy słyszałaś, żeby ktoś mówił coś podobnego?

W odpowiedzi Miranda spuszcza wzrok. To straszna sprawa. Jednak terroryści rzeczywiście nie powiedzieli nic na ten temat. Ale z jakiego innego powodu mieliby się dopuścić tak okropnego czynu?

– Jestem tak samo Amerykanką jak wy! I rzygać mi się chce, kiedy ludzie nazywają mnie terrorystką tylko dlatego, że noszę zakryte włosy! W każdej religii

zdarzają się świry!

Amina unosi wysoko podbródek.

– A jeśli faktycznie jestem ich współniczką, to dlaczego dałam się schwytać w pułapkę?

– Nie słyszałem, żeby ktokolwiek mówił coś na temat Boga. – Cole zamyka oczy i przętyka ślinę. – Jednak jestem pewien, że ci goście mają jakiś cel.

– Owszem – cicho odzywa się Javier. – Chcą zabić tylu ludzi, ilu tylko zdołają. I czy kogoś obchodzi, dlaczego to robią?

– W porządku. Przepraszam – wykrztusza Miranda i rusza w stronę Javiera. To tylko kilka kroków, ale nim do niego dociera, nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Bezwładnie osuwa się na matę z rozrzuconych swetrów. Kiedy pomagała rannemu albo starała się zabarykadować drzwi, czuła się silna, ale teraz w jej głowie zapętała się seria przerażających obrazów. Krwawa plama rozkwitająca na piersi mamy Grace. Wyraz twarzy eleganckiej pani w czerwonym szalu, kiedy trafił ją pocisk. Nogi kobiety z kręconymi włosami, bezwładnie kopiące zalaną krwią podłogę, dopóki następny strzał nie uspokoi ich na zawsze.

Ile jeszcze potrwa, zanim wszyscy obecni w tym pomieszczeniu będą martwi tak samo jak ona?

Muśnięcie czyichś palców sprawia, że Miranda podskakuje ze strachu, a serce wali jej jak młotem. To tylko Javier. Delikatnie ściska jej dłoń, a następnie odsuwa rękę.

Miranda spogląda na swoich towarzyszy. Cole przeciera dłońmi twarz, Amina zagryza wargi, nerwowo wystukując coś na komórcę. Po policzkach Grace ciekną ciurkiem łzy, kiedy mruczy na przemian „tata” i „mama”, co chwila dziobiąc palcem ekran telefonu.

Cole podnosi głowę.

– Hej, czy ktoś z was słyszał coś w ciągu ostatnich paru minut?

– Masz ma myśli coś z zewnątrz, tak? – Miranda zmusza się do przypomnienia sobie tego, co działo się przed chwilą. – Nic. To znaczy, nic od chwili, kiedy tamten facet skończył gadać przez megafon.

– Moim zdaniem oni przestali zabijać. Bo gdyby wciąż strzelali do ludzi, policja przypuściłaby atak. A jeśli nikogo nie mordują, mogą zacząć się negocjacje.

Jak długo może to potrwać? Swetry pod nogą Javiera są przesiąknięte krwią. Pilnie potrzebny jest lepszy opatrunek niż kilka dresowych bluz.

Miranda już wie, gdzie go znaleźć.

Wsuwa rękę pod luźną bluzkę i muska palcami szeroki elastyczny bandaż, który

ma owinięty wokół brzucha. Nikt nie patrzy w jej stronę, kiedy zręcznym ruchem wyjmując stamtąd kilka pudełeczek z tuszem Clinique i chowa je pod stosem swetrów. Prostując się, dostrzega, że Javier ją obserwuje, ale jego twarz nie zdradza, żeby dostrzegł coś podejrzanego.

Miranda szybko rachuje w pamięci. Gdyby nie wydarzyło się to, co się wydarzyło, teraz byłaby w drodze do Matthew. Gdyby sprawy szły zwykłym trybem, wręczyłaby mu rzeczy, które udało się jej ukraść w ciągu ostatnich kilku dni, i wkrótce czułaby się znacznie lepiej. Albo raczej nic by nie czuła... Teraz zaś wzbiera w niej głód narkotyku. Drżąc na całym ciele, wyciera nos wierzchem dłoni.

– Nie płacz.

To Javier został postrzelony, a mimo to to właśnie on stara się ją pocieszyć.

– Nie płaczę. – Oczy Mirandy są wilgotne, ale mówi prawdę. Wyjmuje spod bluzki bandaż.

Nagle Grace podnosi do ucha telefon, a wyraz jej twarzy gwałtownie się zmienia.

– Tata!

Wszyscy dają jej znaki, żeby mówiła cicho, i nachylają się ku niej, żeby posłuchać.

Blask powoli znika z oczu Grace, a w jej głosie nie słychać radości.

– Tak, w porządku. Tato, jeśli w ogóle mnie słyszysz, to po pierwsze chcę, żebyś wiedział, że cię kocham. Rozumiesz? Bardzo cię kocham. Jestem w Fairgate Mall w Portland. Och, tatusiu, tutaj są faceci z karabinami i zabijają ludzi...

Jej głos się załamuje.

– I... mama... mama nie żyje. Oni ją zastrzelili. – Przetyka ślinę. – Ja siedzę w ukryciu razem z paroma osobami w sklepie Culpeppersów. Właściwie to w magazynie – dodaje zduszonym szeptem. – Bez względu na to, co się teraz wydarzy, chcę, żebyś wiedział, że bardzo was kocham, was i Emily.

Kończy połączenie, zakrywa dłońmi oczy i zaczyna płakać.

Cole przysuwa się bliżej i obejmuje ją ramieniem.

– Strasznie mi przykro, że cię to spotkało.

– To nie twoja wina – szlocha Grace.

Nieudane połączenie z jej aparatu uświadamia wszystkim, jak bardzo są opuszczeni. Miranda odrywa myśli od głodu, który dokucza jej coraz bardziej. Czuje się całkiem bezradna, ale w końcu jest coś, czym może się zająć.

– Hej, czy ktoś z was może pomóc mi opatrzyć nogę Javiera? On ciągle krwawi.

Cole obdarza Grace lekkim uściskiem, a następnie podchodzi i pochyla się nad

Javierem.

– No, chłopie, jak się czujesz?

– W porządku – odpowiada Javier. Na czole perlą mu się gęste krople potu. – To znaczy, trochę mnie boli – dodaje po chwili.

– Postaraj się zachować spokój – Cole sam mówi to z takim spokojem, jakby zdrowie Javiera nic a nic go nie obchodziło. – Im bardziej jesteś zestresowany, tym wyższe jest ciśnienie twojej krwi. Co oznacza, że więcej krwi ucieka... Gdybyśmy mieli apteczkę, nałożyłbym ci na ranę jakiś środek przyspieszający krzepnięcie, ale niestety niczego takiego nie mamy.

Cole sprawia wrażenie mądrego chłopaka. Być może ma trochę za długie włosy, ale...

– Służysz w wojsku albo w jakiejś innej formacji tego typu? – pyta Miranda.

– Moi bracia służyli – głos mu się załamuje i Cole odwraca wzrok w kierunku strefy restauracyjnej, a jego twarz wykrzywia ból.

Miranda nie pyta o nic więcej. Nie chce wiedzieć, co oznacza czas przeszły. Albo od kiedy to zdanie jest prawdziwe.

Na blacie biurka stoi butelka wody mineralnej. Cole odkręca nakrętkę i wacha zawartość butelki.

– Woda – oświadcza i podaje butelkę Javierowi. – Proszę. Pij małymi łykami co minutę albo co dwie. Popijanie wody jest jedynym sposobem na uzupełnienie krwi, którą straciłeś. Tylko nie pij za dużo ani zbyt łapczywie, bo zwymiotujesz.

Miranda wyjmuje bandaż elastyczny.

– Możesz mi pomóc zabandażować mu tę nogę?

Cole bierze od niej koniec brązowego materiału.

– Skąd to masz? – pyta.

– Obiłam sobie zebra. – Miranda ma nadzieję, że Javier nie wspomni nic o tuszach do rzęs.

– Myślałem, że lekarze już nie stosują takich sztuczek jak bandażowanie żeber – mówi Cole. – To wcale nie jest dobrze, kiedy są unieruchomione.

Kiedy jedyną odpowiedzią Mirandy jest wzruszenie ramionami, Cole odwraca się do Javiera.

– Lepiej najpierw obejrzyjmy tę ranę. Może da się czymś ją zatamować.

Cole bierze z biurka nożyczki i myje je w łazience pod bieżącą wodą. Wraca, ujmuje dwoma palcami materiał spodni tuż obok rany na udzie i wycina w nim spory

okrąg. Javier leży nieruchomo, jego twarz lśni od potu.

Cole wyciera krew czystym swetrem. Rana prowadząca ku zewnętrznej stronie uda nie jest tak groźna, jak obawiała się Miranda. Jest niewielka, ma wielkość jej małego palca i wygląda bardziej jak zadrapanie.

– To musi być rana wlotowa – oświadcza Cole.

Rozkłada czysty sweter obok Javiera, a potem pomaga mu przeturlać się na brzuch. Z tyłu rana przypomina wielkością monetę pięciocentową o poszarpanych brzegach. Cole stara się ją oczyścić, ale od razu napływa nowa krew. Amina i Grace przyglądają się temu przez chwilę, a potem obie się krzywią i odwracają wzrok.

– Masz cholernie dużo szczęścia, że kula ominęła kość i że przeszła na wylot – słowa Cole'a brzmią pogodnie, ale wyraz jego twarzy jest bardzo poważny. Na szczęście Javier tego nie widzi.

Cole patrzy na Aminę.

– Czy w sklepie sprzedajcie coś małego? Jakąś czystą i małą rzecz, którą mógłbym wpakować w ranę, żeby zahamować krwawienie.

Amina omiata wzrokiem półki.

– Może potniemy szal?

Javier podpira się na łokciach.

– A nie macie takiego dziewczynskiego gadżetu? – pyta.

Amina i Miranda wymieniają zdziwione spojrzenia.

– No wiecie, el tampon? – wypala Javier.

– On ma rację! – W oczach Cole'a pojawia się błysk ekscytacji. – Jeśli mielibyśmy tampon, można by nim zatkać ranę po kuli i zapewne udałoby się nam zatamować krwawienie.

Pozostałe dziewczyny milczą, więc Miranda postanawia się odezwać.

– Hm, ja mam tampon.

Otwiera torebkę, wyjmuje go i unikając kontaktu wzrokowego, wyciąga rękę, żeby podać go Cole'owi. On jednak kręci głową.

– Nie potrzeba, żeby dotykała go kolejna para rąk. Umyj ręce, a potem, kiedy wyjmiesz tampon z opakowania, postaraj się dotykać tylko aplikatora.

Och, nie, nie, nie!

– A dlaczego ty nie możesz tego zrobić? – pyta Miranda.

– Chcę do minimum ograniczyć ryzyko zanieczyszczenia.

Po dłuższej chwili Miranda idzie do łazienki, żeby umyć ręce. Woda momentalnie robi się różowa od spływającej z jej palców krwi Javiera. Kiedy znowu staje się przezroczysta, Miranda decyduje się zmyć ten śmieszny makijaż, i tak już rozsmarowany po całej twarzy i naznaczony strumieniami łez. Odkręca zimną wodę, robi łądkę z dłoni i pije łąpczywie.

W lustrze jej oczy spoglądają na nią z całkiem obcej twarzy. Kim jest ta dziewczyna z ciemnymi półksiężycami pod oczyma i krwawymi plamami na ubraniu?

Miranda odrywa spojrzenie od tej postaci, odkręca kran z gorącą wodą i szoruje dłonie mydłem. Sięga po papierowy ręcznik, a następnie starannie wyciera dłonie. Potem wraca do głównego pomieszczenia magazynu, klęka obok Javiera i otwiera opakowanie.

– Po prostu włóż go powoli – mówi jej Cole, a Javierowi nakazuje: – Weź kilka głębokich oddechów.

Udaje jej się wsunąć aplikator w ranę wylotową, idzie łatwiej, niż sądziła. Jest już mniej więcej w połowie drogi, kiedy Javier jęczy cicho. Miranda zamiera, jednak Cole daje jej znak, żeby nie przestawała. Powstrzymując falę mdłości, robi to, co on każe, dopóki nie widzi sznureczka, a następnie ostrożnie wyciąga aplikator.

W tym czasie Cole tnie flanelową koszulę na kwadraty. Amina i Miranda pomagają mu utrzymać materiał w miejscu, kiedy obwiązuje nogę Javiera bandażem elastycznym z samoprzylepnym brzegiem. Grace nie robi nic poza przyglądaniem się, ale przynajmniej przestała mruczeć i zawodzić.

Javier przewraca się z powrotem na plecy.

– Dziękuję – mówi miękko. – Dziękuję wam, Cole’u i Mirando, Amino i Grace.

Po kolei kiwa głową w stronę każdego z nich.

Miranda odwraca wzrok. Czy takie rzeczy w ogóle mają znaczenie? Może Javier lub ktokolwiek inny i tak umrze, tak jakby nikt niczego nie zrobił?



# To ja będę decydował

godzina 16.18

**P**arker cofa się jeszcze o krok w głąb Shoe Mill i jest już poza zasięgiem wzroku morderców. Pozwala, żeby to jego ciało podejmowało decyzje. To uczyniło z niego niezłego zapaśnika. Jeśli człowiek czeka, aż wszystko przeanalizuje, zwykle kończy się tym, że nie może wykonać żadnego manewru.

Nawiasem mówiąc, w tej sytuacji lepiej posłuchać ciała, a nie głowy. Gdyby Parker kierował się logiką, już dawno powinien wrzeszczeć jak opętany... Tymczasem w milczeniu przyglądał się, jak umierają ludzie.

Ale teraz nie będzie o tym myślał. Na razie musi skupić się na odnalezieniu Moxie. Odnaleźć ją i uratować. Dotąd jeszcze nie wpadł na pomysł, jak tego dokonać. Może znajdą jakąś kryjówkę albo uda im się trafić na wyjście ewakuacyjne, które terroryści przeoczyli. Albo może okaże się, że Parker naprawdę miał mnóstwo szczęścia i że Moxie nie jest nigdzie uwięziona, tylko udało jej się wydostać na zewnątrz.

Co prawda, mordercy nie mogą go teraz zobaczyć, lecz niektórzy z zakładników jak najbardziej. Ludzie, którzy nie zostali ustawieni rzędem przy szklanych drzwiach, stoją pod ścianami albo siedzą na ławkach bądź podłodze. Szerokim łukiem omijają zabitego mężczyznę. Początkowo porozumiewali się szeptem, ale kiedy nie spotkało się to z reakcją w postaci wrzasków lub strzałów, szept przeszedł w cichy pomruk. Dziewczyny z college'u stoją jedna przy drugiej i popłakują, obejmując się ramionami. Tuż obok nich matka płaczącego wcześniej chłopczyka kołysze go miarowo, a jej dłonie zaplecione są ciasno na jego wąskich plecach. Na szczęście maluch zdaje się zasypiać.

Parker jest już w głębi sklepu. Intensywny zapach skóry wypełnia jego nozdrza. Nigdzie ani śladu Moxie, ale z tyłu wisi szara zasłona zrobiona z szerokich na siedem centymetrów gumowych pasów, w rodzaju tych, które trzeba rozdzielić, żeby wejść głębiej. Jeśli Moxie w ogóle jest w sklepie, myśli Parker, to właśnie tam ją znajdzie.

Ile czasu może upłynąć, zanim Laska podejdzie na tyle blisko, żeby zajrzeć do wnętrza sklepu? Parker boi się odwrócić do wejścia, więc szurając nogami, posuwa się do tyłu. Serce na moment przestaje mu bić, kiedy zahacza łydką o jedną z tych małych

ławek, na których siadają ekspedienci. Chwieje się, ale udaje mu się utrzymać równowagę.

Wreszcie gumowe pasy, które przez cały czas szorowały o podłogę, ocierają się o jego ramiona. Jeszcze jeden krok do tyłu i pasy się rozstępują. Parker jest po drugiej stronie.

Nagle do skroni przywiera mu coś zimnego. Z przerażenia krew ścina mu się w żyłach.

– Ani mru-mru – szepcze mu wprost do ucha jakiś mężczyzna.

Parker czuje jego kwaśny oddech. Stać go tylko na tyle, żeby odwrócić wzrok w jego stronę. Między regałami pełnymi pudeł z butami stoi facet z ogoloną na łyso głową – ten sam, którego najpierw widział za kolumną.

Parker unosi wysoko związane dłonie. Decyduje się zaryzykować odpowiedź.

– Ja tylko szukam swojej siostry. Ma siedem lat i jest ubrana w czerwony płaszczyk.

Mężczyzna wzrusza ramionami. Jego pozbawiona wyrazu twarz lśni od potu.

– Nie widziałem jej. – Podbródkiem wskazuje w kierunku wyjścia. – Co tam się dzieje?

– Wszyscy zostaliśmy złapani w pułapkę pomiędzy wyjściem i bramką bezpieczeństwa, którą tamci zamknęli. Jeden został w środku, dwóch jest na zewnątrz. Wszyscy mają broń automatyczną. Zmusili część ludzi do stania przy drzwiach wyjściowych, twarzami do zewnątrz. Zapewne po to, żeby policja przemyślała sprawę, czy wchodzić do budynku.

Parker spogląda na łąsą głowę nieznajomego i na jego prężące się pod kurtką bicepsy.

– Jesteś gliną? – pyta.

– Nie – brzmi krótka odpowiedź.

– Co zamierzasz zrobić? Musisz ich powstrzymać, zanim zabiją następną osobę.

Nieznajomy odpowiada przez zaciśnięte zęby:

– Bądź rozsądny. Jeśli stąd wyjdę, natychmiast mnie sprzątną. Pewnie uda mi się zdjąć jednego, może dwóch, jeśli będę miał naprawdę dużo szczęścia. Ale ich jest co najmniej trzech. – Kręci głową. – Nie, mam zamiar zostać tu, gdzie jestem. W ten sposób mam pod kontrolą przestrzeń, nie tamtych. Jeśli któryś z nich tutaj wejdzie, to ja będę decydował, kto przeżyje, a kto umrze.

Bokiem rewolweru trąca tył głowy Parkera.

– Więc wynoś się stąd. Ruszaj. Życzę powodzenia w poszukiwaniu siostry. Jeśli ci się uda, na twoim miejscu spróbowałbym poszukać jakiejś kryjówki. Tam, na zewnątrz, jesteś tylko członkiem stada. Pamiętaj, że oni szukają zwierząt do odstrzału.

godzina 16.24

**Skinner:** Chryste, on zmusza wszystkich zakładników płci męskiej do tego, żeby położyli się rzędem na podłodze, brzuchami do ziemi.

**Dyspozytor:** Ilu zakładników?

**Skinner:** Mniej więcej dwunastu. Mam wrażenie, że zamierza ich zabić. Chce urządzić egzekucję!

**Dyspozytor:** Do jednostki sześćdziesiąt osiem. Informator zgłasza, że jeden z terrorystów zmusza mężczyzn do położenia się na podłodze. Jego zdaniem napastnicy planują przeprowadzenie egzekucji.

**Jednostka 68:** Pilnie potrzebny zespół negocjatorów.

**Dyspozytor:** Przyjąłem.

# Wszystko, żeby przetrwać

godzina 16.24

**K**iedy telefon Mirandy zaczyna cichutko wibrować, dziewczyna podskakuje ze strachu. To tata. Od razu czuje, jak jej serce zalewa fala radości. Jeśli ktokolwiek może ogarnąć ten chaos, to na pewno on. Podróżuje dookoła świata, kupuje upadające firmy i przywraca im świetność. Zdarzyło się nawet, że jadł kolację z prezydentem, i to dwukrotnie.

Zapomina, że powinna szeptać.

– Tata!

– Ciii...

Amina przykłada palec do ust. Javier ostrzegawczo podnosi rękę. Cole marszczy brwi. Tylko Grace pozostaje obojętna.

– Skarbie, gdzie jesteś? Wszystko w porządku? Udało ci się stamtąd wydostać?

Miranda dotąd jakoś dawała radę panować nad emocjami, ale teraz, na dźwięk jego głosu, jej oczy wypełniają się łzami. Czuje się tak, jakby ktoś zacisnął w pięści jej serce.

Przez moment nie może mówić, ale w końcu udaje jej się wydobyć z gardła zduszony szept:

– Nie, wciąż jestem w sklepie Culpeppersów. To znaczy... jesteśmy. W sumie jest nas pięcioro, wliczając mnie.

– Pozwól mi zamienić kilka słów z kimś, kto tam jest kierownikiem.

Tata wciąż niczego nie rozumie. Nikt nie jest kierownikiem, nie ma żadnej dorosłej osoby, a ty musisz wykombinować, jak przetrwać, używając tylko tego, do czego masz dostęp.

– Wszyscy tutaj są mniej więcej w moim wieku – mówi Miranda, rozglądając się po pomieszczeniu. Javier zagryza wargi. Grace drży jak osika. Amina owija dookoła palców brzeg szala, kąciki jej ust wyraźnie opadły. Twarz Cole'a wygląda jak wyciosana z kamienia.

– Próbowaliśmy się wydostać przez korytarz służbowy, ale tam także była

strzelanina. Udało nam się opuścić metalową żaluzję przed wejściem do sklepu, ale wydaje się, że ona nie zatrzyma pocisków, więc schowaliśmy się w magazynie.

– To dobry pomysł – odpowiada tata. – To bardzo dobry pomysł.

Pochwała sprawia, że Miranda przez chwilę zapomina, gdzie jest. Ojciec, pomiędzy ciągłymi podróżami w interesach i zajęty nowo narodzonymi bliźniakami, rzadko miewał dla niej czas. Upłynął co najmniej miesiąc od chwili, kiedy rozmawiali po raz ostatni.

– Musisz trzymać się od tych bandytów tak daleko, jak tylko zdołasz – jego głos jest przytłumiony, jakby zwracał się do kogoś innego, ale za chwilę powraca do niej. – Sklep Culpeppersów... Gdzie on się znajduje? Tutaj wciąż starają się ustalić jakiś plan działania.

Miranda usiłuje sobie przypomnieć.

– Chyba między LA Nails i Gymboree. Po przeciwnej stronie strefy restauracyjnej niż Nordstrom.

– Czy wiesz, ilu jest zamachowców? Facet, z którym przed chwilą rozmawiałem, próbuje zweryfikować tę informację.

– Zaczęli strzelać z piętra w dół, w stronę strefy restauracyjnej. – Miranda musi przełknąć ślinę, żeby mówić dalej. – Jest ich chyba czterech albo pięciu.

– W porządku. Zaraz przekażę to dalej. Zatrzymali przynajmniej dwa tuziny zakładników. Zamknęli wszystkie wyjścia i kazali zakładnikom ustawić się w rzędzie twarzami do szklanych drzwi.

Czy właśnie tam jest Parker?

– Kiedy zobaczyłam, że wyjście ewakuacyjne jest zamknięte linką rowerową, od razu się stamtąd wycofałam.

– Dzielna dziewczynka! Udało ci się zachować przytomność umysłu. W esemesie napisałaś, że ktoś krwawi?

– Tak. Jeden z chłopaków, którzy są tu ze mną, został postrzelony w nogę. – Miranda wymienia spojrzenia z Javierem. – Ale wydaje mi się, że udało się nam zatamować krwotok.

– Doskonale – głos taty brzmi teraz donośniej. – Mirando, jestem z ciebie dumny. Rób dalej wszystko, żeby przetrwać, okay?

Nagle ścisza głos do szeptu.

– I zajmuj się przede wszystkim sobą, rozumiesz? Ty masz się zatroszczyć o Mirandę i pozwolić, żeby inni troszczyli się o siebie.

Miranda czuje przyływ zadowolenia, że nie przełączyła rozmowy na głośnik.

– W porządku – mówi krótko.

– Jest jeszcze coś, o czym powinnaś wiedzieć. Słyszałem, że mają zamiar wysłać tam antyterrorystów, żeby pozdejmowali strzelców. Czy wiesz, co to jest granat hukowo-błyskowy?

– Rodzaj granatu?

– Owszem, tylko on nie wysadza niczego w powietrze. Po prostu robi straszny hałas i emituje jasne światło. Ogłusza ludzi. Więc nie przestrasz się, jeśli usłyszysz eksplozję. To tylko osłona dla antyterrorystów, żeby mogli zakończyć sprawę.

– W porządku.

– Upewnij się, czy wiecie dokładnie, gdzie jesteście, ale nie wolno wam ruszać się z miejsca, dopóki nie zajmą się tamtymi bydlakami. Czekać spokojnie, dopóki nie usłyszycie komunikatu policji, że można wychodzić. Nie chcę, żebyście znaleźli się w krzyżowym ogniu.

Miranda cała się wzdryga, ale posłusznie przytakuje.

– A ja zostanę tu, gdzie jestem, na zewnątrz. Czekam na ciebie.

Myśl, że tata jest tak blisko, dobija ją. Miranda nie pragnie niczego bardziej niż znaleźć się w jego ramionach, wypłakać na jego piersi i znów poczuć się jak mała dziewczynka.

– Bardzo cię kocham, tatusiu...

Nie chce mówić: „żegnaj” ani: „do widzenia”, bo to brzmi jak coś nieodwołalnego. Zamiast tego wykrztusza zdławionym szeptem:

– Do zobaczenia wkrótce.

Kiedy połączenie zostaje przerwane, z oczu Mirandy płyną strumienie łez. Wszyscy gapią się na jej wykrzywioną w grymasie twarz, wsłuchują się w dziwne, zduszone pojękiwania. Miranda próbuje wytrzeć twarz rękawem bluzki, ale to na nic. Nadal wygląda jak nieszczęście.

Czyjeś smukłe ramię przesuwa się po jej plecach. To Grace, z miną tak smutną, jak uczucia Mirandy. Z drugiej strony przysuwa się Amina i podaje Mirandzie jeden z szali, będących w asortymencie sklepu. Nawet Javier delikatnie gładzi ją po nodze.

– Co powiedział? – pyta Cole.

– Że antyterrorysty najpierw wrzucą kilka granatów hukowo-błyskowych, żeby zaskoczyć napastników, a potem zamierzają ich zastrzelić. I że musimy zostać tu, gdzie jesteśmy, żeby nie znaleźć się na linii ognia.

– Dlaczego antyterrorysty chcą się tutaj wdrzeć? W trakcie negocjacji? – Cole

wygląda na wściekłego.

– Bo chcą ich zabić – parska Javier. – Ci dranie właśnie na to zasłużyli.

Cole wyciera dłonią spoconą twarz.

– Kiedy to ma nastąpić? – pyta.

– Wkrótce – odpowiada Miranda.

Pełne usta Aminy rozciągają się w grymasie podobnym do uśmiechu.

Grace podnosi wysoko zaciśniętą pięść.

– Zasługują na śmierć za to, co zrobili mojej mamie!

Jej nadgarstek niczym bransoletka okalają czerwonawofioletowe siniaki.

Javier się krzywi.

– O rany... Czy to ja ci to zrobiłem?

Miranda przypomina sobie, jak ścisnęła rękę Grace, żeby nie dać jej wyjść. Przepuszczalnie te siniaki są jej dziełem.

Grace zakrywa nadgarstek drugą ręką i przyciska dłonie do piersi.

– Mnie łatwo robią się siniaki.

Jej bluzka wisi na niej tak luźno, jakby dziewczyna była wieszakiem, a nie na żywą osobą. Grace nie może ważyć więcej niż jakieś czterdzieści pięć kilogramów. Mnóstwo dziewczyn ze szkoły Mirandy twierdzi, że nigdy nie można być zbyt szczupłym ani zbyt bogatym, jednak Grace w swoich dzinsach za pięćset dolców w rozmiarze zero wygląda tak, jakby przesadziła. Przepuszczalnie nie jada niczego poza młodą marchewką i sałatą lodową.

Amina chyba także myśli o jedzeniu, bo z jej brzucha dobiega donośne burczenie. Ten nieoczekiwany odgłos rozładowuje nieco napięcie. Miranda zaczyna chichotać. Po chwili dołącza do niej Javier, a potem Grace, choć w jej śmiechu pobrzmiwa histeria. Im bardziej starają się być cicho, tym trudniej im utrzymać w ryzach atak wesołości. Nawet Cole pozwala sobie na uśmieszek.

Nagle Amina robi zmartwioną minę.

– Właśnie miałam zjeść lunch, kiedy to wszystko się wydarzyło – szepcze.

– To brzmi całkiem fajnie – mówi Grace w zadumie. – Tak normalnie.

– Mój lunch jest tutaj – dodaje Amina. – Chcecie, żebym się z wami podzieliła? To gulasz i chleb.

Bez narkotyku w żyłach Miranda ma ochotę zwymiotować, a nie jeść, ale pozostali reagują skinieniem głowy lub wzruszeniem ramion.



Amina idzie do swojej szafki i wraca z termosem obiadowym oraz niedużą torbą z brązowego papieru. Otwiera ją, dzieli na porcje kilka kawałków ciemnego chleba, upstrzonego tu i ówdzie śladami przypieczenia, i rozdaje obecnym.

Wiele lat temu, kiedy rodzina Mirandy była jeszcze rodziną, chodzili razem do kościoła. W pierwszą niedzielę miesiąca wszyscy przystępowali do komunii, na którą składała się malutka szklaneczka soku z winogron oraz biały, cienki jak papier wafelek, odłamywany z przekazywanego z rąk do rąk talerzyka. Jak wtedy, tak i teraz ten chleb sprawia wrażenie, jakby był czymś magicznym. Jakby stanowił znak, że uda im się przetrwać. Mimo targających nią mdłości Miranda bierze kawałek chleba wielkości półdolarówki i kładzie na końcu języka. Czuje smak mąki, mąki kukurydzianej i spalenizny. Jakimś cudem jej żołądek nie protestuje i w końcu Miranda przeżuwa ten kęs i połyka.

W tym czasie Amina wręcza termos Cole'owi, który z niepewną miną zagląda do środka.

– Wydaje mi się, że mówiłaś coś o gulaszu?

– Bo to jest gulasz. Somalijski gulasz – wyjaśnia Amina, podnosząc dumnie podbródek. – Sahan ful. Fasola fava z sosem pomidorowym.

Cole ostrożnie podnosi łyżkę do ust, ale po pierwszym kęsie jego twarz się rozpromienia.

– Hej, to jest naprawdę dobre!

Po dwóch łyżkach przekazuje termos Mirandzie. Smak imbiru, goździków i chili mógłby zagrozić jej tymczasowemu zawieszeniu broni z własnym żołądkiem. Pospiesznie przekazuje termos Grace i nachyla się do Aminy.

– Przepraszam, ale mam jakąś niestrawność – mówi szeptem. – Wybacz, że powiedziałam, że ten zamach to dzieło muzułmanów – dodaje po chwili.

– To nie jest pierwszy raz, kiedy ktoś bierze mnie za terrorystkę tylko dlatego, że noszę hidżab. – Amina podnosi na Mirandę swoje ciemne oczy. – Ja się tu urodziłam. Jestem w takim samym stopniu Amerykanką, co ty.

Zanim Miranda zdąży coś odpowiedzieć, odwraca się do nich Grace.

– Przepraszam, ale czy wiesz może, czy ta fasola pochodzi z ekologicznej uprawy?

Amina i Miranda wymieniają na wpół rozbawione, na wpół zirytowane spojrzenia i napięcie pomiędzy nimi pryska.

– Nie mam pojęcia – odpowiada Amina, wzruszając ramionami.

Grace się waha, ale ostatecznie zanurza łyżkę w gulaszu. Po pierwszym kęsie jej brwi wędrują do góry.

– Mmm... Dość ostre, ale całkiem smaczne.

Javier proponuje Grace swoją wodę, a ona wypija kilka łyków i oddaje mu butelkę.

– Wiecie co? – mówi Javier. – Kiedy to wszystko się skończy i zjawi się tu policja, być może będę próbował jakoś się zmyć.

– Dlaczego? – dziwi się Grace.

– Nie chcę odpowiadać na zbyt wiele pytań.

Miranda wciąż nie rozumie. Wtedy odzywa się Cole.

– Javier ma na myśli to, że przebywa w naszym kraju nielegalnie. Mam rację, kolego?

W jego głosie pojawia się jakiś nowy, uszczypliwy ton.

Javier nawet nie drgnie.

– Jestem tu od niemowlęstwa, ale tak, masz rację. Przebywam tu nielegalnie.

– Myślałam, że możesz zostać, jeśli rodzice przywieźli cię tu, nim ukończyłeś szesnaście lat – mówi z wahaniem Amina.

– Owszem, ale tylko wtedy, jeśli mieszka się w Stanach przez cały czas – wyjaśnia Javier. – A ja w zeszłym roku przez dziewięć miesięcy byłem u mojej abuela w Meksyku. U mojej babci. Umierała, a ja się nią opiekowałem. I dlatego nie mogę być zakwalifikowany. Jeśli Urząd Imigracyjny dowie się o mnie, zostaną deportowani.

Cole wykrzywia usta.

– Może tak będzie lepiej. Ostatecznie właśnie tacy jak ty zabierają pracę Amerykanom.

Twarz Javiera tężeje.

– Ludzie tacy jak ja biorą robotę, której Amerykanie nie chcą. Przez cały dzień zbieram śmieci, które zostawiają inni. Czasem sprzątam brudne pieluchy albo wymiociny. Jeśli Amerykanie tak bardzo pragną takiej posady, to czemu nikt nie odpowiada na ogłoszenia o pracę, które bez przerwy dajemy?

Cole chrząka i odwraca wzrok. Dobry nastrój, który zapanował po telefonie taty Mirandy i poczęstunku Aminy, teraz ulatnia się bez śladu. Każdy unika spojrzeń pozostałych.

Jedyne, co im zostało, to czekać, aż policjanci ich uwolnią. Aż wreszcie będzie po wszystkim.

# Po raz ostatni

godzina 16.25

**P**arker znajduje się przy wejściu do Shoe Mill i ostrożnie wygląda na zewnątrz. Laska rozmawia przez bramkę z Wilkiem i Myszką. Na ten widok Parker czuje przyływ wściekłości na tamtego faceta z rewolwerem. Jaki to byłby problem zastrzelić teraz tych trzech drani? Przypuszczalnie dałby radę to zrobić, zanim by zdążyli zareagować.

Czeka na moment, aż tamci odwrócą głowy w inną stronę, i ostrożnie wymyka się ze sklepu.

Ma właśnie zamiar sprawdzić wewnątrz sklepu AT&T, kiedy spogląda w poprzek holu i doznaje olśnienia. Jak mógł być taki głupi? Jeśli Moxie jest gdzieś tutaj, Parker już wie, gdzie ją znajdzie.

Powoli przesuwa się w kierunku sklepu ze słodyczami Van Duyn, pilnując, żeby zawsze pomiędzy nim a zamachowcami znajdowało się parę osób. Szybko daje nura do środka. Część białej lady jest podniesiona. Parker sprawdza za kasami. Ani śladu Moxie. Mimo związanych rąk udaje mu się uchylić drzwi na tylnej ścianie. Wsuwa się do pomieszczenia, które okazuje się małą pracownią. Nogą ostrożnie zamyka za sobą drzwi.

Na pierwszy rzut oka pokój wydaje się pusty. Parker czuje, jak zamiera mu serce. Robi kolejny krok i wtedy kątem oka dostrzega błysk czerwieni. Moxie schowała się za marmurowym blatem, który zajmuje środek pracowni. Sądząc po ilości brązowych papierków walających się dookoła niej po podłodze, zdążyła już spałaszować co najmniej tuzin cukierków.

Parker przyciska jej palec do ust, zanim się odezwie.

– Moxie! – szepcze.

– Parker!

Jej oczy robią się okrągłe ze zdumienia. Podrywa się na równe nogi i mocno go obejmuje. Ze związanymi rękoma Parker nie daje rady odwzajemnić jej uścisku. Kiedy szczupłe ramionka obejmują go w pasie, czuje w oczach dziwną wilgoć. Mruga ze złością, żeby przegonić łzy. Dlaczego jego mała siostrzyczka nie może być teraz na zewnątrz, cała i bezpieczna? Zamiast tego znajduje się tutaj, zaledwie kilka kroków od zabitego mężczyzny i uzbrojonych po zęby zamachowców.

Moxie odsuwa się i przechyla na bok głowę.

– Co się dzieje, Parker? Dlaczego masz związane ręce?

Parker znowu przykłada palec do ust.

– Moxie, musimy być naprawdę cicho. Na zewnątrz są źli ludzie. Widziałaś ich?

– Poszłam wziąć cukierka, bo rozdawali za darmo, i nagle zrobiło się strasznie głośno. – Moxie przykłada ręce do uszu, żeby to zademonstrować. – Nagle ludzie zaczęli biec, a ta pani od cukierków wepchnęła mnie tutaj. Powiedziała, że mam być cicho i gdzieś się schować. I że mogę jeść wszystkie cukierki, na które mam ochotę.

Jedyne zetknięcie ze śmiercią, którego dotychczas doświadczyła Moxie, to był nieszczęsny rudzik. Ptaszek uderzył w ich wysokie od podłogi do sufitu okno w salonie, wychodzące na jezioro Oswego. Parker przypomina sobie, jak go tamtego dnia błagała, żeby nakłonił do latania znieruchomiłe nagle ptasie ciało. Jak mała zareaguje teraz, kiedy zobaczy, co dzieje się w holu?

Nie, nie może na to pozwolić.

Jego wzrok wędruje w stronę marmurowego blatu. Na wierzchu stoją puste złote pudełka rozmaitej wielkości, rulony białego papieru do pakowania oraz kilka stosów brązowych jednorazowych kubeczków. I spory nóż, który zapewne służył do cięcia papieru.

Jeśli rozetnie więzy na nadgarstkach, a mordercy to zobaczą, natychmiast zostanie zastrzelony. Pieprzyć to. Chwyta nóż i jakoś udaje mu się wsunąć ostrze między ręce i skierować je ku sobie. Kilka razy nóż się przekrzywia, ale w końcu udaje się przeciąć jedną z pętli. Jeszcze chwila i Parker jest wolny.

Co powinien zrobić teraz, kiedy już odnalazł Moxie? Powrót do holu z pewnością nie jest dobrym rozwiązaniem. Musi trzymać siostrę jak najdalej od tych bandytów z bronią.

Parker obraca się wokół własnej osi, omiatając uważnym spojrzeniem wnętrze pomieszczenia. Sufit zrobiony jest z białych, wyłumiających dźwięk płytek, ułożonych na metalowej ramie. Jednak nawet gdyby udało mu się podnieść Moxie aż do sufitu, płytki nie wyglądają na wystarczająco solidne, żeby utrzymać ciężar

dwudziestu kilogramów.

A co z szafkami pod ladą? Parker otwiera ich drzwiczki i jego oczom ukazują się pudełka pełne cukierków. Półki są rozmieszczone w odległości mniej więcej czterdziestu pięciu centymetrów, mają dobry metr głębokości i są szerokie na mniej więcej sto dwadzieścia centymetrów. Nawet gdyby bardzo pragnął się tam ukryć, nie zmieści się za żadne skarby świata. Na szczęście Moxie posturą przypomina krasnoludka.

– W porządku, Moxie, teraz spróbujemy pobawić się w fajną grę. Musimy schować się jeszcze lepiej, żeby ci źli panowie nas nie znaleźli. A jeśli będziemy cicho, tak naprawdę cicho, to może nas nie złapią?

– Ja bardzo dobrze umiem się chować – deklaruje Moxie.

– Właśnie dlatego musisz schować się pierwsza – mówi Parker. – Tylko pamiętaj, nie wolno ci wychodzić, dopóki nie usłyszysz, że ja mówię, abyś to zrobiła.

Nagle wyobraża sobie najbliższą przyszłość i widzi, jak leży martwy na podłodze.

– Albo że mówi to ktoś z policji. Ale nikt inny.

Moxie zastanawia się nad jego słowami, przechylając na bok główkę. Jakie są szanse, że faktycznie pozostanie w ukryciu, że nie znudzi się czekaniem i nie wyjdzie, nawet jeśli on zostawi jej mnóstwo cukierków?

Nagle wpada mu do głowy rozwiązanie. Ten sam trik doskonale sprawdzał się w jego przypadku.

– Wiesz co, dajmy temu spokój – mówi, odwracając głowę. – Nie wydaje mi się, żebyś dała radę. Jak tylko wejdiesz do tej szafki, od razu będziesz chciała wyjść. Albo narobisz hałasu. Za mała jesteś, żeby się w to bawić. Nie masz wystarczająco dużo cierpliwości.

Moxie ciągnie go za rękę.

– Ale ja mogę to zrobić. Będę bardzo, bardzo cichutko. Będę siedzieć tam jak taka malutka myszka – mówi i zaciska buzię.

Parker przygląda jej się z udawanym wahaniem, które jest echem jego prawdziwych wewnętrznych rozterek. Jego mama często rozprawia o cukrowym haju. Ile czasu upłynie, zanim Moxie dosłownie zacznie skakać po ścianach?

Mimo to Parker otwiera szeroko szafkę i pospiesznie odpycha na bok pudełka, a potem pomaga Moxie wślizgnąć się do środka.

– W porządku. Teraz zrobimy tak, żeby nikt nie mógł cię zobaczyć.

Parker ustawia pudełka przed Moxie, zaczynając od stóp. Gdyby chodziło o niego, pewnie już miałby atak klaustrofobii, ale ona nawet nie piśnie, tylko przygląda mu się

swoimi jasnoniebieskimi oczyma.

– A ty, Parker? Gdzie ty się schowasz?

– Och, o mnie się nie martw. Już sobie wybrałem naprawdę niezłą kryjówkę.

Moxie marszczy brwi.

– Ale gdzie?

– To tajemnica – odpowiada Parker, ustawiając tuż przed jej buzią ostatnie pudełko orzechowych karmelków.

Kończy i od razu żałuje, że nie pocałował jej na pożegnanie albo chociaż nie pogłaskał po raz ostatni.

– Wygodnie ci tam? – pyta, starając się nie mówić zduszonym głosem.

– Tak – odpowiada szeptem Moxie.

– Pamiętaj, że masz się stąd nie ruszać, dopóki nie usłyszysz mnie albo kogoś z policji, okay?

– Okay.

Wpada mu do głowy jeszcze jeden pomysł, który utrzyma ją w ukryciu.

– Założymy się, że ja schowam się lepiej? O pięć dolarów.

– Zobaczysz, że to ja wygram – głos Moxie jest przytłumiony przez stos pudełek.

Parker zamyka drzwi szafki, ale zaczyna się denerwować, że Moxie zabraknie powietrza. Zostawia więc szparę szeroką na centymetr, a następnie starannie zbiera wszystkie papierki i wrzuca je do kosza. Lepiej nie ryzykować, że któryś z morderców zajrzy do środka, zobaczy papierki po cukierkach i zacznie się zastanawiać, dokąd poszła osoba, która je zjadła. Papierki są leciutkie i kruche, mniej więcej tak jak szanse jego i Moxie na przetrwanie.

W drzwiach prowadzących do pracowni nie ma zamka. Mimo to Parker nie ośmiela się wyrzeć na zewnątrz. Zamiast tego gasi światło i siada w kącie tuż za drzwiami. W rękę ściska nóż.

# Odkrycie największej tajemnicy

godzina 16.38

**W** magazynie Culpeppersów nikt się nie odzywa. Grace znowu cichutko szłocha, kołysząc się w przód i w tył, Amina co chwila spogląda na wyświetlacz telefonu, a Javier i Cole zamknęli oczy. Twarz Javiera wykrzywia grymas bólu, podczas gdy Cole sprawia wrażenie wyczerpanego. Jego głowa jest lekko odchyłona do tyłu, opiera się o ścianę.

Miranda nie może oderwać oczu od swojego zdjęcia, przyczepionego pinezką do korkowej tablicy nad głową Cole'a. Na szczęście jest tam tylko jedną z paru tuzinów innych zasępionych twarzy. Usiłowała uciec ze sklepu, kiedy Amina ją dopadła. Chwyciła ją za nadgarstek i chociaż Amina jest drobnej postury, Miranda miała wrażenie, że na jej rękę zacisnęła się żelazna obręcz.

To stało się właśnie tutaj. W tym pomieszczeniu. Dokładnie miesiąc wcześniej. Miranda myślała wtedy, że wszystko się skończy. Nareszcie. Trafi do aresztu, a jej rodzice dowiedzą się o wszystkim. O kłamstwach. O kradzieżach. I o reszcie. Przepęłniało ją uczucie wstydu zmieszanego z ulgą. Jednak zamiast wezwać policję, Amina zrobiła jej parę zdjęć i wygoniła ze sklepu. W tamtej chwili Miranda powtarzała sobie, że ma mnóstwo szczęścia.

Odtąd starała się nie zbliżać do sklepu Culpeppersów, przynajmniej aż do dzisiaj.

Teraz głowa boli ją bardziej niż wtedy, kiedy postanowiła wypić kawę, tylko kiedy to było? Zerka na telefon. Psiakrew, niecałą godzinę temu. Wcześniej trzęsa się z zimna, teraz zaś pot leje się z niej strumieniami. Wczoraj Matthew odwołał spotkanie bez wyjaśnienia. Gdyby ten cały koszmar się nie wydarzył, teraz byłaby z nim. On sprzedałby jej trochę Oxycontin za przedmioty, które ukradła, i w niedługim czasie czułaby się o niebo lepiej.

Oxycontin pojawił się latem zeszłego roku na kilku imprezach, w których brała udział. Jest to lek wydawany wyłącznie na receptę, produkowany w jakiejś tam fabryce. To oznacza, że jest bezpieczny.

Kiedy wzięła go po raz pierwszy? To było jak zakochywanie się. Jak odkrycie największej tajemnicy. Wciąż pamięta, jak siedziała na podwórku za domem jednego kumpla ze szkoły, jego rodziców nie było, a impreza rozkręcała się w najlepsze. Zwykle na imprezach towarzyszyło jej uczucie niepewności. To Matthew – Matthew Scout, chociaż wtedy nie wiedziała jeszcze, jak się nazywa – dał jej pierwszą tabletkę. Niedługo potem przepełniła ją euforia, czuła się jednocześnie odprężona i pełna energii. To nie przypominało działania marihuany, po której człowiek miewa zwidy. Ani alkoholu, po którym Miranda najpierw gadała jak nakręcona, a potem nie mogła przestać płakać. Pół godziny po zażyciu pierwszej tabletki opierała się zrelaksowana na ramieniu Matthew.

Wkrótce okazało się, że mnóstwo osób z jej szkoły zabawia się dzięki Oxy – ci, którzy czuli się wypaleni, klasowi geniusze, nawet dziewczyny, które cholernie dobrze grały w softball i miały dostać szkolne stypendia – wszyscy próbowali. Ale tylko nadziane dzieciaki miały wystarczająco dużo forsy, żeby robić to stale, co dodatkowo przyczyniło się do tego, że zażywanie Oxy stało się modne, ponieważ było cholernie kosztowne, taki narkotyk dla bogatych.

Problem polegał na tym, że chociaż Miranda mieszkała w szykownym Lake Oswego, wcale nie zaliczała się do grona bogatych. Skromne życie zaczęło się w chwili, kiedy jej tata porzucił mamę. Co prawda tata wciąż kupował jej fajne rzeczy, ale nie dawał zbyt wiele gotówki, Matthew zaś mógł odpalić Mirandzie tę pierwszą tabletkę za darmo, w ramach przysługi, ale nie mógł robić tego stale.

To było jeszcze zanim pokazał jej, jak kruszyć tabletkę i wciągać ją nosem, co jeszcze potęgowało doznania. W niedługim czasie Miranda zorientowała się, że czuje się fatalnie, jeśli nie ma we krwi Oxy. Spieniężyła więc siedem tysięcy dolarów w obligacjach, które ciotka dawała jej na urodziny – pieniądze miały zostać przeznaczone na naukę w college'u. Potem sprzedała telefon i powiedziała tacie, że go zgubiła. Sprzedała skórzaną kurtkę. Sprzedała aparat fotograficzny mamy, który leżał nieużywany od rozwodu. Matthew znał kogoś, kto miał sklep na eBay'u, więc Miranda zaczęła kraść rzeczy, które łatwo można było opylić przez internet. Gotowa była na wszystko, byle pozostać w kręgu szczęścia. Do tego wkrótce wyszło na jaw, że jeśli człowiek nie zażyje tabletki, czuje się gorzej niż kiedykolwiek w całym dotychczasowym życiu. Jakby dopadła go gorączka. Jakby za chwilę miał wyrzygać całą zawartość żołądka i nigdy nie przestawać. Jakby bolały go wszystkie kości. Czyli tak, jak ona czuje się teraz.

– Jest na to sposób – powiedział któregoś dnia Matthew. – Musisz zacząć brać heroinę. Jest o niebo tańsza.

Twierdził, że sam ją bierze i że nie jest to nic wielkiego.



Jednak na razie Miranda opierała się tym propozycjom. Czuła, że jeśli zacznie dawać sobie w żyłę, stanie się prawdziwą narkomanką.

– Popatrz na to – szepcze Amina i pokazuje coś Grace na swoim telefonie. Kwilenie cichnie, przynajmniej na chwilę.

Miranda wyjmuje z kieszeni swój telefon i pisze esemesa do Parkera. Jesteś na zewnątrz? Ja i jeszcze parę osób ukrywamy się w sklepie Culpeppersów.

Kilka tygodni wcześniej w piwnicy swojego domu Parker zaproponował jej pewną wymianę. Jej czas za jego pieniądze. Ona pozwalała mu na wszystko, na co miał ochotę, wiedząc, że w końcu będzie mogła wygonić z głowy ten pulsujący ból.

Czy Parker żyje, czy odczyta jej wiadomość? Przypuszczalnie nie. Kiedy Miranda się porusza, czuje smród bijący od jej ciała, kwaśny odór strachu. Przełyka ciężko ślinę, żeby powstrzymać wzbierające mdłości.

Modli się po cichu, choć nie jest pewna, czy jest tam ktoś, kto wysłucha jej modlitwy.

– Boże, proszę, pomóż mi. Pomóż nam.

# Oni chcą, żebym w to wierzyła

godzina 16.48

Ciszę przerywa szept Aminy.

– Czy antyterroryści nie powinni już tutaj być?

Miranda, która pisze wiadomości do Parkera, sprawdza swój telefon. Od rozmowy z ojcem upłynęło już prawie pół godziny.

– Tata nie powiedział dokładnie, kiedy to ma nastąpić.

– Co będzie, jeśli się nie zjawią? – pyta Amina. – Jeśli w ogóle nikt po nas nie przyjdzie?

Miranda także czuje ciarki i narastający niepokój, spowodowany nie tylko brakiem Oxy w jej organizmie.

– Może powinniśmy poszukać innej drogi ucieczki? – Wskazuje na prostokątną kratkę wentylacyjną tuż pod białym panelem dźwiękochłonnym na suficie. – Co sądzicie o tym?

Javier mruży oczy.

– Nie sądzę, żeby ktokolwiek mógł się tam zmieścić.

Cole także ma wątpliwości.

– Takie numery udają się tylko w filmach.

– Moim zdaniem mimo wszystko warto spróbować – upiera się Miranda, choć coś jej mówi, że tamci mają rację. Ale nie mogą przecież siedzieć tak i czekać całą wieczność!

– Będę musiała zamienić się z tobą – mówi do Javiera, wyciągając dolną szufladę biurka. – Oprzyj nogę na tym, bo potrzebne mi jest krzesło.

Po ustawieniu siedziska w maksymalnie wysokiej pozycji Miranda odsuwa na bok komputer. Stękając z wysiłku, dźwiga krzesło na blat biurka.

– Czy możesz potrzymać to krzesło, żeby nie spadła? – zwraca się do Cole'a.

Kiedy on chwyta krzesło, ona wchodzi na biurko, klęka na siedzisku, a następnie powoli podnosi się na równe nogi, opierając rękę o ścianę dla złapania równowagi. Dół kratki wentylacyjnej znajduje się teraz na wysokości jej głowy. Z łatwością wyjmuję kratkę, podaje ją Aminie i wzrokiem mierzy średnicę otworu wentylacyjnego. Z bliska faktycznie wygląda on na dość wąski. Javier chyba ma rację, ale Miranda nie zamierza tak łatwo rezygnować.

Amina i Cole stoją w gotowości, obserwując jej poczynania. Javier, wsparty na łokciach, też się przygląda. Tylko Grace siedzi z zamkniętymi oczyma, pogrążona bez reszty w swoim własnym małym świecie.

Amina jest niższa i bardziej krępa niż Miranda. Cole jest co prawda chudy, ale ma szerokie ramiona. Javier jest niski i krzepki, ale z tą nogą nie da rady.

Za to Grace jest cienka jak nitka.

Nawet jeśli tylko jedno z nich zdoła umknąć tą drogą, to zawsze chyba lepiej niż nikt?

– Grace... – zwraca się do niej szeptem Miranda, ale dziewczyna nawet nie drgnie.  
– Grace!

Cole trąca ją stopą i to w końcu przynosi skutek. Grace pustym wzrokiem wpatruje się w Mirandę.

– Czego chcesz?

– Nie jestem wystarczająco wysoka, żeby zajrzeć w głąb tego otworu wentylacyjnego. Możesz zamienić się ze mną miejscami i rzucić okiem?

– Chyba mogę...

Miranda schodzi z powrotem na podłogę i pomaga Grace wejść na krzesło. Wyczuwa dłonią, jak żylaste jest ciało dziewczyny, sama skóra, kości i ścięgna.

Grace opiera się dłońmi na krawędzi otworu wentylacyjnego i podskakuje. Po chwili kręci głową.

– Nic nie widzę. Tam jest całkiem ciemno.

Wszystkie ich telefony są wyposażone w latarki, lecz Grace potrzebuje obu rąk, żeby podciągnąć się na odpowiednią wysokość. Nawet gdyby udało jej się położyć tam komórkę, strumień światła i tak pewnie nie sięgnie końca kanału.

Nagle Miranda wpada na pewien pomysł.

– Włącz latarkę w telefonie i wsadź go za opaskę do włosów, żeby przytrzymać go na czole. Będzie tak, jakbyś miała na głowie czołówkę.

– W porządku.

Grace sięga do kieszeni spodni po telefon. Czyżby w jej oczach pojawiła się odrobina życia? Dziewczyna jedną ręką przyciska aparat do czoła, drugą zaś naciąga na włosy opaskę. Udaje się. Po raz pierwszy twarz Grace rozjaśnia uśmiech. Wkłada obydwie ręce do otworu wentylacyjnego i skacze jak najwyżej. Jednak gdy próbuje podciągnąć się i wsunąć do środka, rozlega się metaliczny brzęk.

Co gorsza, przekrój kanału jest wyraźnie za mały. Głowa Grace oraz jedno ramię zmieściło się do środka, drugie jednak wciąż jest na zewnątrz, co sprawia, że dziewczyna utkwiała pod kątem. Nogami kopie bezradnie w powietrzu. Miranda chwytą ją za łydkę i naprowadza z powrotem na krzesło.

– Nawet gdyby udało jej się tam wejść, to i tak tamci z pewnością by ją usłyszeli – mówi Amina. – Po prostu zaczęliby strzelać w sufit.

Światło w oczach Grace zgasło.

– To wszystko i tak na nic. Tam na końcu jest wielki wiatrak – oznajmia i złazi z biurka na podłogę.

– Hej, a co to takiego? – pyta Javier, dotykając swojego ramienia i jednocześnie patrząc na ramię Grace.

Wszyscy podążają wzrokiem za jego spojrzeniem. Kiedy Grace utknęła w kanale wentylacyjnym, zsunął się jej rękaw bluzki, odsłaniając prawe ramię. Teraz widać, że na jej skórze wisi na wpół odklejony plaster z opatrunkiem, a pod nim, tuż pod kością obojczykową, widać okrągły, płaski czerwony guzek. Na guzku znajdują się częściowo zagojone ślady po nakłuciach. Wygląda to tak, jakby tuż pod białą jak papier skórą ktoś umieścił coś wielkości sporego guzika. Żołądek Mirandy, i tak już wrażliwy bardziej niż zwykle, skacze jej pod gardło. To nie wygląda po prostu jak to. To jest tym.

Grace czerwieni się aż po koniuszki uszu i szybko poprawia bluzkę.

– To nic takiego.

– Nie wygląda na nic takiego. – Javier unosi brew.

– To port do chemioterapii – oświadcza Cole z powagą.

– O mój Boże... – szepcze Miranda. – Grace, czy ty masz raka?

– Nie mam. – Grace wykrzywia usta. – Oni chcą, żebym w to uwierzyła. Ale ja nawet nie czuję się chora.

Jej palce odruchowo wędrują w stronę szyi.

– Po prostu mam tu na szyi ten durny guzek... Wiecie, taki powiększony węzeł chłonny, w którym zbiera się limfa. Jakbym miała mononukleozę albo grypę. Ale oni mówią, że to chłoniak Hodgkina. I zmuszają mnie, żebym nosiła to... – Grace dotyka

przez bluzkę miejsca na swoim ciele. – Tędy pompują mi lekarstwa prosto do żyły.

– Moja mama też na to chorowała – odzywa się Cole. – Zachorowała na raka płuc, chociaż nigdy nie paliła.

– No więc wiesz, jak się leczy nowotwory. – Grace wbija w niego spojrzenie. – Zatrucie. Wypalanie. Wycinanie. Zasadniczo starają się ciebie zabić, mając nadzieję, że nowotwór zdechnie pierwszy.

– Kiedy moja mama zachorowała, robiliśmy wszystko, co kazali lekarze – mówi Cole. – Chemioterapia, operacja, naświetlania... Ale to tylko pogarszało jej stan. Kiedy umierała, ważyła zaledwie trzydzieści pięć kilogramów. Nawet nie wyglądała jak człowiek. Wyglądała jak pisklą, któremu ktoś przetrącił kark.

Cole zamyka oczy. Amina się krzywi.

– Ale mnóstwo ludzi udaje się jednak wyleczyć z raka. A jeżeli kuracja pozwala ci żyć...

– To nawet nie chodzi o umieranie, bo ja nie mam zamiaru umierać. – Grace z niedowierzaniem kręci głową. – Moja m... – widać, że wypowiedzenie tego słowa kosztuje ją wiele wysiłku – ...moja mama znalazła w Meksyku taki ośrodek, gdzie leczą wyciągami z roślin. Właśnie byliśmy w drodze do tego miejsca. To jakaś pradawna mądrość, która nakazuje działać w zgodzie z organizmem człowieka, nie przeciwko niemu. Chemioterapia czyni spustoszenie w organizmie. Po pierwsze, traci się wszystkie włosy.

– Ale włosy odrastają – zauważa Amina.

– Łatwo ci mówić. – Grace przesuwa palcami po swoich lśniących brązowych włosach, jednocześnie spoglądając na szal Aminy. – Ale nawet nie to jest najważniejsze. Gdybym zgodziła się na chemię, zapewne już nigdy nie mogłabym mieć dzieci. Mam tylko szesnaście lat. I młodszą siostrę. Uwielbiam dzieciaki i pewnego dnia chciałabym zostać mamą.

Jeśli umrzesz, to na pewno nią nie zostaniesz, myśli Miranda. Ale w sumie chodzi przecież o życie Grace.

– To twoje ciało – mówi. – Powinnaś mieć prawo o nim decydować.

– Właśnie! Ale kiedy powiedziałam, że nie chcę brać chemii, lekarze wciąż powtarzali, że najdalej za dwa lata już mnie nie będzie. I że jeśli zacznę brać chemię, to mam dziewięćdziesiąt pięć procent szans na wyzdrowienie.

Grace się krzywi.

– Oczywiście jeśli pojedę do Meksyku, to oni nie zarobią kasy. Moja mama sporo czytała na ten temat. Koncerny farmaceutyczne nie dopuszczają do opatentowania

naturalnych metod leczenia, bo to by oznaczało koniec wielkich pieniędzy. Lekarze także by się nie wzbogacili, doradzając pacjentom picie herbaty z ostropestu plamistego.

– Więc według ciebie ci wszyscy lekarze, szpitale i koncerty farmaceutyczne wiedzą, że istnieją lepsze sposoby leczenia raka, ale nikomu o tym nie mówią, bo chcą zarabiać mnóstwo forsy? – mówi powoli Miranda.

Niektórzy może tak, ale wszyscy? Aż nie chce jej się w to wierzyć.

Grace wzrusza ramionami.

– Większość z nich przypuszczalnie wierzy w to, co im powiedziano, tak samo jak my wszyscy.

Cole kiwa głową ze zrozumieniem.

– Wielkie koncerty, które produkują lekarstwa i chemikalia, wszystkie one chcą utrzymywać ludzi w niewiedzy. Odrzutowce zostawiają na niebie smugi chemiczne, wirus Zika został wyprodukowany w rządowych laboratoriach, kurczaki faszerowane są hormonami... A rząd wszystko przed nami ukrywa. Moi bracia służyli w armii. Połowa tego, co czytasz w gazetach albo oglądasz w wiadomościach, jest błędnie podana albo całkiem przekręcona.

– Właśnie tak! – Głowa Grace podskakuje jak na sprężynie.

Czyżby Grace i Cole mieli rację? Z jednej strony Miranda nie chce im wierzyć, ale z drugiej, co z lekarstwami takimi jak Oxy? Firma farmaceutyczna produkująca ten specyfik musi przecież wiedzieć, jak wielu ludzi wykorzystuje go w taki sposób jak Miranda, czyli wcale nie do zwalczania fizycznego bólu. Choć teraz, kiedy lek zniknął z jej organizmu, rzeczywiście odczuwa mocny dyskomfort. Stawy rwą ją jak diabli, zupełnie jakby ktoś trzymał za końce kości i usiłował je wykręcić.

– Właśnie dlatego chciałam wypróbować coś naturalnego – wyjaśnia Grace. – Ale sędzia orzekł, że nie jestem wystarczająco dorosła, żeby podjąć decyzję w tej sprawie. Nawet jeśli moi rodzice przeprowadzili rozeznanie.

– Zaczekaj moment. – Javier patrzy prosto na nią. – Czy to ty tego chcesz, czy twoi rodzice?

– Oczywiście, że ja tego chcę – odpowiada Grace. – Czy sądzisz, że wolałabym, żeby mi wypadły włosy? Albo żebym nie mogła mieć dzieci?

– Mimo wszystko to lepsze niż skazywanie się na śmierć – upiera się przy swoim Amina.

– Tu nie chodzi o wybór. Nie rozumiesz tego? Oni próbują tak to przedstawić, że ja czegoś nie rozumiem, chociaż to oni niczego nie rozumieją. Szpital zwrócił się do

sędziego, a on nakazał mi poddać się zabiegowi chirurgicznemu i stąd ten port, a w tym tygodniu mieli zamiar zmusić mnie do rozpoczęcia chemioterapii. Więc razem z mamą wyjechałyśmy z Seattle. Ufarbowałyśmy włosy, zmieniłyśmy sobie nazwiska, podjęłyśmy z banku gotówkę i ruszyłyśmy w drogę. A teraz ona nie żyje.

Grace bierze głęboki oddech, który wstrząsa całym jej ciałem.

– Ona nie żyje, a ja nie wiem, co mam robić. – Zasłania twarz rękoma i zaczyna szlochać. – Zwyczajnie nie wiem, co robić.

godzina 16.48

**Skinner:** O mój Boże!

**Dyspozytor:** Ron? Co tam się dzieje?

**Skinner:** Nie, nie, nie!

**Dyspozytor:** Ron, na litość boską, weź głęboki oddech i powiedz mi, co tam się dzieje!

**Skinner:** Ci zakładnicy... Mężczyźni, których zmuszono, żeby położyli się w rzędzie na podłodze... Właśnie strzelili jednemu z nich w tył głowy!

**Dyspozytor:** Pracownik ochrony zgłasza, że jeden z zakładników został zastrzelony!

**Jednostka 68:** Jaki jest szacowany czas przybycia oddziału antyterrorystów? Albo zespołu negocjacyjnego?

**Dyspozytor:** W zależności od natężenia ruchu za dziesięć minut będą przy centrum dowodzenia. Zespół negocjacyjny będzie trochę później.

**Jednostka 68:** Przyjąłem. Nie możemy czekać. Mam w aucie tarczę, Halligana i parę granatów błyskowo-hukowych. Daj mi wsparcie trzech na jednego. Musimy tam wejść.

**Dyspozytor:** Przyjąłem. Jednostki czterdzieści trzy, czterdzieści jeden i dziewiętnaście. Kierujcie się na południowy parking przy Fairgate Mall. Jeden aktywny strzelec.

**Jednostka 68:** Przełącz naszego informatora, żeby powiedział, gdzie jest najlepsza droga wejścia.

**Dyspozytor:** Ron, sprawdź w komputerze. Jaka jest najlepsza droga wejścia dla naszych ludzi?

**Skinner:** Boże, nie wierzę własnym oczom! Wszyscy umierają!

**Dyspozytor:** Ron, posłuchaj, co mówię! Musimy wiedzieć, którądy policjanci mogą wejść, żeby pomóc tamtym ludziom. Spójrz na to, co się dzieje w budynku.

**Skinner:** Wydaje mi się, że mogą spróbować przez Nordstrom. Mam wrażenie, że tam jest pusto.



# Jaki jest naprawdę

godzina 16.49

**P**arker nie jest pewien, jak długo już siedzi na zapleczu sklepu Van Duyn. Ramiona bolą go od opierania się z jednej strony o ścianę, z drugiej o drzwi. Moxie chyba zasnęła, bo z szafki nie dochodzi najłżejszy nawet szelest. Nie słychać też nic z zewnątrz, niezależnie od tego, jak bardzo Parker wytęża słuch. Żadnych krzyków. Żadnych strzałów. Nawet zawroźnienie syren, które dobiegało z oddali, kiedy policja zaczynała akcję, teraz zupełnie umilkło.

Oczekując wtargnięcia zamachowców przez drzwi pracowni i licząc zarazem, że to nigdy nie nastąpi, Parker opuszcza nóż i sięga do kieszeni po telefon. Na wyświetlaczu widzi pół tuzina nieodczytanych esemesów: od mamy, taty, przyjaciół. Wygląda na to, że wszyscy, z którymi był w kawiarni, zdołali się stąd wydostać.

Jego wzrok przykuwa wiadomość od Mirandy. *Jesteś na zewnątrz? Ja i jeszcze parę osób ukrywamy się w sklepie Culpeppersów.*

Szybko jej odpisuje. *My z siostrą schowaliśmy się na zapleczu sklepu Van Duyn. Trzydzieści parę osób zostało uwięzionych w holu. Zamknęli metalową bramkę. Na razie zabili jednego faceta.*

Na myśl o Mirandzie ogarnia go wstyd. Siedząc na wykładanej białymi płytkami podłodze i czekając na to, że być może przyjdzie mu umrzeć, Parker wstydzi się mnóstwa rzeczy, które zrobił w ostatnim czasie. Jeśli ma być ze sobą szczerzy, stał się niezłym dupkiem, zwłaszcza od momentu, kiedy drużyna zapaśników zdobyła mistrzostwo. Zwłaszcza był nim dzisiaj. Kiedy ignorował Moxie. Zostawiał bałagan. Drwił z tego nieszczęsnego pomocnika kelnera. Jest pewien, że jeśli faktycznie gdzieś tam istnieje niebo, po dzisiejszych wyczynach on na pewno do niego nie trafi.

To zresztą trwa już długo. Jak tego popołudnia, które spędził z Mirandą. Jest zaskoczony, że zadała sobie trud, by do niego napisać, nie mówiąc o tym, że próbowała odciągnąć go w bezpieczne miejsce. Wyobraża ją sobie, jak ukrywa się za metalową żaluzją w sklepie Culpeppersów, a przed oczyma przelatuje jej całe życie, tak samo jak jemu.

Kilka tygodni wcześniej wydawało mu się, że Miranda mogłaby pomóc mu

rozwiązać pewien problem. Wszyscy uważali, że Parker to nie lada playboy. Że rwie dziewczyny na prawo i lewo. Prawda jednak była taka, że on wcale nie miał na koncie podbojów, które mu przypisywano. Nie miał na koncie niczego poza paroma całusami, skradzionymi po pijaku, a kiedy rozglądał się po szkole, nawet najbardziej oblesni i samotni koledzy zdawali się mieć większe doświadczenie w tych sprawach niż on.

Gdy rozmowa schodziła na seks, Parker wypowiadał się najoszczędniej, jak tylko to było możliwe, sprytnym uśmieszkiem i wzruszeniem ramion kwitując wzmianki o swoim rzekomym doświadczeniu. Ludzie wierzyli w każdą opowieść o nim, ponieważ Parker był przedstawicielem złotej młodzieży. Niejedna dziewczyna sugerowała nawet, że pomiędzy nią a Parkerem do czegoś doszło. Ale im szersze kręgi zataczała jego reputacja, tym mniejsza stawała się pewność siebie. Co, jeśli jakaś dziewczyna okaże się chętna, a on nawet nie będzie wiedział, jak się zabrać do dzieła?

Miranda dorastała zaledwie dwie przecznice dalej, jednak akurat pomiędzy ich domami przebiegała granica obszaru szkół. Podczas letnich miesięcy bawili się razem w tym samym parku, a ich mamy siadywały na ławeczce i oddawały się ploteczkom. Jednak w miarę jak dorastali, te spotkania stawały się coraz rzadsze.

Pewnego dnia Parker spotkał przypadkiem Mirandę na jakiejś imprezie. Był świadkiem, jak błagała znajomych o kilka sztuk Oxy, a gdy odmówili, o pożyczanie kasy, żeby mogła je sobie kupić. Wyglądało na to, że jest gotowa na wszystko, żeby zdobyć większą liczbę okrągłych żółtych tabletek.

Parker natychmiast dostrzegł szansę. Doszedł do wniosku, że mogą pomóc sobie nawzajem. I oczywiście po wszystkim trzymać buzie zamknięte na kłódkę.

Zorganizował wszystko tak, żeby Miranda przyszła do niego następnego dnia po szkole, kiedy rodzice byli w pracy, a Moxie u koleżanki. Chociaż wiedział, że są w domu sami, przy najmniejszym hałasie podskakiwał ze strachu. Wszystko było strasznie sztuczne, a zarazem zbyt rzeczywiste.

Teraz, trzymając w dłoniach telefon, jedyne źródło światła w pograżonym w mroku pomieszczeniu, zadawał sobie pytanie, co właściwie powinien czuć, kiedy już było po wszystkim. Dumę? Pychę? Pewność, że teraz może pójść do łóżka z każdą dziewczyną, na którą będzie miał ochotę?

Tak naprawdę w głębi ducha pragnął, żeby to nigdy się nie wydarzyło. Dał Mirandzie sto dolarów ekstra, żeby zachowała całą sprawę w tajemnicy, ale i tak czuł w duszy niepokój. Co będzie, jeśli Miranda wyśmieje go w gronie swoich przyjaciół ćpunów? Albo jeśli zdecyduje się powiedzieć ludziom prawdę?

Bo prawda niestety wyglądała tak, że po tym popołudniowym spotkaniu wiedział o seksie niewiele więcej niż przed nim. Nie wiedział nawet, jak sprawić, żeby Miranda

się uśmiechnęła czy westchnęła choć raz.

Oczywiście nie robił z nią nic niewłaściwego, przynajmniej tak się pocieszał aż do dzisiaj. Ona po prostu tam leżała, nie wyrażając sprzeciwu. W ogóle nie powiedziała ani słowa. Zwyczajnie zamknęła oczy i pozwalała mu na wszystko, na co miał ochotę. Może poszłoby lepiej, gdyby wcześniej się urzynał. Albo gdyby ona połknęła jedną z tych swoich tabletek, dzięki czemu byłaby rozluźniona i pogodna.

Teraz widzi siebie samego takim, jaki jest naprawdę. Niewiele można zrobić, żeby coś naprawić, chociaż...

Parker wysłała do Mirandy następnego esemesa. *Bardzo żałuję, że tak wyszło. Przepraszam za wszystko.*

Nie chce, żeby ludzie przyszli na jego pogrzeb i gadali, że Parker był strasznym babiarzem. Jeśli będzie miał szczęście, powiedzą, że zginął, ratując siostrę. Jeśli nie będzie miał szczęścia, zaczną opowiadać o wszystkich przypadkach, kiedy okazał się skończonym gnojkiem.

Jednak musi przyznać, że częściej zachowywał się jak dupek niż jak porządny gość.

*Nie ma sprawy – odpisuje Miranda – żadne z nas nie było tego dnia w najlepszej formie.*

W najlepszej formie? Ta myśl całkiem mu się podoba. Zupełnie jakby bycie w „najlepszej formie” było w ogóle możliwe.

Nagły metaliczny dźwięk, jakby ktoś uderzył młotem o metal, sprawia, że Parker podskakuje ze strachu. Najgorsze, że odgłos nie dochodził z korytarza, tylko gdzieś spod sufitu, zza jednej z graniczących z pracownią ścian. Parker zamiera w kompletnym bezruchu. Mógłby przysiąc, że słyszy jakieś cichutkie skrobanie.

Po chwili odzyskuje władzę w rękach na tyle, żeby napisać do Mirandy.

*Słyszałaś ten huk? Chyba ktoś chce uciec na zewnątrz przez kanał wentylacyjny. Nic z tego. Za wąski.*

Chociaż w ogóle nie brał pod uwagę ucieczki tą drogą, nagła świadomość, że jest to niemożliwe, przygniata mu serce dodatkowym ciężarem. Nigdy nie uda im się stąd wyjść.

Stara się przypomnieć sobie plan centrum handlowego, w którym miejscu znajdują się sklepy Culpeppersów i Van Duyn i czy przypadkiem nie są ze sobą jakoś połączone.

*Wydaje mi się, że jesteś po drugiej stronie ściany, przy której siedzę, pisze do Mirandy.*

*Tak blisko, a tak daleko*, brzmi odpowiedź. Do tekstu dołączona jest zabawna buźka w kapeluszu i z brodą. Parker nie jest pewien, co oznacza, ale wykrzywia usta w uśmiechu, zanim przypomni sobie, jak bardzo jest tutaj sam.

Siada na piętach i stara się napisać wiadomość do rodziców. Co chwila kasuje to, co napisał, i szuka właściwych słów, jednocześnie połykając łzy. Nagle na ekranie wyskakuje kolejny esemes od Mirandy.

*Trzymaj się. Mój tata powiedział, że zaraz będą tu antyterrorysty.*

*Kiedy?*

*Wkrótce. Kazał nam siedzieć w ukryciu, żeby przez przypadek ktoś nas nie zastrzelił.*

*W porządku. Dzięki za info*, odpowiada Parker i powraca do szukania odpowiednich słów, żeby napisać wiadomość do rodziców. Ale może niepotrzebnie tak bardzo się stara. Może zamiast tego lepiej byłoby porozmawiać. Może...

Nagle powietrze wypełnia przeraźliwy huk i coś uderza Parkera od tyłu, rzucając go na dłonie i kolana.

Tymczasem nóż leży pod ścianą, poza zasięgiem jego rąk.

# Dla ludzi takich jak wy

godzina 17.07

**W** miarę narastania głodu narkotykowego Mirandzie dokucza coraz dotkliwszy ból głowy. Zupełnie jakby była postacią z kreskówki, a każde uderzenie serca odbijało się echem wewnątrz jej czaszki. Javier leży, zakrywając ręką oczy. Cole i Grace siedzą razem w kącie i rozmawiają szeptem. Nawet jeżeli wymieniają właśnie ulubione teorie spiskowe, Miranda jest zadowolona, że Grace przestała zawodzić. Amina kuli się nad telefonem, w ekspresowym tempie stukając palcami w ekran.

Miranda też zdążyła już odpowiedzieć na wiadomości od przyjaciół. Napisała do mamy, która odchodzi od zmysłów. Miranda była na nią zła od dłuższego czasu, ale dzisiaj wszystkie nieporozumienia odeszły w niepamięć. Przez ostatnie pół godziny wymieniały rozmaite wariacje zapewnienia „kocham cię”. Miranda dochodzi do wniosku, że to nawet całkiem nieźle jak na ostatnie słowa.

Oprócz tego wymienia esemesy z Parkerem. Wszystko, co wydarzyło się przed kilkoma tygodniami, było ich obopólną winą. Każde z nich sądziło, że wykorzysta to drugie do zdobycia tego, czego pragnie, a okazało się, że oboje mają teraz mniej, niż mieli na początku. Już po wszystkim Miranda usiłowała wmówić sobie, że jednak było warto. I kiedy połknęła następną żółtą tabletkę, przez chwilę miała wrażenie, że do pewnego stopnia jest to prawda. Mimo wszystko aż do dzisiaj nienawidziła siebie i Parkera za to, co zaszło między nimi.

Perspektywa bliskiego końca pomogła jej uwolnić się od negatywnych emocji. Pomogła wybaczyć. Pomogła jej poczuć wdzięczność, że – przynajmniej na razie – ona i jej towarzysze wciąż pozostają przy życiu.

Antyterroryści wkrótce wkroczą. Miranda kurczowo czepia się tej myśli.

*Nie mogę się doczekać, żeby się stąd wydostać,* pisze do Parkera.

Sekundę później przychodzi odpowiedź.

*Więc potrafisz zapomnieć?*

*Nie. Potrafię pamiętać.*

– Do kogo piszesz? – zaciekawia się Javier.

Chłopak zdjął fartuch, zwinął go w kłębek i wsadził sobie pod głowę jak poduszkę.

– Do swojego kumpla Parkera. – Miranda macha ręką w kierunku, w którym jej zdaniem za ścianą znajduje się Parker. – Siedzi razem z siostrą na zapleczu sklepu Van Duyn. Ci dranie zamknęli drzwi wyjściowe linką rowerową. Parker pisze, że na drugim końcu holu rozciągnęli coś w rodzaju metalowej bramki i w ten sposób schwytali ludzi w pułapkę.

Amina wydyma usta, wypuszczając powietrze.

– W zeszłym tygodniu widziałam, jak jakiś facet w kasku montował tę składaną bramkę. Nawet nie przyszło mi do głowy, żeby się zastanowić, po co to robi.

– Jeśli wyglądasz wystarczająco profesjonalnie, możesz zrobić praktycznie wszystko – odzywa się Cole. – Wystarczy, że założysz smycz na klucze na szyję, trzymasz w ręku podkładkę do pisania i już nikt nie zadaje ci zbyt wielu pytań.

Miranda zauważa, że na wyświetlaczu jej komórki pojawia się esemes od Matthew. W wyobraźni widzi jego postać: senne błękitne oczy, długie ciemne włosy związane w męski koczek, cień zarostu na policzkach... Kiedy trzymał ją w swoich umięśnionych ramionach, mogła schować głowę pod jego podbródkiem. Uwielbiała to uczucie.

*Gdzie jesteś, skarbie?*

Powinna była zjawić się w jego mieszkaniu mniej więcej pół godziny temu.

*Siedzę w kryjówce w Fairgate. Jak dotąd wszystko okay.*

???

*Nie słuchałeś wiadomości?*

Ale Matthew nie jest typem faceta, którzy pilnie śledzi doniesienia ze świata. Jedyne, co go interesuje, to ceny rynkowe rozmaitych narkotyków.

*Nie.*

*Masa zastrzelonych. Mnie nic się nie stało. W piątkę zdążyliśmy się ukryć w sklepie Culpeppersów. Zaraz będą tu antyterrorysty.*

*To jakiś żart?*

*Niestety nie.*

Następna wiadomość od Matthew składa się z jednego słowa na „k”. I niczego poza tym. Miranda spodziewała się jakiegoś wyznania miłosnego albo przynajmniej wyrazu zaniepokojenia jej losem, jednak nic podobnego nie nadchodzi. Może Matthew nie może dojść do ładu ze swoimi uczuciami?

Albo może jego uczucia nie wykraczają poza irytację, że jego codzienna rutyna

została zakłócona.

Pomimo dotkliwego bólu głowy Miranda zdaje sobie sprawę, że pewne sprawy widzi wyraźniej, niż widziała przez kilka ostatnich miesięcy. Matthew został z grubsza poinformowany, co zaszło między nią a Parkerem, ale ani słowem nie wyraził swojej dezaprobaty. Po prostu wziął pieniądze, które dostała od Parkera, i w zamian wręczył jej tabletki. Matthew nie jest jej chłopakiem, nie w takim sensie, jak usiłowała to sobie wmówić. On nie jest nawet tak naprawdę jej przyjacielem.

Jest wyłącznie jej dilerem. Tak wygląda brutalna prawda o ich relacji.

Miranda mobilizuje się, żeby to wszystko z siebie wyrzucić – dosłownie i w przenośni.

*Jeśli wyjdę stąd żywa, z nami koniec. Nie chcę cię widzieć. Nie chcę dla ciebie pracować.*

Naciska „wyślij” i od razu czuje się lepiej. Nawet głowa boli jakoś mniej. Wyrzuca Matthew z listy kontaktów i blokuje go na wszystkich portalach społecznościowych, a następnie nastraja ucho na cichą rozmowę Cole’a i Grace.

– Kto wie, czym naprawdę są szczepienia? Spójrz na te wszystkie dzieciaki z autyzmem. To przecież nie może być przypadek!

Javier zdejmuje rękę z twarzy i opiera się na łokciu.

– Naprawdę wierzysz w te bzdury? W Meksyku dzieciaki padają jak muchy właśnie dlatego, że nie ma żadnych szczepień.

– Myślisz, że Amerykanie są w lepszej sytuacji? – odcina się Cole. – Tylko pewne sprawy są mniej oczywiste, choć sytuacja bywa naprawdę zła. Tym krajem tak naprawdę rządzą korporacje takie jak Pfizer czy Monsanto. Politycy biorą grube miliony i odwracają oczy, podczas gdy tamci zatruwają wszystko dookoła: nasze jedzenie, nasze powietrze, naszą wodę...

Jego wzburzone spojrzenie wędruje po pomieszczeniu od jednej osoby do następnej.

– Ludzie muszą się wreszcie ocknąć i szeroko otworzyć oczy.

– I co według ciebie zobaczą? – pyta Miranda.

– Że ludzie umierają. – Cole zaciska szczękę. – Pół roku temu zmarł mój tata, ponieważ zjadł hamburgera.

Amina, która wcześniej zaczęła majstrować przy komputerze, teraz odrywa wzrok od monitora i patrzy na Cole’a szeroko otwartymi oczyma.

– Ponieważ zjadł hamburgera? To znaczy zadławił się czy coś w tym stylu?

– Nie. Mięso było zakażone bakterią E. coli. Nie zadziałał żaden antybiotyk,

ponieważ nasz rząd zezwala fermom przemysłowym na wykorzystywanie antybiotyków, żeby zwierzęta szybciej przybierały na wadze, więc bakteria zdążyła się uodpornić. Można powiedzieć, że mój tata umarł, żeby kurczaki i krowy trochę szybciej rosły.

Grace ściska dłoń Cole'a, ale on zdaje się tego nie zauważać.

– Kiedy rodzice zmarli, moi bracia byli na misji, ale po tym, jak zostali zwolnieni ze służby, pomogli mi zrozumieć prawdę. Władze wcale nie chcą, żebyśmy wiedzieli, co naprawdę się dzieje. Ale już wkrótce rząd zostanie rozwiązany, władzę zaś przejmie Federalna Agencja Zarządzania Kryzysowego. Jeśli ten pomysł ci się nie spodoba, na takich jak ty czeka już ponad osiemset obozów, do których możecie zostać zesłani. Nawet są już gotowe furgonetki do przewożenia więźniów, dokładnie takie same, jakich używali naziści.

– W porządku – mówi powoli Miranda. – Więc istnieje ogólnoswiatowy spisek. I nikt o nim nie wie ani o nim nie mówi.

– Owszem. – Cole kiwa głową. – Na tym polega konspiracja.

– Więc skąd ty o tym wiesz?

– Moi bracia mi powiedzieli. Zresztą na YouTube możesz obejrzeć filmy z obozów Federalnej Agencji.

Cole najwyraźniej wierzy w to, co mówi, chociaż Miranda od razu dostrzega rzucającą się w oczy niespójność.

– Skoro rząd jest tak zły i przebiegły, to jak to się stało, że nie zablokował tych filmów na YouTube?

Cole dumnie unosi podbródek.

– Może dlatego woleli je zostawić, żeby monitorować, kto ogląda takie materiały. Żeby móc potem w akcie oskarżenia dowieść, że jesteśmy szaleni i opętani paranoją.

Może faktycznie on jest szalonym paranoikiem, myśli Miranda. Nie można jednak zapomnieć, że Cole w krótkim czasie stracił obydwój rodziców. Nic dziwnego, że jest wściekły. Nic dziwnego, że wszędzie węszy spisek.

– Uważasz, że ten rząd jest skorumpowany? – Javier zdejmuje stopy z szuflady biurka i siada prosto. – Powinieneś spróbować życia w Meksyku. Jeśli posmarujesz wystarczająco dużo łap, nikt nie ośmieli się ciebie tknąć.

Cole zdaje się go nie słuchać. Zamiast tego wskazuje na plecy Javiera. Miranda podąża wzrokiem za jego palcem i widzi, że koszula Javiera zawinęła się nieco, odsłaniając pas, a za pasem tkwi...

– Boże, ty masz rewolwer! – wykrzykuje.



Ale Javier kręci głową.

– Nie mam.

– Nie kłam! – woła Cole.

Javier wyciąga broń zza pasa i trzyma ją od niechcienia, celując w podłogę.

– Chłopie, to nie jest rewolwer. To tylko zabawka. Mogę nią odstrzelić czubek pomarańczy, nic więcej. Strzela plastikowymi kulkami, nie prawdziwymi pociskami.

– Pozwól, że zobaczę. – Cole wyciąga rękę, a Javier podaje mu rewolwer.

Cole przez chwilę waży go w dłoni, a następnie wyciąga przed siebie, jakby mierzył do celu gdzieś daleko za nimi.

Chociaż Miranda wie, że to podróbka, nie może oprzeć się myśli, że broń mimo wszystko wygląda jak prawdziwy, ciężki rewolwer.

– Jaki jest sens noszenia broni, jeżeli to tylko straszak? – pyta.

Każdy z nich słyszał opowieści o dzieciakach zastrzelonych przez gliniarzy, ponieważ machały im przed nosem fałszywymi pistoletami.

– Dla ochrony.

– Ochrony? Przed czym?

– Tam, gdzie mieszkam, mnóstwo meksykańskich chłopaków w moim wieku należy do rozmaitych gangów. Jeśli należysz do niewłaściwego gangu, zwyczajnie możesz zginąć. Trzy miesiące temu mój przyjaciel został zastrzelony, ponieważ był z Eighteenth Street, a wpadł na kilku Paso Robles Boyz. Zobaczcie, co mi się przytrafiło ostatnim razem, kiedy powiedziałem, że nie należę do żadnego gangu. –

Javier rozdziela palcami gęste czarne włosy, ukazując obecnym szramę o długości pięciu centymetrów, a następnie odbiera rewolwer z rąk Cole'a i wtyka z powrotem za pas. – Więc jeśli sprawy znowu pójdą źle, może dzięki temu tamci zmienią zamiar.

– Albo bez namysłu zastrzelą cię z własnej, prawdziwej broni – mówi Cole.

– Dlaczego nie poszedłeś z tym na policję? – pyta Miranda.

– Na policję? – Javier wydaje się szczerze zdziwiony pytaniem. – A co oni mieliby zrobić?

– Ochronić cię?

– Policja jest dla innych ludzi. Dla ludzi takich jak wy. Białych ludzi. Tych, którzy się tutaj urodzili.

Amina podnosi wzrok znad komputera i wymienia z Javierem szybkie spojrzenia.

– Ale ludzie tacy jak ja? Uchodźcy, którzy przebywają tutaj nielegalnie? Jedyne, co chcieliby zrobić z kimś takim jak ja, to szybko go deportować.

– Spójrzcie, jesteśmy w telewizji. – Amina wskazuje palcem monitor komputera. –  
To znaczy, jest Fairgate Mall.

Miranda przysuwa się bliżej, spragniona widoku świata na zewnątrz.

# Przypuszczam, że mówi

godzina 17.19

**W**szyscy tłoczą się teraz dookoła komputera. Na ekranie widać transmisję na żywo telewizji KGW, dźwięk jest wyłączony. Blond reporterka porusza ustami, jednocześnie wolną ręką wskazując budynek centrum handlowego. Od czasu do czasu obraz zastyga albo staje się zamazany. Miranda mruży oczy, żeby przeczytać napisy biegnące na pasku na dole ekranu.

„...zakładnicy zostali ustawieni twarzami do szyby, prawdopodobnie po to, by mogli służyć jako żywe tarcze. To rozdzierający serce widok. Jedna z dziewczynek w wieku mniej więcej dwunastu lat porusza ustami. Przypuszczam, że mówi: Pomóżcie mi!”

Ujęcie zmienia się, ukazując wejście do centrum handlowego – to samo, o którym Miranda przekonała się, że jest zamknięte. Co najmniej tuzin osób stoi przyciśniętych do przeszklonych drzwi, z rękoma związanymi z przodu. Wielu z nich porusza ustami, rozpaczliwie próbując coś zakomunikować. Jeśli nie uda im się przeżyć, czy ktokolwiek zdoła rozszyfrować, co usiłowali przekazać?

„Zakładnik przebrany za Świętego Mikołaja jest smutnym przypomnieniem faktu, że ta tragedia rozgrywa się w okresie świąt Bożego Narodzenia, kiedy wszyscy oczekujemy, że na świecie zapanuje pokój, a między ludźmi wzajemna życzliwość”.

Kamera powraca do reporterki, która stoi teraz w towarzystwie jakiejś dziewczyny w wieku licealnym. Jej długie ciemne włosy są wygolone z jednej strony.

– To jest Jackie. Kiedy wybuchła strzelanina, znajdowała się na terenie strefy restauracyjnej Fairgate Mall.

Kamera przybliżyła się do twarzy o szeroko otwartych oczach.

– Stałam przy kasie, właśnie miałam zapłacić za kawałek pizzy, kiedy usłyszałam strzały. Ludzie pędzili we wszystkich kierunkach, starając się znaleźć jakąś kryjówkę. Ja razem z paroma osobami znalazłam się za stoiskiem, w którym sprzedawane są zdalnie sterowane zabawki. Potem zdecydowaliśmy, że podejmujemy próbę ucieczki. Przez cały czas spodziewałam się, że tamci zaraz nas zastrzelą, ale tak się nie stało.

Kamera przesuwa się z powrotem na reporterkę, która kiwa głową.

– Można powiedzieć, że miałaś mnóstwo szczęścia.

Twarz dziewczyny wykrzywia się.

– Ale widziałam, jak inni umierają... To było okropne.

Kamera podąża w bok, ukazując gęstniejący tłum, policyjne barykady ustawiane kawałek dalej za centrum handlowym, migające niebieskie światła w zapadającym powoli zmroku.

– Policja potwierdza, że wewnątrz jest aż ośmiu napastników, ubranych na czarno i w kominiarkach. Ponad tuzin rannych zostało zabranych do miejscowych szpitali. Nawet jeśli wasi przyjaciele lub rodzina znajdują się na terenie Fairgate Mall, władze zalecają, żebyście trzymali się z dala. Policja, straż pożarna i karetki pogotowia potrzebują swobodnego przejazdu, żeby na bieżąco reagować na zmiany sytuacji. Poczekać można w kościele Calvary Baptist około trzech kilometrów stąd. Przygotowano tam miejsce, gdzie ocalone osoby będą mogły połączyć się ze swoimi rodzinami.

Czy właśnie tam jest teraz tata Mirandy? Czy policja zmusiła go, żeby tam się wycofał? Miranda ma nadzieję, że tak się nie stało. Ma nadzieję, że wciąż dzieli ich zaledwie kilkaset metrów.

Reporterka stanowczo kiwa głową.

– Pytanie brzmi: o co chodzi napastnikom? Czego oni chcą? Gdy tylko przyjechałam na miejsce zdarzenia, pewien młody człowiek wręczył mi pendrive'a. Twierdził, że był zakładnikiem i że został wypuszczony, pod warunkiem, że przekaze nośniki przedstawicielom mediów. Kilka minut później został zabrany przez policję. Barry, czy już wiadomo, co znajduje się na pendrivie?

Kamera ukazuje jakiegoś poważnego człowieka, który siedzi w studiu telewizyjnym.

– Tak jak mówiła Jessica, został nam dostarczony pendrive. Jego zawartość wciąż jest analizowana, lecz zdaje się, że zawiera coś w rodzaju manifestu. Przekazaliśmy go wymiarowi sprawiedliwości, lecz jeśli dostaniemy pozwolenie, od razu podzielimy się wiedzą z naszymi słuchaczami.

– W porządku, Barry.

W tym momencie ścianami centrum handlowego wstrząsa potężny huk.

## godzina 17.21

**Jednostka 68:** Jesteśmy przy wejściu do Nordstromu.

**Dyspozytor:** Przyjąłem.

**Jednostka 68:** Wydaje się, że nikogo tu nie ma. Bramka bezpieczeństwa jest zamknięta. Kierujemy się do... Czekaj, co to jest? (huk eksplozji)

**Dyspozytor:** Sześćdziesiąt osiem! Zgłoś, co się dzieje!

**Dyspozytor:** Sześćdziesiąt osiem? Jaki stan? Czternaście? Czterdzieści jeden? Czterdzieści trzy?

Jednostka 14: (szum)... Bomba... (szum)...

**Dyspozytor:** Natychmiast potrzebny ambulans i wsparcie przy wejściu do Nordstromu! Strona południowa! Szybko!

# Obudź się!

*Nagranie zaczyna się od zdjęcia amerykańskiej flagi powiewającej do góry nogami, co jest oficjalnym sygnałem zagrożenia.*

*Następny kadr przedstawia mężczyznę siedzącego w salonie, na tle ściany obitej sosnową boazerią polakierowaną na żółto. Podłoga wyłożona jest zwykłą, nijaką wykładziną dywanową. Mężczyzna siedzi na gładkiej brązowej kanapie. Na głowie ma czarną kominiarkę. Jego oczy są błękitne. Ubrany jest w robocze buty, dżinsy i koszulkę w kolorze kości słoniowej. Jego ramiona są umięśnione i opalone na brązowo.*

*Jego T-shirt zdobi wyobrażenie nagiego, ogołoczonego z liści drzewa z czerwonymi korzeniami, pod nim zaś widnieje cytat z przemówienia Thomasa Jeffersona: „Drzewo wolności musi od czasu do czasu zostać odświeżone krwią patriotów i ciemężycieli”.*

*Mężczyzna przemawia:*

– Ameryko, nadszedł czas, żebyś się przebudziła. To my jesteśmy twoim budzikiem.

Aż po dziś dzień byliście jak dzieci, olśnione blaskiem zabawek. Wierzyliście w to, co mówią wam w telewizji, że nie możecie być szczęśliwi bez nowych samochodów, gorących frytek, lepszych lekarstw i większych telewizorów. Że święta Bożego Narodzenia nie mogą się udać, o ile nie kupicie jeszcze więcej tego bzdurzenia, które rozpadnie się natychmiast po rozpakowaniu. I że jeśli przypadkiem zabraknie wam pieniędzy, zrobicie zakupy na kredyt.

W rezultacie miliony Amerykanów żyją w pokreślonym zniewoleniu, podczas gdy inni gniją w więzieniach, zmuszeni są walczyć w obcych krajach lub wegetują na ulicy jak zwierzęta. Tak wielu z nas budzi się w nocy z przerażeniem, że utracimy swoje domy.

Sądzicie, że płacicie za swoją własność pieniędzmi, ale to nieprawda. Płacicie za nią własną krew. Dzisiaj postanowiliśmy wam to wszystko wyjaśnić.

Świat wokół was wali się w gruzy, podczas gdy urzędnicy państwowi – kupieni i opłacani przez wielkie korporacje – działają w poczuciu całkowitej bezkarności. Korporacje, wspierane przez rządy, które rzekomo wybieracie, sprzedają wam same kłamstwa. Wy zaś te kłamstwa kupujecie. Pozwoliliście, by politycy i korporacje odebrali wam godność. Pozwalacie, by waszym kosztem bogaciły się i obrastały

w tłuszcz. Jednak musicie wiedzieć jedno: dla tych, którzy naprawdę rządzą waszym krajem, wasze istnienie jest tak samo ważne jak trawa, którą deptają podszewkami butów. Są zależni od służebności armii ludzi, których nawet nie dostrzegają. Od ludzi, którzy tankują im benzynę, wywożą ich śmieci, przywożą im zakupy, instalują kablówkę. Lecz jeśli przypadkiem stracą elektryczność, internet, dostęp do sklepów, przekonacie się, jak bardzo ich byt zależy od was.

Powinniśmy powrócić do czasów pełnych prostoty, kiedy mężczyzna był w stanie zarobić na utrzymanie swojej rodziny, kiedy mogliśmy wierzyć politykom, że nas nie zdradzą, kiedy mogliśmy mówić prawdę bez narażania się na ostracyzm, kiedy wielkie zakłady nie zatrzymywały nam wód i powietrza, kiedy praca nie zniknęła nagle i kiedy ludzie, którzy walczyli za ten kraj, wracali do domu w glorii i chwale.

Zamiast tego hołubimy cudzoziemców, którzy przebywają tu nielegalnie i zabierają nam pracę, podczas gdy nasi weterani śpią na kartonach pod drzwiami. Pozwalamy, by marionetkowy rząd kontrolował każdy aspekt naszego życia.

My, naród, nie wypowiadamy wojen ani nie zawieramy pokoju, ale to my walczyliśmy w bitwach i to my przelewaliśmy krew i umieraliśmy na obcej ziemi. W imię czego? Wojny nie poprawiają niczyjego losu. Pomagają jedynie korporacjom, bo ropa płynie szerokim strumieniem. Jednak to wy pozwalacie, by młodzi ludzie wyruszali na wojnę, a potem odwracacie się plecami, kiedy wracają stamtąd poranieni na ciele i duszy. No cóż, nie można dłużej odsuwać się na bok.

Pokazaliśmy wam, czym naprawdę jest wojna. Wojna to śmierć. To zniszczenie. To przypadek i okrucieństwo. To pogruchotane ciała, wypaczone umysły i złamane serca.

Prawda, dzisiaj niektórzy z was utracą swoich ukochanych przez to, co zrobiliśmy. Ale nie jesteście pierwszą matką, która straciła dziecko, ani pierwszym dziadkiem, który nie zobaczy więcej wnuka czy wnuczki. Ich śmierć przynajmniej będzie miała jakiś sens. Ludzie spojrzą wstecz i powiedzą, że dzisiejszy dzień był dniem przełomu.

Ludu Ameryki, obudź się! Możecie zacząć od małych aktów sprzeciwu. Na przykład przestańcie gromadzić badziewie. Albo możecie wyjść z domów i na własną rękę zasiać ziarno destrukcji. Otwórzcie oczy innym. Rozlew krwi jest jedyną drogą do obalenia obecnego systemu.

Wszystko zależy od was. Czy staniecie się wolnymi ludźmi? Czy socjalistami nieudolnie udającymi niewolników?

Pamiętajcie, że zabijanie było także aktem naszego miłosierdzia. Dzięki naszej wspaniałomyślności tylu innych wciąż pozostało przy życiu. I jeśli chcecie, by żyli nadal, musicie spełnić nasze żądania.

Po pierwsze: amerykańscy żołnierze muszą zostać wycofani ze wszystkich konfliktów zbrojnych na Bliskim Wschodzie.

Po drugie: wszystkim weteranom należy zapewnić pracę, mieszkania i wsparcie finansowe.

Po trzecie: system polityczny musi zostać zreformowany w taki sposób, aby polityk nie mógł przyjąć sumy większej niż pięćdziesiąt dolarów, zarówno od osoby prywatnej, jak i od korporacji.

Wiemy, że wypełnienie tych warunków będzie wymagało czasu.

W okresie przejściowym musicie więc zrobić następujące rzeczy: to przesłanie musi zostać wyemitowane w ogólnonarodowych mediach. Ponadto nasi przyjaciele Eric Piercy, Isaac Mayakowsky i Joshua Pritchard mają zostać uwolnieni z więzienia federalnego w Sheridan i przetransportowani na lotnisko w Aurorze. Podstawicie nam autobusy, którymi przewieziemy tam zakładników, a kiedy już się tam znajdziemy, zapewnicie nam samolot i pilota. Wówczas połowa zakładników odzyska wolność. Kiedy samolot wyląduje, uwolnimy z pokładu pozostałych.

Musicie zapamiętać jedno: nie wypuścimy nikogo, dopóki nasze żądania nie zostaną spełnione, a za każdego zabitego spośród naszych ludzi zastrzelimy dziesięciu zakładników.



# Upredzaliśmy, co się stanie

godzina 17.27

Ogłuszający huk. Fala powietrza wypycha drzwi wprost na niego. To musiała być bomba, myśli Parker. Czy pozostali zakładnicy nie żyją?

Co z Mirandą?

Kiedy znów zaczyna wyraźnie słyszeć, docierają do niego wrzaski i płacz zgromadzonych w holu ludzi. Co gorsza, słyszy także inne głosy. Męskie okrzyki, w których brzmi nie strach, lecz podekscytowanie. Głosy zabójców. Wiwatowanie. Jak kibice na meczu piłki nożnej, kiedy ich drużyna wygrywa.

Cokolwiek więc się wydarzyło, było to coś, czego tamci sobie życzyli. Miranda napisała, że antyterroryści mają wkroczyć, żeby zabić napastników. Parker domyśla się, że nastąpiło coś przeciwnego.

Laska wrzeszczy na cały głos do zakładników.

– Siadać i zamknąć ryje! Natychmiast!

– Parker! – woła Moxie z wnętrza szafki. – Parker, gdzie jesteście?!

Jej głos jest przytłumiony, ale i tak doskonale słyszalny.

Parker czym prędzej wypycha telefon do kieszeni i na czworaka przemieszcza się w jej kierunku.

– Ciii... – szepcze na tyle głośno, na ile starcza mu odwagi.

– Parker! Parker!

– Idę! – odpowiada pół krzykiem, pół szeptem. – Tylko bądź cicho!

Drzwi za jego plecami otwierają się z takim rozmachem, że skrzydło uderza o przeciwległą ścianę. Parker spogląda przez ramię. To Laska. Unosi karabin.

Parker po prostu idzie przed siebie. Tylko tyle. To jego ostatnie chwile na ziemi. Nie modli się. Nie błaga. Spogląda w okrągłe, puste oko wylotu lufy.

Laska posuwa się o krok do przodu i przyciska lufę do skroni Parkera. Zimny metal jest teraz zaledwie o kilka milimetrów od jego mózgu. Może nawet nie zdąży poczuć bólu.

Jednak następnym dźwiękiem, który się rozlega, nie jest wystrzał, lecz rumor spowodowany wypadającymi na podłogę pudełkami pełnymi cukierków. Moxie niezgrabnie gramoli się z szafki. Parker opanowuje się, by nawet nie drgnąć, i tylko kątem oka obserwuje jej poczynania. Włosy dziewczynki przykleiły się z jednej strony do zarumienionego policzka, a czerwony płaszczyk podwinął się do połowy pleców.

To by było na tyle, jeśli chodzi o chronienie jej przed tym, co tu się dzieje, myśli Parker. Za sekundę Moxie będzie cała w jego krwi i fragmentach mózgu.

I to o ile dopisze jej szczęście. Jeśli nie, wkrótce będzie martwa tak samo jak on.

Moxie podnosi rączkę i celuje palcem w Laskę.

– Ty! – krzyczy. – Ty jesteś tym złym człowiekiem!

Dla podkreślenia swoich słów tupie przy tym nogami.

Teraz już nie ma odwrotu, myśli Parker. Teraz obydwójce zginą marnie. Moxie przynajmniej umrze, stojąc, nie tak jak on, na czworakach.

– To jeszcze dzieciak! – bełkocze. – Sama nie wie, co mówi.

– Nie wciskaj mi kitu. Doskonale wie. – Laska, ku zdumieniu Parkera, uśmiecha się lekko. – No, mała, całkiem wyszczekana z ciebie dziewczuszka!

Na szczęście Moxie nie próbuje dyskutować. Parker ma wrażenie, że siostrzyczka jest o krok od przejścia od uroczej do irytującej na tyle, by ją zabić.

Laska przesuwa karabin o kilka centymetrów i dźga nim Parkera w ramię.

– Nie wolno ci było tutaj siedzieć! Słyszysz? Zaprzepaściłeś swoją szansę. Mogłeś stąd wyjść, ale nie skorzystałeś z okazji.

Najwyraźniej Laska nie rozpoznaje Parkera. To lepiej, że nie dostrzegł telefonu, noża i rozciętych więzów i sądzi, że Parker przez cały czas się tu ukrywał.

– Ukrywałem się tutaj od samego początku. Chciałem ratować siostrę.

Nie ruszając głową, chłopak szuka wzrokiem noża. Ten leży na podłodze, na wpół zakryty przez otwarte drzwi. Czy Laska zauważy kawałki rozciętego sznura? Czy przypadkiem nie zostały na blacie stołu? Czy telefon nie wystaje przypadkiem z tylnej kieszeni Parkera?

– Takie tłumaczenie mi nie wystarcza – oznajmia Laska.

– Ale to jedyne, jakie mam.

– Wstawaj i wyłaź stąd – decyduje Laska. – Zobaczymy, co tamci zechcą z tobą zrobić.

Im szybciej stąd wyjdziemy, tym mniejsza szansa, że Laska zauważy nóż albo resztki sznura, myśli Parker. Pospiesznie chwyta Moxie za rękę.

– Ukrywał się razem ze swoją małą siostrą w sklepie ze słodyczami – woła Laska do kompanów, kiedy wychodzą do holu. Zatrzymują się niecałe dziesięć metrów od bramki.

Błękitne oczy Wilka wpatrują się w Parkera zza krat. Jego twarz ukryta jest pod kominiarką, więc trudno stwierdzić, co może myśleć. Parker zmusza się, żeby wbić wzrok w podłogę. Tutaj jest miejsce tylko dla jednego samca alfa i z pewnością ten bez broni nie ma szans.

– Ty. – Wilk wskazuje na jedną z dziewczyn w bluzie z logo Uniwersytetu Stanforda. – Przytrzymaj jego siostrę.

Parker delikatnie popycha Moxie w stronę dziewczyny, ale mała próbuje się wyrwać. Nieznajoma łapie Moxie za oba nadgarstki i przyciąga do siebie, choć dziewczynka szarpie się na wszystkie strony.

– Uprzedzaliśmy, co się stanie, jeśli kogoś znajdziemy – głos Wilka jest spokojny, ale przez to jeszcze bardziej przerażający. – Dostałeś swoją szansę, żeby się ujawnić, ale z niej nie skorzystałeś.

Parker milczy. Nie widzi sensu dyskusowania ani składania nieszczerych przeprosin. Kątem oka widzi starszą kobietę w białym uniformie Van Duyn; musi być przerażona, że on, chcąc się ratować, ujawni jej udział w ukryciu Moxie.

– Wierzycie temu gnojkiwi? – Wilk kieruje wylot lufy prosto w pierś Parkera, jednocześnie przesuwając wzrokiem po pozostałych zakładnikach. Jego usta rozciągają się w czymś w rodzaju upiornego uśmiechu. – Wydawało mu się, że może być nieposłuszny. Że może sam wybierać, co należy zrobić. Nic z tych rzeczy. Teraz wszyscy należycie do mnie. Należycie do nas.

Jego wzrok z powrotem wwierca się w Parkera.

– Klękaj! – rozkazuje.

Nie ma dokąd uciekać, nie ma żadnego sposobu, żeby jakoś sobie pomóc, myśli Parker. Osuwa się na kolana, modląc się w duchu, żeby to stało się szybko.

– Jednak nigdy nie zgodzimy się na to, żeby ktoś o nas mówił, że nie mamy litości. – Wilk opuszcza karabin o kilka centymetrów. – To, czy umrzesz, czy będziesz żył, zależy teraz od twoich współtowarzyszy niedoli. To oni złożą ci skórę za nieposłuszeństwo i zaręczam, że przyłożą się do tej roboty. I w końcu to oni zadecydują, kiedy – i czy w ogóle – przestać.

Nikt się nie rusza.

– No dalej! – wrzeszczy Wilk. – Na co czekacie?! Ci przy drzwiach niech stoją tam, gdzie są, ale reszta ma podejść do tego gnojka, któremu wydawało się, że może mieć wasze życie za nic.

Ludzie, ociągając się, ruszają przed siebie. Parker podnosi na nich wzrok, ale zaledwie kilkoro ma odwagę, by odwzajemnić jego spojrzenie. Niektórzy płaczą, a strumienie łez spływają po i tak już mokrych twarzach. Inni wydają się całkiem beznamiętni. Chłopak, który został postrzelony, teraz znajduje się tuż przed Parkerem. Ktoś zabandażował szalikiem jego zranioną rękę, z tkaniny wciąż zwisa metka z ceną.

– Teraz musicie mu pokazać, jak wielki popełnił błąd. Pokażcie, jak bardzo jesteście na niego wściekli za to, że wszystkich was naraził na niebezpieczeństwo. Musicie mnie przekonać, że naprawdę tak uważacie. Niech on będzie przykładem, do czego prowadzi niesubordynacja, żebym nie musiał pozostałym udzielać następnej lekcji.

Po dłuższej chwili emeryt w białych, zapinanych na rzepy butach do tenisa podchodzi bliżej i kopie Parkera w żebra. Właściwie to nie był kopniak, raczej popchnięcie.

Biznesmen, którego twarz nie zdradza żadnych uczuć, robi zamach nogą w kosztownym mokasynie i trafia Parkera w lewe biodro. Mocno. Prąd przeszywa mu nogę aż do kostki.

Parker sapie cicho i opada na czworaki.

– No, na początek całkiem nieźle, ale to wciąż za mało. O wiele za mało – odzywa się Wilk.

Znowu podnosi broń.

– Macie go porządnie ukarać albo sami zostanieie ukarani.

Starsza pani z siwiejącymi dreadami wydaje z siebie nieludzki skowyt. Wygląda jak babcia, która uwielbia piec kruche ciasteczka z czekoladą dla swoich wnuków, ale to było w czasach, zanim zaczął się ten koszmar. Ze związanymi z przodu rękoma daje radę złapać Parkera oburącz za włosy, a następnie wymierza mu cios kolanem prosto w nos. Parker ma wrażenie, jakby zimny metal wbił mu się prosto w mózg. Jego oczy natychmiast wypełniają się łzami, a na białe linoleum tryska krew.

Stanford wciska buzię Moxie w swój brzuch, żeby mała nie musiała patrzeć na to, co dzieje się z jej bratem.

Parker powtarza sobie, że nie będzie krzyczał. Nie pozwoli, żeby Wilk, Laska i Myszka poczuli satysfakcję.

Mając związane z przodu ręce, większość ludzi do wymierzenia kary używa nóg. Buty do tenisa wcale nie kopią dotkliwie. O wiele gorsze jest eleganckie obuwie, wykonane z twardej skóry. Pani na niemiłosiernie wysokich szpilkach unosi nogę i Parker przygotowuje się na to, że lada moment zostanie nadziany na obcas, lecz but ledwie muska go w pasie. Kiedy Parker wciąż próbuje rozstrzygnąć, czy kopniak

Szpilki chybił przypadkiem, czy celowo, gość z tunelami kopie go w udo tak mocno, że Parker przewraca się na bok. Drugi kopniak szczęśliwie nie trafia celu.

Parker zwija się w kłębek, starając się skulić najbardziej, jak to tylko możliwe. Przyciska czoło do kolan, palcami zaś obejmuje kark, mimo to znaczna powierzchnia jego ciała wciąż pozostaje bez osłony.

Pierwotny plan, by zachować wyniosłe milczenie, szybko okazuje się pozbawiony sensu. Przy każdym ciosie z ust Parkera wyrywa się głucho stęknienie. Usta napełniają się gorącą, słoną krwią. Potężny kopniak trafia go dokładnie w tył głowy i Parker oczyma wyobraźni widzi, jak jego mózg z impetem wypada z czaszki.

W końcu Szpilka nie wytrzymuje.

– Dość tego! – wrzeszczy. – Przestańcie! Macie natychmiast przestać! On nie jest naszym wrogiem! A my nie jesteśmy mordercami! Nie jesteśmy tacy jak oni!

Parker unosi głowę. Wtedy Biznesmen kopie go prosto w podbródek.

## godzina 17.23

**Jednostka 45:** Musimy przyjąć, że sześćdziesiąta ósma i pozostali już nie będą mogli udzielić nam wsparcia. Przejmuję dowodzenie do chwili, kiedy na miejscu pojawią się antyterrorysty. Do tego czasu potrzebuję dwóch wozów przy każdym z wyjść, żeby sprawdzać, kto jest ranny i tych, którzy ewentualnie mogą być uzbrojeni.

**Dyspozytor:** Potwierdzam. Prasa i członkowie rodzin zostali umieszczeni w Calvary Baptist, około trzech kilometrów od Fairgate Mall. Zażądaliśmy pomocy wzajemnej od miejscowych sił porządkowych. Tigard, Beaverton, Gresham i Oregon City przysła nam dodatkowych funkcjonariuszy. Z Salem jedzie około piętnastu oficerów, a Vancouver przysła jeszcze dwudziestu.

**Jednostka 45:** Jak wszystkie radiowozy będą już na miejscu, niech zamkną obwód dookoła całego centrum.

**Dyspozytor:** Przyjąłem.

**Jednostka 10:** Czy mam zezwolenie na przyjmowanie ludzi do radiowozu? Mam tu kilka osób rannych od postrzału i żadnego ambulansu.

**Jednostka 45:** Zrób to. Po prostu zawiadom wszystkie szpitale, że przywieziemy im rannych.

**Dyspozytor:** Przyjąłem.

**Jednostka 22:** Mamy dwie ofiary na tyłach oddziału po zachodniej stronie centrum. Możemy je stąd ewakuować.

**Jednostka 48:** U nas od wschodniej strony są trzy grupy rannych. Jeden facet został postrzelony w szyję. Zaraz ich wieziemy.

**Jednostka 45:** Uwaga, piesi funkcjonariusze! Ruszają brygady przewożące rannych. Dyspozytornia, kiedy możemy spodziewać się przybycia antyterrorystów i zespołu negocjacyjnego?

**Dyspozytor:** Powinni być na miejscu dosłownie za kilka minut.

**Jednostka 45:** Czy FBI jest informowane na bieżąco? Będziemy ich potrzebować, żeby uruchomili w Quantico zespół odbijania zakładników.

**Dyspozytor:** Ktoś jest w kontakcie z FBI na bezpośredniej linii.

**Jednostka 45:** Przekażcie wszystkim, żeby kierowali się na parking od strony południowej. Damy im osłonę.

**Dyspozytor:** Dziesięć–cztery. Informacja została przekazana.

# Powoli, powoli

godzina 17.23

**E**ksplozja była tak potężna, że Miranda poczuła, jak grzechoczą jej wszystkie żebra.

Grace krzyczy przerażona i Cole przyciąga ją do siebie.

– To nie był żaden granat błyskowo-hukowy – szepcze ponad jej ramieniem do pozostałych. – To była bomba. – Krzywi się. – Nie mogę uwierzyć, że to zrobili.

– Chcesz powiedzieć, że któryś z tych drani zdetonował swoją kamizelkę? – pyta Javier.

Cole kręci głową.

– Nie. Raczej zastawili bombę pułapkę na gliniarzy.

Zza ściany dolatuje przeraźliwy pisk.

– Parker! Parker!

To głos małej dziewczynki, głos pełen paniki. Dobiega z bardzo bliska.

– Parker! Parker!

Miranda kuli się w sobie, czekając na odgłos strzału, ale zamiast tego słyszy jedynie niewyraźny pomruk dwóch męskich głosów.

Teraz jej telefon zaczyna wibrować. Drżącą ręką wydobywa go z kieszeni. To esemes od taty.

*Gliniarze mówią, że bomba zmiotła ich kolegów, którzy wdarli się do środka. Teraz wycofują się, żeby przegrupować siły.*

*Jak długo może to potrwać?* – odpisuje Miranda.

Oczekiwanie na odpowiedź trwa tak długo, że Miranda wie bez czytania, co tata napisał.

*Może potrwać bardzo długo. Jesteś pewna, że nie ma stamtąd żadnego wyjścia?*

*Spróbujemy coś wykombinować,* odpisuje Miranda.

Nie może dłużej tutaj siedzieć jak owca w zagrodzie, trzęsąc się od głodu narkotykowego, kiedy czas wlecze się w ślimaczym tempie.

*Bądź ostrożna. Kocham cię.*

*Ja też cię kocham.*

Czuje, jak do oczu napływają jej palące łzy. Pożegnanie kogoś bliskiego jest wystarczająco okropne, ale powtarzane w kółko przez dłuższy czas jest po prostu nie do zniesienia.

Wszyscy z wyjątkiem Grace, która wciąż szlocha na ramieniu Cole'a, wbijają w nią spojrzenie.

– Mój tata twierdzi, że to była bomba. Ci dranie wysadzili w powietrze gliniarzy, którzy starali się przyjść nam z pomocą.

Amina zerka na monitor komputera.

– Dziennikarka też mówi, że to była bomba.

Szept Mirandy jest niemal tak cichy jak oddech:

– Tata uważa, że to może jeszcze bardzo długo potrwać, zanim policja się tu zjawi, żeby nas uratować.

Grace podnosi głowę, jej oczy lśnią od łez.

– Ja już nie mogę tego dłużej znieść. Tego czekania na śmierć.

– Im dłużej tu tkwimy, tym większe prawdopodobieństwo, że tamci w końcu nas znajdą – mówi Javier.

Miranda próbuje wyobrazić sobie kolejne godziny spędzone tutaj. Godziny, które zamieniają się w dni.

– Co będzie, jeśli znowu spróbujemy wymknąć się na ten korytarz? – Wskazuje w stronę wyjścia. – Ostatecznie od bardzo dawna nie słyszeliśmy, żeby ktoś tam strzelał.

– No nie wiem. – Grace znajduje niepoplamiony krwią brzeg bluzki i wyciera oczy.  
– A jeśli ta droga nie jest bezpieczna?

– A siedzenie tutaj według ciebie jest? – pyta Amina bezbarwnym głosem.

– Fatalnie, że w tylnych drzwiach nie ma wizjera – odzywa się Javier.

Przez wizjer można zobaczyć tylko to, co znajduje się naprzeciw drzwi, oni zaś muszą przekonać się, co dzieje się w głębi korytarza. Jednak jeśli jedno z nich zdecyduje się wystawić głowę przez uchylone drzwi, żeby poznać odpowiedź, może to oznaczać wyrok śmierci dla wszystkich.

Ale co jeśli...? Miranda zrywa się na równe nogi i zaczyna grzebać w górnej szufladzie biurka. Jest! Linijka, którą zauważyła już wcześniej. I rolka taśmy klejącej. Przyciskając telefon do końca linijki o długości czterdziestu pięciu centymetrów,



zaczyna okręcać taśmę dookoła.

– Co ty robisz? – dopytuje się Cole.

– Wysłunięcie telefonu przez szparę w drzwiach jest o wiele bezpieczniejsze niż wystawienie głowy. Włączę tryb wideo i w ten sposób sprawdzimy, co dzieje się na korytarzu.

Amina podnosi głowę i nad czymś się zastanawia.

– Na prawo korytarz zaraz się kończy. Jestem całkiem pewna, że tam jest tylko Eternity Day Spa.

Miranda próbuje przywołać w pamięci plan sklepów.

– I to jest daleko od holu, gdzie przetrzymywani są zakładnicy.

– Zgadza się. – Amina wskazuje przeciwny kierunek. – A tam korytarz ciągnie się przez jakieś piętnaście metrów, ale potem się rozgałęzia.

– Dokąd prowadzą rozgałęzienia? – dopytuje Miranda.

– Jedno do galerii. Drugie do magazynu dla najemców. – Amina kreśli w powietrzu wyimaginowaną ścieżkę. – Jestem całkiem pewna, że jedna odnoga prowadzi do wyjścia ewakuacyjnego. Tylko stąd nie da się go zobaczyć.

– Jeśli uda nam się wydostać, czy dasz radę iść? – pyta Javiera Miranda.

Zamiast odpowiedzi Javier powoli dźwiga się na nogi i przesuwa się o krok, potem o drugi.

– Dam radę – oznajmia szeptem. – To dzięki wam. Chodźmy stąd. Chodźmy stąd jak najszybciej.

Kiedy ruszają ku drzwiom, Grace spogląda na Aminę.

– Hej, może powinnaś ściągnąć z głowy ten swój szal?

– Co takiego? – Amina marszczy czoło. – Dlaczego?

– Bo przez to rzucasz się w oczy. Poza tym może ci ludzie nie lubią muzułmanów?

– Nie mam zamiaru wypierać się swojej wiary. Zresztą według mnie to nie ma znaczenia. Jestem pewna, że wszystkich nas chcą pozbawić życia.

Kiedy opuszczają magazyn, Grace zauważa w kącie szczotkę do zamiatania. Robi nią próbny obrót nad głową i wykonuje kilka eksperymentalnych zamachów, aż w końcu zarzuca ją sobie na ramię. Cole zabiera nożyczki. Javier ma swój straszak, a Amina ciężki, trzypunktowy dziurkacz. Miranda niesie telefon przymocowany taśmą do linijki.

Nie muszą odsuwać regału tak daleko jak za pierwszym razem, jednak teraz idzie jakoś ciężiej. To pewnie dlatego, że zdali sobie sprawę, co zamierzają zrobić, myśli

Miranda.

Kiedy przekraczają próg, dziewczyna obrzuca spojrzeniem pusty magazyn: rozrzucone ubrania, podłogę pokrytą plamami zakrzepłej krwi Javiera... To dość surrealistyczny widok. Jakby z ukrycia miała zaraz wyjść ekipa telewizyjna i wszystko to miało okazać się jedynie zwariowanym reality show.

Gdyby tylko tak było...

Miranda podchodzi do wyjścia ewakuacyjnego i przykłada ucho do drzwi. Cisza. Zamyka oczy, żeby łatwiej się skoncentrować.

Cichutkie brzęknięcie sprawia, że podskakuje przestraszona, choć dźwięk dochodzi z za jej pleców. To Amina otworzyła kasę. Odłożywszy na bok dziurkacz, bierze z najbliższego regału parę długich skarpet, wyjmując jedną skarpetę i garściami pakuje do niej monety. Miranda początkowo nie ma pojęcia, po co to robi, lecz gdy po chwili Amina podnosi napełnioną skarpetę nad głowę i wywija nią w powietrzu, zaczyna rozumieć. Natychmiast wyobraża sobie, jak przyjemnie byłoby walnąć czymś takim jednego z zamachowców, roztrzaskać mu szczękę, złamać nos albo rozkwasić policzek.

– Możesz dla mnie też przygotować coś takiego? – prosi szeptem Aminę i odwraca się z powrotem w stronę drzwi.

Przełączywszy aparat w komórce na tryb wideo, wstrzymuje oddech i otwiera skrzydło tylko na tyle, żeby precyzyjnie przez szparę telefon przymocowany taśmą do linijki. Porusza nią, ustawiając telefon pod różnymi kątami, w górę i w dół, aż w końcu cofa rękę i przekręca telefon tak, by sfilmować przeciwną stronę korytarza, po czym znowu wysuwa go na zewnątrz. Choć niczego nie słyszy, czuje ulgę, kiedy może z powrotem zamknąć drzwi.

Wszyscy tłoczą się wokół Mirandy, kiedy włącza odtwarzanie pozbawionego dźwięku filmu. Zapach i ciepło innych osób w dziwny sposób przynoszą jej ukojenie.

Ciało, które wcześniej widziała Amina, nadal leży tam, gdzie leżało, ale poza nim na nagraniu nie widać nikogo. Tylko pusty korytarz z porysowanymi ścianami w kolorze kości słoniowej, gdzieś przerywanymi jednolicie brązowymi plamami drzwi. Tak jak mówiła Amina, z prawej strony korytarz kończy się ślepa ścianą. Z lewej ciągnie się dalej, niż sięga kamera telefonu.

– Wygląda na to, że jest bezpiecznie – odzywa się Grace.

– Co będzie, jeśli przekonamy się, że to był błąd, i będziemy chcieli się wycofać? – Miranda powoli odrywa taśmę klejącą. – Te drzwi się zatrzasną i nie wejdziemy z powrotem.

– Ja mam klucz. – Amina poklepuje swoją kieszeń.

– A jeśli będziemy musieli się rozdzielić? – pyta Javier.

– Możemy wsunąć coś między futrynę i drzwi, wtedy się nie zatrzasną – mówi Miranda. – Na przykład gumę.

– Nie, będzie za miękka. – Cole przez cały czas bawił się leżącą przy kasie czapką, a teraz zdecydował się ją przymierzyć. – Może lepiej papier.

– Ale jeśli tak zrobimy, to ktoś będzie mógł tutaj wejść – zauważa Amina.

Grace wzrusza ramionami.

– Kto miałby próbować? Każdy, kto wchodzi od zaplecza, musi przecież wiedzieć, jak działają te drzwi. Na pewno nikt się nie spodziewa, że któreś będą otwarte.

W końcu Cole uchyla drzwi o centymetr, wystarczająco, żeby móc zapchać czymś dziurę, w którą normalnie trafia zapadka zamka. Wykorzystuje do tego celu złożoną na czworo metkę z czapki, którą ma na głowie. Potem wszyscy jedno za drugim wyslizgują się na korytarz. Cole idzie pierwszy, a Javier kuśtyka na końcu. Trzymają się blisko, ściskając w dłoniach swoją prowizoryczną broń.

Miranda czuje w ręku ciężar wypełnionej monetami skarpety. Myśli o grupie antyterrorystów. Widziała zdjęcia mężczyzn z zasłoniętymi twarzami, ustawionych w szeregu, dokładnie tak jak oni teraz. Co będzie, jeśli gdzieś w głębi korytarza została zastawiona następna bomba pułapka?

Jednak jedynym obiektem znajdującym się w polu widzenia jest martwe ciało kobiety. Leży na brzuchu, z wyciągniętym na bok kolaniem i uniesioną ręką, jakby przed śmiercią próbowała się czołgać. Bez dyskusji wszyscy zatrzymują się obok niej.

– To Linda – szepcze Amina. – Mój Boże, Linda! Dziś rano razem przyszłyśmy do pracy!

Linda ma rude włosy z szarymi odrostami. Leży z głową odwróconą na bok, a jej błękitne oczy są otwarte i nieruchome. Skóra zdążyła nabrać koloru wosku. W okolicy bioder zebrała się spora kałuża krwi.

Kiedy ostrożnie przechodzą obok niej, Miranda przełyka kłęb waty, który urósł jej w gardle.

Tuż przed miejscem, gdzie korytarz rozgałęzia się na prawo, Cole się zatrzymuje. Wolną ręką nerwowo szarpie brzeg swojego nowego nakrycia głowy.

Potem powoli, powoli wychyla się z za rogu, ściskając w ręku nożyczki. Po dłuższej chwili kiwa głową na znak, że droga wolna. Miranda wypuszcza z płuc powietrze, choć nie zdawała sobie sprawy, że wstrzymuje oddech. Wszyscy dołączają do Cole'a.

– Jeśli będziemy szli przed siebie, dojdziemy prosto do galerii – szepcze Amina i wskazuje w głąb nowego korytarza. – Jestem prawie pewna, że gdzieś tutaj znajduje

się wyjście na zewnątrz. Ale te korytarze to istny labirynt. Przez lata milion razy dobudowywano jakieś kawałki, które nie łączą się w żaden logiczny ciąg. Chyba chłopcy z ochrony są jedynymi osobami, które mniej więcej orientują się w tej gmatwaninie.

Nikt nie dyskutuje, którą drogę wybrać. Całą grupą skradają się wzdłuż nowego korytarza, ostrożnie wyglądając zza kolejnego rogu. Nagle przed ich oczyma pojawiają się solidne metalowe drzwi z czerwonym napisem WYJŚCIE. Od wolności dzieli ich zaledwie trzydzieści kroków.

I wtedy Miranda to dostrzega. Obydwa skrzydła ciasno spina solidny rowerowy łańcuch, uniemożliwiając ich otwarcie.

Droga na zewnątrz jest odcięta.

# Wszystko jest pod kontrolą

godzina 17.23

**J**uż czas – mówi Karl do mężczyzny siedzącego obok niego, kierowcy nierzucającego się w oczy białego samochodu dostawczego.

Mają na podsłuchu wszystkie policyjne kanały. Wygląda na to, że każdy gliniarz w promieniu dobrych stu kilometrów pospieszył do Portland, w odpowiedzi na wezwanie do zdarzenia, które zdaje się poważnym atakiem terrorystycznym.

Kierowca dociska pedał gazu, aż ich van podejźdza pod sam zderzak nieoznakowanego tira. Obaj z Karlem mają na sobie ciemne kombinezony z odblaskowymi kamizelkami. Nie licząc pół tuzina pomarańczowych pachołków drogowych, bagażnik ich samochodu jest pusty.

Karl dłonią w rękawiczce unosi breloczek i naciska guzik.

Szoferka jadącego przed nimi osiemnastokółowca od razu wypełnia się chmurą gazu pieprzowego. Efekt jest natychmiastowy i obezwładniający. Jakby prosto w klatkę piersiową kopał człowieka osioł. Każdy skrawek nieosłoniętej skóry pali teraz strażników żywym ogniem.

Choć kierowca ciężarówki odruchowo zaciska powieki, jakimś cudem udaje mu się zjechać na pobocze. Trzech mężczyzn po omacku wydostaje się na zewnątrz, kaszląc spazmatycznie. Z nosów cieknie im śluzowata wydzielina. Jeden ze strażników od razu zaczyna wymiotować. Drugi na oślep rzuca się przed siebie tak gwałtownie, że uderza w drzewo, a siła uderzenia zwała go z nóg. Trzeci przyciska do piersi obie ręce, jakby bał się, że zaraz eksploduje mu serce.

Zaparkowawszy tuż za tirem, kierowca samochodu dostawczego włącza światła awaryjne. Obaj z Karlem zakładają kominiarki i wyskakują z auta. Bez najmniejszego trudu odbierają strażnikom broń, krępują im ręce na plecach i każą maszerować w głąb lasu, który graniczy z tą odludną drogą. Strażnicy potykają się, ale idą przed siebie w obawie, że w razie nieposłuszeństwa zostaną zastrzeleni. Karl jednak nie ma zamiaru do nich strzelać, o ile nie będzie do tego zmuszony. Władze zawsze źle odnoszą się do faktu zaginięcia pieniędzy, lecz jeśli dodatkowo w grę wchodzi zabójstwo, śledztwo może trwać w nieskończoność.

Karl razem ze swoim towarzyszem rozstawiają dookoła aut pomarańczowe pachołki, żeby inni kierowcy odnieśli wrażenie, iż wszystko jest pod kontrolą. Bez pośpiechu otwierają bagażnik vana, następnie wyciągają kluczyki ze stacyjki w ciężarówce i otwierają naczepę, żeby po chwili rozpocząć przenoszenie pojemników ze złotem z większego pojazdu do mniejszego. Wyszukują także kilka lżejszych – oraz mniej wartościowych – pojemników ze srebrem i kończą dopiero wtedy, gdy w vanie zaczyna brakować miejsca.

Ruszają w drogę zaledwie kwadrans od momentu, gdy Karl nacisnął guzik uwalniający gaz pieprzowy. Bez konieczności oddania choćby jednego strzału. I z dwudziestoma dwoma milionami dolarów w niemożliwych do namierzenia bryłkach cennych kruszców.

# Wszyscy pójdziecie ze mną

godzina 17.39

**M**iranda spogląda na łańcuch rozciągnięty w poprzek metalowych drzwi i czuje, jak rozpacz podkopyuje jej determinację. Policja nie nadchodzi, a wszystkie drogi ucieczki zostały zamknięte. I chociaż nie było słychać żadnych strzałów, Parker zapewne nie żyje. Tak jak jego siostra.

– Nie, nie... – mamrocze Grace. Mija Cole’a, chwytając za łańcuch i szarpie.

Zamknięte drzwi – jedyna rzecz, która dzieli ich od wolności i poczucia bezpieczeństwa – znajdują się w połowie korytarza. Miranda spogląda w dal. Podobnie jak tam, skąd przyszli, tutaj korytarz też skręca pod ostrym kątem, więc nie widać, co znajduje się dalej niż trzydzieści metrów.

– Nie sądzę, żeby tędy udało nam się przejść – dobiega zza jej pleców szept Javiera. – Ten korytarz prowadzi prosto do miejsca, gdzie przetrzymywani są zakładnicy.

– Musimy wycofać się do rozwidlenia i spróbować pójść w inną stronę – odpowiada Miranda.

– Z powrotem do galerii? – Amina kręci głową. – Jeśli spróbujemy wymknąć się tamtymi drzwiami, oni z pewnością nas zobaczą.

– Ale gdzieś przecież musi być jakieś wyjście, które nie jest zamknięte. Musimy spróbować je znaleźć.

Miranda się nie poddaje. Nie może się poddać. Woli koncentrować się na ucieczce niż na dreszczach, które przeszywają jej ciało.

– Zaczekajcie – szepcze Cole.

Udało mu się rozprostować spinacz do papieru i teraz tryumfalnie wyciąga go przed siebie. Musiał wcześniej zabrać go z szuflady biurka.

– Być może uda mi się tym otworzyć zamek.

– Wiesz, jak otwiera się takie zamki? – dziwi się Javier.

– Owszem. Kiedy człowiek wychowuje się na wsi, szybko uczy się sam organizować sobie zabawę.

Cole wkłada między zęby koniec drucika i nagryza go lekko, a następnie wygina. Kiedy wyjmuje spinacz z ust, drucik wygięty jest pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Chłopak wyjmuje z kieszeni następny spinacz i szybko go rozprostowuje.

– Rozpierzchnijcie się i pilnujcie, czy ktoś nie nadchodzi.

Szybkimi ruchami wygina drugi drucik w kilku miejscach.

– To albo zadziała od razu, albo wcale.

Javier zatrzymuje się na skrzyżowaniu z korytarzem, z którego nadeszli. Amina, uzbrojona w skarpetę wypełnioną monetami, spogląda w głąb nowej odnogi. Miranda i Grace stają pomiędzy nimi, Miranda bliżej Aminy.

W odległości metra od Grace Cole przyklęka tuż przed zamkiem. Za pasek od spodni, ostrzem do góry, wsadza nożyczki. Zagryza wargi. Jego twarz skrywa daszek baseballówki, więc Miranda nie potrafi stwierdzić, czy Cole niepokoi się, że sposób ze spinaczem może zawieść, czy jest skoncentrowany na wykonaniu zadania.

Lewą dłonią ciasno obejmuje zamek, palcem wskazującym wpychając do środka wyprostowany spinacz, celuje mniej więcej w miejsce na godzinie czwartej. Jednocześnie prawą ręką stara się wyrwać z zamka spinający drzwi łańcuch. Przechyla głowę, jakby nasłuchiwał, czy bębniarki wewnątrz mechanizmu trafiają we właściwe miejsce.

Czyjeś sapnięcie sprawia, że Miranda odwraca wzrok.

To Amina. Miranda nie wie, co Amina widzi, ale słyszy czyjeś kroki.

Oczy Aminy rozszerzają się i pojawia się w nich blask, jakby właśnie doświadczyła cudu.

– *Mashallah!* Ron! Ron, błagam, pomóż nam się stąd wydostać!

Miranda słyszy, jak za jej plecami Cole podnosi się z klęczek, a chwilę później dobiega do niej dźwięk, jakby rzucił się do ucieczki. Ale dlaczego?

Przed nimi stoi jeden z ochroniarzy. Z ochrony centrum handlowego, nie sklepów, bo tamci chodzą zwykle w nieoznakowanym ubraniu. Miranda przypomina sobie, że widywała go już wcześniej. Ma obcięte na jeża włosy w kolorze blond, nosi jasnoniebieską koszulę oraz czarne spodnie z czarnym skórzanym pasem.

– No cześć, Amina.

Prawą rękę trzyma za plecami, wygiętą pod nienaturalnym kątem. Na jego ustach zastygł wymuszony uśmiech. Nagle wyciąga przed siebie lewą dłoń i rusza w kierunku Aminy. Przez głowę Mirandy przemyka absurdalna myśl, że zamierza ją uścisnąć.

Jednak zamiast tego on zamyka szyję Aminy w uścisku. To zmusza Aminę, żeby



się odwróciła i jednocześnie stanęła na palcach. Napełniona monetami skarpetka ląduje z brzękiem na podłodze. Wtedy ochroniarz wyciąga zza pleców ukrytą dotąd rękę i trzymaną w niej rzecz kieruje w stronę pozostałych. To długa broń. Czarny karabin z zakrzywionym magazynkiem.

Wygląda tak samo jak karabiny, które mają zamachowcy.

Otumaniony umysł Mirandy próbuje wyciągnąć jakiś logiczny wniosek. Czy udało mu się odebrać broń jednemu z terrorystów? Ochroniarze z galerii jej przecież nie noszą. Każdy z nich to niedoszły policjant, ale najgroźniejsza rzecz, jaką mają przy sobie, to gaz pieprzowy. Gaz pieprzowy, kajdanki, plastikowe rękawiczki i walkietalkie. Na pewno nie automatyczny karabin, przeznaczony do zabicia jak największej liczby ludzi w możliwie najkrótszym czasie.

Wszystko trwa zaledwie sekundę.

– Hej, wy – odzywa się mężczyzna. – Wszyscy pójdziecie ze mną albo ona umrze.

Choć trzyma karabin tylko w jednym ręku, wydaje się oczywiste, że potrafi się nim sprawnie posługiwać.

Miranda słyszy za plecami tupot czyichś nóg.

Zamiera, ściskając w dłoni napełnioną monetami skarpetkę. Nie może tak po prostu zostawić Aminy. A jeśli on faktycznie ją zastrzeli? Czy istnieje jakiś sposób, żeby go zaatakować, ocalić Aminę i jednocześnie samej nie zginąć?

Ponad zaciśniętym męskim przedramieniem widzi pełne paniki oczy Aminy, które napotyka jej wzrok. Amina wbija paznokcie w umięśnione ramię ochroniarza, który trzyma ją w żelaznym uścisku, ale nie znajduje punktu oparcia.

Ochroniarz odwraca karabin w stronę Mirandy.

Wtedy Miranda spuszcza wzrok. Płacząc, odwraca się na pięcie i pędem rusza przed siebie, podczas gdy Amina ochryple woła jej imię.

Miranda nie zwalnia biegu. I czeka na strzał w plecy.

# To ostatnia rzecz, której będą się spodziewać

godzina 17.43

**M**iranda wpada za zakręt, zostawiwszy Aminę na pastwę losu. Po jej policzkach płyną palące łzy. Czy ten ochroniarz – najwyraźniej jeden z terrorystów – zastrzeli teraz jej koleżankę?

Skarpeta z monetami obija się o jej łydkę przy każdym kroku, wystarczająco mocno, by zostawić na skórze mnóstwo siniaków. Serce wali jej jak młotem, tak głośno, że dopiero po dobrej sekundzie Miranda orientuje się, że jedyne kroki, jakie słyszy, dobiegają z przodu, nie z tyłu.

Tuż przed nią, okropnie kulejąc, podąża Javier. Może iść, ale nie może biec. Na zranionej nodze może stawiać jedynie małe kroki. Grace i Cole zdążyli się ulotnić. Pewnie są za następnym zakrętem albo może zdążyli już wrócić na zaplecze sklepu Culpeppersów.

Każdy troszczy się tylko o siebie, zupełnie tak, jak mówił jej tata. Czy naprawdę? Miranda zrównuje krok z Javierem, podnosi jego rękę i przerzuca sobie przez ramię. Chłopak odwraca ku niej głowę, a jeden z kącików jego ust wędruje w górę. Kiedy ona dźwiga połowę ciężaru jego ciała, on może iść nieco szybciej.

W końcu docierają do zakrętu i do ciała Lindy. Miranda chce obejść zwłoki z jednej strony, Javier z drugiej i w pewnym momencie Miranda traci równowagę, a jej stopa ląduje w kałuży krwi. Ani na chwilę nie przerywają marszu, choć Miranda czuje, że jej but nieprzyjemnie lepi się do podłogi. Spogląda w dół i widzi, że zostawia za sobą ścieżkę krwawych śladów. Na ten widok jej żołądek się zaciska. Nawet jeśli uda im się dotrzeć do sklepu Culpeppersów, tamten ochroniarz bez trudu zorientuje się, gdzie się ukryła. Gdzie wszyscy się ukryli.

– Zaczekaj! – szepcze do Javiera i zdejmuje buty, tym razem uważając, by nie zabrudzić krwią skarpet.

Na każdych drzwiach widnieje nakreślony ołówkiem napis, do którego sklepu prowadzą, lecz ogarnięta paniką Miranda o mały włos nie mija wejścia do sklepu

Culpeppersów.

Przekręca klamkę, ale drzwi nie ustępują.

Och, nie! Cole albo Grace musieli wyciągnąć kulkę z papieru, która blokowała zatrzask!

Javier delikatnie puka kostką palca wskazującego. Czy usłyszą pukanie? A jeśli tak, to czy zaryzykują otworzenie drzwi?

Po chwili drzwi uchylają się o kilka centymetrów, a w szparze ukazuje się szare oko Cole'a. Sekundę później drzwi otwierają się szerzej. Cole wychyla się, chwytając Javiera i wciąga go do środka. Miranda wpada za nimi jak strzała, Grace zaś natychmiast zamyka drzwi.

Miranda, upuszcza na podłogę skarpetę z monetami i zakrywa obiema dłońmi mokrą od łez twarz. Jej ramiona unoszą się, kiedy płacze cichutko. Nie może wypędzić z głowy widoku mordercy, który brutalnie chwytając Aminę. Jej paznokci wbitych w jego ramię. Jej oczu wpatrujących się w oczy Mirandy. I tego, jak ona odwraca się i ucieka. Jak wszyscy uciekają.

W końcu strumień łez słabnie. Miranda wyciera nos rękawem.

Javier opiera się o ścianę, drżąc na całym ciele, jego usta są zaciśnięte i wykrzywione. Wciąż ściska w dłoniach swój bezużyteczny pistolet. Grace trzęsie się tak mocno, że sprawia wrażenie, jakby za chwilę miała rozpaść się na kawałki. Cole przemierza długimi krokami przestrzeń między jednym regałem a drugim. Tam i z powrotem. Tam i z powrotem.

Parker najprawdopodobniej nie żyje. Amina została schwytana. Jak to wszystko się skończy? Czy wyłapią ich tu, jedno po drugim? Co jest gorsze, zastanawia się Miranda, umrzeć na samym początku czy być wpierw zmuszonym do patrzenia śmierci prosto w oczy?

W końcu decyduje się przerwać milczenie.

– Zostawiliście nas – mówi z wyrzutem. – Zostawiliście nas samym sobie.

Cole przesuwając dłoń po twarzy.

– Przepraszam. Jedyne, o czym wtedy myślałem, to żeby uciec stamtąd jak najprędzej.

– Zostawiliśmy tam Aminę – głos Grace się załamuje.

– On na pewno ją zabije – szepcze Javier. – Zresztą może już to zrobił.

Miranda nie może tego znieść. Każda zmiana okazuje się zmianą na gorsze.

– Nie słyszeliśmy przecież żadnych strzałów. Według mnie oni musieli udawać, że zabijają zakładników, żeby zmusić gliniarzy do wejścia prosto w zasadzkę. Dlatego

nie sędzę, żeby ten facet zastrzelił Aminę. Raczej zabrał ją w miejsce, gdzie przetrzymują pozostałych – stwierdza autorytatywnie Cole.

Miranda wciąż stara się rozwikłać zagadkę.

– Ten chłopak... przecież on naprawdę jest ochroniarzem. Z ochrony centrum handlowego, nie jednego ze sklepów.

Dziesiątki razy przechodziła obok niego, zawsze z dotkliwą świadomością tego, jakie skradzione przedmioty właśnie ma przy sobie. I przy wszystkich okazjach on także spoglądał na nią, choć w jego wzroku nigdy nie pojawił się nawet cień podejrzenia. Ale dzisiaj, kiedy ponad głową Aminy napotkał spojrzeniem wzrok Mirandy, jego oczy były... martwe.

Javier przytakuje.

– Tak, ja też znam tego gościa. Nazywa się Skinner. Ron Skinner. Niezbyt mnie lubi. Zresztą nie lubi nikogo, kto ma ciemną skórę.

W ciszy przetrawiają tę informację i co to może oznaczać dla ciemnoskórej Aminy.

– On musi być jednym z nich – szepcze w końcu Grace. – Jednym z zamachowców. Zapewne zna ten budynek lepiej niż ktokolwiek inny. Zapewne ma w ręku klucze do wszystkich drzwi.

W milczeniu spoglądają na drzwi, a potem patrzą po sobie.

Cole zamyka oczy i przez chwilę szczypie się w czubek nosa, a następnie je otwiera.

– No i co teraz? Czy powinniśmy znowu spróbować przekraść się do galerii i poszukać innego wyjścia? Czy może zostać tu, gdzie jesteśmy?

– Ale co z Aminą? – protestuje Miranda.

Wciąż oczyma duszy widzi scenę, gdy Amina spogląda na nią przerażonym wzrokiem, a ona po prostu odwraca się i ucieka.

– Masz rację. – Cole wskazuje na nią palcem i kiwa głową. – Ten gość ją znał. Bez trudu dowiedzą się, gdzie jesteśmy. Musimy się stąd ruszyć.

– Wcale nie to miałam na myśli.

Co prawda Miranda nie może zmienić faktu, że uciekła z podkulonym ogonem, ale może spróbować coś zrobić. Być może jeszcze nie jest za późno.

– Amina uratowała nam wszystkim życie, wpuszczając nas do swojego sklepu. Nawet poczęstowała nas swoim jedzeniem. Nie możemy jej tak po prostu zostawić.

– Miranda ma rację. – Grace prostuje wątle ramiona. – Musimy jakoś jej pomóc.

Javier kiwa głową.

– Zgadzam się.

– A niby jak chcecie tego dokonać? – Cole macha ręką w kierunku wyjścia ze sklepu. – Jakbyście zapomnieli, to niedawno paru gliniarzy wyleciało w powietrze, kiedy starali się dostać do środka. Ci terroryści mają broń i inne rzeczy, a my nie mamy nic poza skarpetą z monetami i parą nożyczek.

– Przypomnij sobie, co niedawno mówiłeś Aminie. – Grace wyciąga w jego stronę palec wskazujący. Kilka minut wcześniej szlochała w jego objęciach, a teraz ma taką minę, jakby chciała go uderzyć. – Oni nie mogą ryzykować strzelania do nas, bo wtedy policja siłą wejdzie do środka.

– Czy naprawdę chcesz ryzykować życie, opierając się wyłącznie na moich przypuszczeniach? – Cole potrząsa głową z niedowierzaniem.

– W przeciwieństwie do policji my nie musimy wdzierać się do środka – wyjaśnia Miranda. – Już tutaj jesteśmy. Skoro uciekliśmy przed facetem, który złapał Aminę, to pewnie tamci sądzą, że nadal będziemy uciekać. A powrót na miejsce, gdzie ją złapał? To ostatnia rzecz, której będą się spodziewać.

– Właśnie – Javier uśmiecha się i unosi pistolet. – Nie muszą przecież wiedzieć, że moja broń to tylko straszak.

– Tyle że dowiedzą się tego zaraz po tym, jak zaczną strzelać, a ty nie będziesz mógł odpowiedzieć im w ten sam sposób – zauważa Cole. – Nawiasem mówiąc, co takiego możemy zrobić, czego nie udało się zrobić gliniarzom?

– W zasadzie gliny teraz nie robią nic – mówi Miranda. – To oznacza, że wszystko zależy wyłącznie od nas.

Rozmowa na temat policji sprawia, że Miranda nagle sięga do kieszeni po telefon.

– Co robisz? – pyta Cole, gdy Miranda zaczyna pisać esemesa.

– Chcę powiedzieć tacie o tym gościu z ochrony. Jeśli gliniarze będą chcieli tutaj wrócić, muszą wiedzieć, że przynajmniej jeden z ochroniarzy jest w zмовie z bandytami.

godzina 17.43

**Bruce McGill, oficer wywiadu Departamentu Policji w Portland, Zespół Reagowania Kryzysowego:** Oglądałeś ten ich niby-manifest?

**Casey Hixon, negocjator ds. zakładników, Zespół Reagowania Kryzysowego:** Oglądałem. Cała masa popłuczyn po innych prawicowych grupach ekstremistów. Posse Comitatus. Ruch Obywateli Świata. Timothy McVeigh. Jedyna rzecz, w którą wierzą bez zastrzeżeń, to to, że władza ich okłamuje.

**McGill:** Uważają, że uda im się wzniecić światową rewoltę za pomocą tego steku bzdur?

**Hixon:** Sprawdź, może uda ci się namówić którąś z lokalnych stacji, żeby puściła to na antenie. Mielibyśmy w ręku niezłą kartę przetargową.

**McGill:** Co takiego? Nie mogę tego zrobić. Na pewno tego nie zrobię.

**Hixon:** Tam są dzieci. Ja osobiście przeczytałbym na żywo na antenie nawet Mein Kampf, i to od deski do deski, jeśli dzięki temu tamci zgodziliby się wypuścić jedno dziecko. Tylko jedno.

**McGill:** Okay, okay, zobaczę, co da się zrobić. Właśnie się dowiedziałem, że jeśli tym, który donosił nam o sytuacji w środku, naprawdę jest niejaki Ron Skinner, to w zeszłym roku był on pod obserwacją FBI z powodu podejrzeń o związki z grupą skrajnie prawicowych ekstremistów.

**Hixon:** Do diabła, więc jak to się stało, że gość pracuje w ochronie obiektu?

**McGill:** Było śledztwo, ale nie wniesiono przeciw niemu oskarżenia. Poza tym chodziło o stanowisko bez dostępu do broni, w centrum handlowym, które płaci dolara ponad wymaganą pensję minimalną. W związku z tym nie mogą być zbyt wybredni przy wyborze pracowników. No i pewnie spodobało się, że facet z wykształcenia jest weterynarzem. Cztery lata temu z honorami zakończył służbę wojskową. Poza tym Skinner nie figuruje w żadnych kartotekach kryminalnych. Trzydzieści lat temu został zatrzymany za jazdę pod wpływem alkoholu. Nie ma rodziny i mieszka mniej więcej pięć kilometrów od centrum handlowego. Właśnie dostaliśmy nakaz rewizji.

**Hixon:** Biorąc pod uwagę jego przeszłość, Skinner musi być kimś więcej niż zwykłym ochroniarzem z centrum handlowego. Musi być częścią tego, co się dzieje. Wygląda na to, że dokładnie wie, co robi. Udało mu się przynaglić nas do działania sugestią, że zakładnicy są zabijani. I to właśnie on powiedział policji z Portland, żeby spróbowali wejść przez Nordstrom. Wprowadził ich

prosto w pułapkę.

**McGill:** Pytanie brzmi, czy rzeczywiście któryś z zakładników został zabity? Żaden z policjantów na miejscu zdarzenia nie zgłaszał, że od czasu przybycia słyszał jakieś strzały.

**Hixon:** Skinner wie za dużo o naszych metodach działania. To może być twardy orzech do zgryzienia. Nawet nie wiemy, ilu uzbrojonych napastników naprawdę jest w środku.

**McGill:** Nasz snajper melduje, że zajął pozycję, ale nie może niczego zobaczyć przez kordon zakładników, których tamci ustawili wzdłuż przeszklonych drzwi. A my wciąż czekamy na plan działania.

**Hixon:** Nasz najlepszy plan to zwlekać i podejmować próby negocjacji. Jeśli spróbujemy wtargnąć tam siłą, możemy stracić następnych ludzi na kolejnej bombie. Poza tym nie chcę związywać rąk tamtym facetom. Już i tak zaczęli przyzwyczajać się do myśli, że są zabójcami. Jeśli sprawimy, że wpadną w panikę, mogą zginąć następni cywile.

**McGill:** Zgadzam się.

# Wszystkich nas nie zastrzelą

godzina 17.43

**K**olejny kopniak sprawia, że głowa Parkera znowu uderza o białe płytki podłogi, wysmarowane teraz jego krwią, a oczy wypełniają się łzami bólu.

– Parker! – zawodzi Moxie.

Stanford trzyma ją mocno za ramiona. To najlepsze, co może zrobić, żeby powstrzymać dziecko przed wyrwaniem się z jej uścisku.

Szpilka obiema rękoma odpycha Biznesmena – gościa, który przed chwilą kopnął Parkera w podbródek – trafiając go prosto w klatkę piersiową. Facet chwieje się, podczas gdy ona z łatwością zachowuje równowagę, pomimo niebotycznie wysokich obcasów. Jej czarna grzywka jest przycięta w idealnie równą linię tuż nad jej oczyma.

– Przestańcie – syczy wściekle, przesuwając spojrzenie po ludziach zgromadzonych dookoła Parkera. – Nie możemy z nimi współdziałać, nie rozumiecie tego? Nie jesteśmy stadem owiec.

Jej oczy mają niebieskawy kolor gazowego płomienia.

– Czyżbyście nie wiedzieli, jaki los spotyka owce? Wszystkie idą na rzeź.

– Parker! – krzyczy znowu Moxie. Jej buzia jest czerwona i mokra od łez.

Tuzin osób stłoczonych dookoła Parkera przenosi spojrzenia ze Szpilki na dziewczynkę, a potem z powrotem na Parkera.

Ich miny raczej nie świadczą o przyjaznych uczuciach.

Czyżby sprawy zaszły już tak daleko, że nie da się ich zatrzymać? – myśli Parker. Wie tylko tyle, że nie chce umierać na tej podłodze, zwinięty z bólu jak krewetka. Przetacza się na kolana i powoli zaczyna podnosić się na nogi. Trzęsie się z przerażenia, widząc, jak w jego kierunku wyciąga się ręka Rzepa, ale starszy mężczyzna nie ma zamiaru uderzyć. Zamiast tego chwyta go za nadgarstek i pomaga mu wstać.

Parker wypluwa krew i przybiera pozycję do walki. Przynajmniej nie ma związanych rąk, jak pozostali. Jeśli tylko uda mu się utrzymać na nogach, być może zdoła przeżyć.



Jednak w tej chwili nikt na niego nie patrzy. Parker podąża wzrokiem za spojrzeniami pozostałych.

W wejściu do Eternity Day Spa stoi ochroniarz. Parker mruga z niedowierzaniem.

Ochroniarz z ochrony galerii. Czy zjawił się, żeby ich ocalić?

Tylko dlaczego w prawym ręku trzyma automatyczny karabin? Lewą rękę zaciska na ramieniu dziewczyny w wieku zbliżonym do Parkera. Turkusowy szal zasłaniający jej włosy sugeruje, że dziewczyna jest muzułmanką. Z jej nosa powoli sączą się strużki krwi. Twarz dziewczyny nie wyraża żadnych emocji, ale wielkie ciemne oczy zdradzają przerażenie.

Z tego wynika, że obecność ochroniarza nie jest dla nich żadnym wybawieniem.

Parker próbuje posklejać elementy układanki. Czyżby ta muzułmańska dziewczyna przez cały czas ukrywała się w spa? Skąd wziął się tam ten strażnik? Jeśli jest jednym z bandytów, czy to oznacza, że wszyscy ochroniarze są w to zamieszani?

– Ron! – wrzeszczy Wilk z drugiej strony bramki. – Gdzie ją dorwałeś?

Ron ciągnie dziewczynę w jego kierunku. Laska sunie tuż za nimi.

– W korytarzu służbowym natknąłem się na grupkę dzieciaków. Próbowali wydostać się na zewnątrz przez wyjście ewakuacyjne. Kiedy złapałem tę dziewczynę, pozostała czwórka po prostu zwała.

Pozostała czwórka? Czy to możliwe, że jedną z nich jest Miranda? Powiedziała przecież Parkerowi, że ukrywa się z czterema innymi osobami.

– Tu jest Ameryka! – ryczy Laska i szarpnięciem zrywa szal z głowy dziewczyny.

Dziewczyna natychmiast chwyta się rękoma za głowę, szeroko rozpościerając palce, próbuje ukryć włosy w taki sam sposób, jak ktoś wychodzący spod prysznic, komu nagle wyrwano ręcznik, próbowałyby zakryć nagie ciało.

Szpilka szeptem zwraca się do grupy otaczającej Parkera:

– Słuchajcie, musimy wymyślić jakiś plan, dopóki tamci zajmują się czymś innym. Musimy spróbować odwrócić sytuację.

Szpilka stoi plecami do bramki bezpieczeństwa. Parker ustawia się na ukos od niej, żeby widzieć zarówno ją, jak i zabójców.

– Co wymyślić? – pyta sprzedawczyni z Van Duyn. Przeciąga słowa, jakby nie do końca zgadzała się z przedmówczynią.

– Mamy szansę, jeżeli będziemy działać razem – przekonuje Szpilka. – Wszystkich nas nie zastrzelą.

– Owszem, zastrzelą – wtrąca Biznesmen, potrząsając głową. – To karabinki

półautomatyczne. Mogą rozwalić nas wszystkich w dwadzieścia sekund.

Przy bramce Laska zwija szal w kłębek i rzuca w stronę Rona. Ochroniarz pozwala, żeby szal sfrunął na podłogę, a następnie kopie go niczym piłkę. Szal upada niedaleko, ale już po drugiej stronie kraty, poza zasięgiem rąk Aminy.

Zamiast płakać albo błagać o zwrot, dziewczyna opuszcza ręce i podnosi wysoko głowę. Jednak łzy wciąż lśnią jak srebro na jej oliwkowej skórze.

Wilk zwraca się do Rona.

– Znalazłeś Novembera?

– Nie. – Ron wzrusza ramionami. – Zaczynam myśleć, że podkulił ogon i zwyczajnie zwiął.

– Nie, stary, nie ma takiej opcji – odzywa się Myszka. – On siedział w tym tak samo jak my. Nawet oddał pierwszy strzał.

Ron kręci głową.

– No i co z tego? My wszyscy wiemy, jak wygląda prawdziwa walka. A on, jak większość cywili, jest mocny w gębie. Ale kiedy zaczęła się robota, okazał się tchórzliwą piczką.

– Stul pysk! – głos Wilka jest jak smagnięcie biczem. – Nasz brat nie jest tchórzem.

„Nasz brat”? Parker przenosi spojrzenie z Laski na Myszkę, a następnie na Wilka. Laska jest niewysoki i kościsty. Ale pomiędzy Myszką a Wilkiem Parker bez trudu dostrzega podobieństwo, chociaż ich twarze skrywają kominiarki. Obaj są wysocy i smukli, o bladych oczach. Tak więc ten brakujący mężczyzna – November – musi być ich bratem.

Moxie wciąż zanosi się płaczem. Stanford w końcu ją puszcza i Moxie jak strzała pędzi do Parkera. Przyciska do jego brzucha swoją mokrą, gorącą buzię. Parker ma nadzieję, że starczy mu sił, żeby ją odepchnąć, gdyby ludzie znowu go zaatakowali.

– Serio wydaje się wam, że oni pozwolą nam stąd odejść? – szepcze Szpilka do zgromadzonej wokół niej grupy. – Jeśli ktokolwiek ośmieli się pospieszyć nam z pomocą, po prostu go zabiją, tak jak tamtych biednych gliniarzy. Ale ich jest tylko czterech, a nas ze dwa tuziny.

– Mamy związane ręce – zauważa mężczyzna w marynarce. – Poza tym mogą być jeszcze jacyś, o których nie wiemy. Jak ten ochroniarz, który pojawił się nie wiadomo skąd.

Przy bramce nadal toczy się rozmowa.

– Ostatni raz widziałem Novembera na piętrze – mówi Buźka.

– Może ktoś go zaskoczył – zastanawia się Myszka. – Moim zdaniem powinniśmy go poszukać.

– Już sprawdziłem kamery i nigdzie go nie ma – wtrąca Ron. – Ani na górze, ani na dole. Nie ma go także w korytarzach służbowych. Moim zdaniem dał nogę.

Rozlega się urywek jakiejś melodii i Ron wolną ręką sięga do kieszeni po telefon.

– Sądząc z identyfikatora dzwoniącego, gliny już wiedzą, kim naprawdę jestem – mówi, spoglądając na wyświetlacz.

– Odbierz – poleca Wilk. – Wiesz, co masz mówić.

Ron przesuwa palcem po ekranie i przykłada telefon do ucha.

– Tak?

Zniża głos i odsuwa się kilka kroków dalej.

Głaszcząc ramionka Moxie, Parker przenosi wzrok ze Szpilki na zamachowców.

Słyszy jej wściekły syk.

– Związane ręce żadnemu z was nie przeszkodziły w znęcaniu się nad tym dzieciakiem. Musimy oddzielić od reszty jednego z nich. – Kobieta bierze głęboki wdech. – I wtedy musimy przejąć jego broń.

Tunel pierwszy kiwa głową na znak, że się z nią zgadza.

– Ona ma rację.

Spora część grupy idzie za jego przykładem, ale widać wyraźnie, że część osób, w tym Dred, zachowuje powściągliwość.

Szpilka rozgląda się po obecnych.

– Czy ktoś z was ma zapalniczkę?

Parker ledwo porusza ustami.

– Ja mam – mówi.

godzina 17.48

**Hixon:** Tu sierżant Hixon z Centrum Reagowania Kryzysowego Departamentu Policji w Portland. Czy rozmawiam z Ronem Skinnerem? Jak chciałby pan, żebym się do pana zwracał?

**Skinner:** Nijak. Bo ja nie mam ochoty na rozmowę.

**Hixon:** Panie Skinner, ja tylko chcę pogadać. Jestem tu po to, żeby pana wysłuchać i postarać się o zapewnienie wszystkim bezpieczeństwa.

**Skinner:** Mamy więcej bomb ukrytych w całym budynku. Chcecie, żeby zginęli kolejni gliniarze? W takim razie każcie im wejść do środka. Przygotowaliśmy całe mnóstwo bomb pułapek.

**Hixon:** Oni chcieli jedynie zapobiec rozlewowi krwi. Nie mieli zamiaru nikogo atakować. Powiedział pan dyspozytorowi, że zakładnicy, których przetrzymujecie, są zabijani.

**Skinner:** Sun Tzu powiedział, że każda wojna polega na sztuce oszukiwania. I żeby nie było nieporozumień, to właśnie jest wojna. Ameryka zwróciła się przeciwko własnym obywatelom. Właśnie dlatego musimy odzyskać naszą ojczyznę. Uważacie, że to centrum handlowe przypadkiem stało się celem ataku? Na Bliskim Wschodzie wysadza się w powietrze meczety. To centrum handlowe jest kościołem Ameryki. Tutaj Amerykanie przychodzą się modlić. A teraz tutaj skierowane są oczy całego świata.

**Hixon:** Z uwagą słucham tego, co ma pan do powiedzenia. Przede wszystkim chciałbym bardzo podziękować, że w czasie, gdy staramy się porozumieć, zapewniliście bezpieczeństwo wszystkim osobom w budynku. Jeśli uda nam się zakończyć wszystko tak, żeby nikomu już nie stała się krzywda, będzie to miało duże znaczenie. Przekonajmy się, czy uda nam się załatwić sprawę pokojowo, abyśmy wszyscy wyszli z tego cali i bezpieczni, okay?

**Skinner:** Niczego nie rozumiesz, prawda? Nic na tym świecie nie jest już bezpieczne!

**Hixon:** Czy dobrze się pan czuje? Czy jest pan ranny? Czy ktoś potrzebuje pomocy medycznej?

**Skinner:** Powinniście się raczej martwić o ludzi, których przetrzymujemy. Albo spełnicie nasze żądania, albo kolejni zakładnicy będą musieli umrzeć.

**Hixon:** Doceniam to, że tak dosadnie przedstawia mi pan swoje stanowisko. I chciałbym pana zapewnić, że chociaż na samym początku parę osób zostało

zastrzelonych, my w pełni rozumiemy, że kiedy zapanuje panika, mogą się zdarzyć różne nieprzewidziane sytuacje. Decyzje podejmowane w ułamku sekundy, na gorąco... Mam rację? Ale wykonaliście kawał znakomitej roboty, studząc emocje, i zdaje się, że od tamtej pory nikt nie zginął, prawda?

**Skinner:** Mniej więcej.

**Hixon:** A zatem, panie Skinner, jak to rozwiążemy? Mam na myśli to, w jaki sposób możemy uratować dzieci, kobiety i...

**Skinner:** Otrzymaliście nasz manifest. Doskonale wiecie, czego chcemy.

**Hixon:** Jestem przekonany, że ktoś nad tym pracuje, choć nie zostałem wprowadzony w szczegóły. Ja jestem tutaj z jednego tylko powodu – żeby osiągnąć pokojowe porozumienie. Jednak nie zamierzam pana okłamywać. Zdobycie samolotu może być nieco skomplikowane. To znaczy, z pewnością nam się to uda, jednak może to trochę potrwać.

**Skinner:** W ciągu godziny macie podstawić autobus albo ktoś zginie. Przypuszczalnie całe mnóstwo ktosiów.

**Hixon:** Postaram się załatwić panu ten autobus, ale i pan musi coś dla mnie zrobić, okay? Żeby pokazać, że obaj działamy w dobrej wierze. Pewnie macie tam jakieś płaczące dzieciaki albo kogoś, kto został ranny... Byłoby nieporozumieniem wsadzanie takich osób do autobusu, a potem zmuszanie do wejścia na pokład samolotu. Dlaczego więc nie przekażecie nam tych, którzy sprawiają wam problemy?

**Skinner:** Skąd wiecie, że w środku są ranni? Śledzicie nas? W takim razie zaraz kogoś zastrzelę, żebyście mogli zobaczyć, jak umiera!

**Hixon:** Nie, skądże! To tylko nasza hipoteza... Nikt was nie szpieguje.

**Skinner:** Powiedz wszystkim, że mają zostawić nas w spokoju, chyba że chcą śmierci kolejnych osób. Jeśli przekonamy się, że ktoś nas śledzi, krew ofiar będzie na waszych rękach!

# Walczyć do końca

godzina 17.50

**A** zatem jakie są wasze propozycje? – pyta Cole. – Raczej nie możemy wrócić do tego korytarza, gdzie porwano Aminę. Jeśli tamci są od południowej strony, nie będziemy mieli się gdzie ukryć.

– Możemy pójść inną drogą – zauważa Grace. – Amina mówiła, że tędy dojdziemy prosto do galerii.

– I wtedy oni nas zobaczą. – Cole krzyżuje ramiona na piersiach.

– Ten korytarz nie kończy się na głównym holu – wtrąca Javier. – Najpierw przecinają go boczne korytarze, między salonem Claire a Pottery Barn. Na skrzyżowaniu tamtych korytarzy z głównym holem znajdują się dwa stoiska. Moglibyśmy się tam ukryć.

Miranda przebiega wzrokiem ostatnią wymianę esemesów z Parkerem.

– Mój przyjaciel Parker napisał, że co najmniej dwóch napastników stoi na zewnątrz tego metalowego płotu czy bramki, cokolwiek to jest – mówi. – Tylko jeden został w środku.

– Jeśli uda nam się ściągnąć jakoś ich uwagę, może któryś pójdzie za róg korytarza, żeby zobaczyć, o co chodzi. – Grace podnosi zaciśniętą pięść i nagle chwyta ją drugą ręką. – Wtedy moglibyśmy wciągnąć go w zasadzkę, przystawić mu do głowy pistolet Javiera i wykorzystać go jako kartę przetargową, żeby zmusić ich do uwolnienia Aminy.

– Przytrzymać mu przy głowie pistolet Javiera na tyle długo, żeby zabrać mu prawdziwą broń – dodaje Miranda. Myśli o Parkerze i jego siostrzyczce. – A potem nakazać im, żeby uwolnili wszystkich.

– Nawet nie mamy pewności, czy tamten doprowadził Aminę do pozostałych zakładników – mówi Cole. – Poza tym, w jaki sposób chcecie go powstrzymać przed odpaleniem kamizelki z ładunkami wybuchowymi, która zabije nas wszystkich?

– Czy możesz z łaski swojej przestać szukać dziury w całym? – złości się Grace donośnym szeptem. – Jaki jest sens zamartwiać się, że coś pójdzie źle? Wszystko, co

miało się nie udać, już się nie udało. Prawda jest taka, że pewnie i tak wszyscy zginiemy. Gliniarze raczej nie będą chętni, żeby wchodzić tu po raz drugi, nie po wybuchu tamtej bomby. Kto wie, w ilu miejscach zastawione są pułapki?

Miranda bierze głęboki wdech.

– Moim zdaniem, jeśli i tak mamy umrzeć, to równie dobrze możemy walczyć do końca.

– Masz rację – popiera ją Javier.

Cole spogląda na Grace, a kiedy ona kiwa głową, on także się zgadza.

– Jeśli chodzi o kamizelkę z ładunkami wybuchowymi, to najpierw musimy faceta chwycić za rękę – ciągnie Miranda. – Zanim będzie miał możliwość wciśnięcia guzika, pociągnięcia za sznurek czy zrobienia tego, co się robi, żeby to zdetonować. – Wskazuje na stos ubrań. – Możemy użyć kilku szali, żeby związać mu rękę albo go zakneblować.

– W takim razie najpierw musimy to przećwiczyć – decyduje Cole.

Odbiera Grace szczotkę i wyciąga rękę, jakby trzymał w niej broń. W magiczny sposób w jego dłoniach drewniany kij od szczotki zamienia się w karabin automatyczny.

– Każdy musi dokładnie wiedzieć, co ma robić. Jeśli będziemy musieli się zatrzymać, żeby coś przemyśleć, na wszystko będzie za późno.

Wkłada „karabin” w rękę Mirandy.

– Okay, pokażę ci, co mam zamiar zrobić. – Dostrzega wzrok Mirandy i dodaje uspokajająco: – Nie bój się, nie zrobię ci krzywdy. Skieruj broń w moją stronę – mówi, kiedy Miranda kiwa głową.

Dziewczyna posłusznie przesuwa koniec kija w jego kierunku, choć drewno ślizga się w jej drżących jak osika palcach.

Cole wysoko unosi obie ręce, a jego mina świadczy o tym, że się boi i że się poddaje. Jednak jego ręce nie są zupełnie rozluźnione. Miranda widzi, jak chłopak zwija palce i nagle lewą ręką popycha „lufę” w kierunku podłogi. Prawą dłonią na niby uderza Mirandę z całej siły w twarz. Jego ruchy są tak szybkie, że Miranda dostrzega przed sobą jedynie rozmazaną plamę i nawet nie ma czasu drgnąć ze strachu, kiedy pięść Cole’a zatrzymuje się milimetr przed jej nosem. Teraz Cole błyskawicznie chwytą prawą ręką tę część trzonka, która w rzeczywistości jest kolbą karabinu. Obiema rękoma wykręca „broń”, wyszarpuje ją z dłoni Mirandy i kieruje prosto na nią.

Miranda podnosi rękę nad głowę, już nie udaje, że to tylko ćwiczenie. Serce wali

jej jak młotem, jego uderzenia czuje aż w gardle.

Cole kręci głową.

– Nie tak mocno. Pamiętaj o trzymaniu rąk na wysokości twarzy, żebyś w razie potrzeby mogła ich użyć. Teraz twoja kolej. Odbierz mi karabin.

– Ale po co? – Miranda odsuwa się o krok, wciąż nie opuszczając rąk. – Myślałam, że to ty będziesz odbierał broń.

– Bo musimy być przygotowani na każdą ewentualność – wyjaśnia Cole. – Może on mnie nie zastrzeli, ale użyje karabinu jak maczugi. Dlatego każdy z was musi wiedzieć, jak odebrać mu broń.

Wszyscy po kolei ćwiczą odbieranie agresorowi karabinu zrobionego z kija od szczotki. Odgrywają też zbiorowy atak na napastnika, zastraszenie go wiatrówką Javiera oraz związanie mu rąk za pomocą szali. Wszystko to odbywa się na zasadzie pantomimy, żeby nikomu nie stała się krzywda – zwłaszcza Javierowi – i żeby nie narobić hałasu.

– Kiedy nadejdzie odpowiedni czas – mówi Cole – narobimy hałasu. Musimy go oszołomić i dezorientować.



## godzina 17.50

**Dyspozytor:** Wzywa pani policję, straż pożarną czy pomoc medyczną?

**Dana Torres:** Hmm, policję.

**Dyspozytor:** Jakiego rodzaju nagły wypadek chciałaby pani zgłosić?

**Torres:** Właśnie minęłam słupek z oznaczeniem sto pięćdziesiątego kilometra i chciałam zgłosić, że tutaj dzieje się coś dziwnego. Obok autostrady międzystanowej numer osiemdziesiąt cztery stoi biały tir. Tylne drzwi są otwarte, a dookoła są ustawione pomarańczowe pachołki. Ale na środku drogi było trzech facetów... Odniosłam wrażenie, że mają skrępowane ręce.

**Dyspozytor:** Leżeli na jezdni? Czy któryś z nich jest ranny?

**Torres:** Nie. Stoją na własnych nogach i chodzą tam i z powrotem, ale ręce trzymają z tyłu, chyba są skuci kajdankami. Wydaje mi się, że żaden z nich nie jest ranny. Krzyczeli, żebym się zatrzymała, ale nie zrobiłam tego, ponieważ nie wiedziałam, co się dzieje. Po prostu za bardzo się bałam. Jeden próbował biec za moim samochodem.

**Dyspozytor:** Kiedy to było?

**Torres:** Mniej więcej przed dwiema minutami. Zaczekałam, żeby się upewnić, że nie zdołają do mnie dobiec, nim zdążę zadzwonić. Nie mam pojęcia, co tam się wydarzyło, ale wydawało mi się niezbyt rozsądne, żeby podróżująca samotnie kobieta zatrzymywała się na takim pustkowiu.

# My nie uciekamy

godzina 17.53

**M**iranda i reszta zdołali skryć się w przejściu prowadzącym do holu, z którego wchodziło się do pracowni, w której schronił się Parker. Obok były schody z bramką wiodące do biur na górnym piętrze, gdzie zaczęła się strzelanina. Spojrzenia wszystkich wędrują od klatki schodowej do holu i z powrotem.

Jednak żadne z nich niczego nie słyszy. Javier wskazuje kamerę przemysłową nad ich głowami. Co będzie, jeśli któryś z ochroniarzy akurat siedzi przy monitorze i obserwuje transmitowany obraz? Grace udaje się za pomocą kija od szczotki obrócić kamerę w taki sposób, że teraz skierowana jest w kąt pomieszczenia. Cole na palcach skrada się do miejsca, gdzie wnęka przechodzi w hol, i ostrożnie spogląda w górę i w dół. W końcu jego ramiona rozluźniają się i chłopak odwraca się do towarzyszy.

– Na drugim końcu są jakieś nieoznakowane drzwi – szepcze. – Pewnie prowadzą do następnego korytarza służbowego. Moim zdaniem powinniśmy spróbować tam. Oni przecież nie mogli zamknąć wszystkich drzwi we wszystkich korytarzach służbowych.

Javier wzrusza ramionami.

– Ten ochroniarz mógł zaryglować wszystkie wyjścia w taki sposób, że nikt by się nie zorientował. A nawet jeśli ktoś by coś zauważył, to komu miałby o tym powiedzieć?

Niewypowiedziana odpowiedź zawisa w powietrzu: to oczywiste, że taki fakt zostałby zgłoszony tej samej osobie, która pozamykała drzwi.

Grace przerywa milczenie.

– A poza tym my nie uciekamy, tylko idziemy uwolnić Aminę.

Szept Cole'a jest jeszcze cichszy.

– Ja po prostu myślę o tobie. A co będzie, jeśli sprawy nie ułożą się po naszej myśli? Jeśli nie uda nam się stąd wydostać? – Cole wyciąga rękę i ujmuje jej dłoń. – Tak mocno walczysz o to, żeby żyć. Nie chcesz chyba tego zaprzepaścić.

Grace potrząsa głową.

– Spośród wszystkich ludzi akurat ty powinieneś najlepiej wiedzieć, że niczego nie da się zagwarantować. A jeśli to nie my stawimy opór, kto zrobi to za nas?

Cole ściska jej dłoń, po czym ją puszcza, a Miranda i Javier zachowują się tak, jakby nie słuchali.

Miranda, choć wcześniej napiła się wody z kranu w łazience, nabierając ją dłońmi, ma gardło wyschnięte na wiór. Nawet w skarpetkach czuje, że podeszwy jej stóp są śliskie. Właśnie tak. Naprawdę to robią. Ale przecież lepiej działać niż siedzieć beczynn timer na zapleczu sklepu Culpeppersów i czekać.

Ryzykują i wychodzą. Hol jest zaśmiecony porzuconymi torbami na zakupy, kubeczkami z Perk Me Up, tu i tam wala się kilka pojedynczych butów oraz ogromny pluszowy miś, który zapewne miał być czymś prezentem gwiazdkowym. Nie licząc ich ostrożnych kroków, w holu panuje absolutna cisza. Upiorne.

Zapadła już noc. Przed wejściem ciemność rozświetlają dziesiątki migających świateł policyjnych radiowozów, które ciasnym pierścieniem otaczają budynek centrum handlowego, zaledwie kilkadziesiąt metrów stąd. Podobnie jak drzwi, do których pobiegła Miranda na samym początku, te również zostały zamknięte za pomocą linki do roweru. Ale wydaje jej się, że Cole może mieć rację, iż gdzieś musi znajdować się otwarte wejście, choćby tylko w jednym jedynym miejscu. Niektórzy zdołali przecież stąd uciec, prawda? Terroryci zatrzymali tylko ludzi złapanych w pułapkę w pierwszym holu. A jeśli choć jedno wyjście pozostało otwarte, to chyba we czwórkę dadzą radę je znaleźć. Miranda wyobraża sobie, jak pędzi co sił w nogach przez główny hol. Pędzi, uciekając przed napastnikami. Biegnie zygzakiem i modli się, żeby jej nie trafili.

Tyle że to by oznaczało, że zostawia Aminę na pastwę losu. Aminę i Parkera, i Moxie.

W momencie, gdy docierają do skrzyżowania z głównym holem, odruchowo przywierają do ścian. Miranda pokazuje na migi, co zamierza zrobić, a następnie osuwa się na kolana. Ignorując esemesy od znajomych z pytaniami, czy jest cała, przełącza telefon na tryb wideo. Kładzie aparat na posadzce i przesuwa o kilka centymetrów w głąb głównego holu. Ręce trzęsą jej się ze zdenerwowania, chociaż wydaje się mało prawdopodobne, by zabójcy z odległości pięćdziesięciu metrów zauważyli mały prostokątny przedmiot na podłodze. Przesuwa telefon w przód i w tył, a potem przyciąga go do siebie.

Wszyscy cofają się o parę kroków i gromadzą wokół Mirandy, kiedy odtwarza nagranie. Widać na nim pustą przestrzeń głównego holu, który wygląda jak większa wersja tego, w którym znajdują się teraz. Jediną różnicę stanowi brak szyb w witrynach sklepowych, które wypadły po wybuchu bomby.

Na wideo nie widać bramki bezpieczeństwa, o której wspominał Parker. Musi znajdować się gdzieś dalej, w miejscu, gdzie hol się zęża. Ale na nagraniu widać to, co najważniejsze: sylwetki dwóch zabójców, stojących przodem do zakładników. Obaj ubrani są na czarno, jak ten mężczyzna, który schodził po ruchomych schodach, bez pośpiechu strzelając w uciekający tłum. Właściwie to Miranda odnosi wrażenie, że jeden z terrorystów musi być właśnie tamtym mężczyzną.

– Czyli po tej stronie wciąż jest ich tylko dwóch – szepcze Grace.

– Teraz musimy tylko wpaść na pomysł, jak zwabić tutaj jednego z nich. I wtedy rzucimy się na niego. – Miranda czuje, jak te słowa wibrują w całym jej ciele. Przytłacza ją potrzeba działania. Chce krzyczeć i skakać, i uderzyć kogoś bardzo, ale to bardzo mocno.

– No ale go nie zabijemy – mówi Cole i wykrzywia usta. – Bo przez taki czyn stalibyśmy się tak samo źli jak oni.

– Wcale że nie! – prycha z oburzeniem Grace. – Nigdy nie będziemy tacy jak oni. – Kręci przecząco głową. – Szkoda, że nie mamy pewności, że właśnie tutaj zabrali Aminę. A jak skłonimy jednego z tych dwóch, żeby tutaj przyszedł?

– Posłuchajcie! Możemy wygarnąć oba ptaszki! – szept Javiera aż skrzy się z podekscytowania.

Wskazuje palcem na położone bliżej nich stoisko, RC Zone. Miranda przechodziła obok niego dziesiątki razy. Tamtejsi sprzedawcy bez przerwy demonstrowali działanie swoich zabawek w nadziei, że złowią jakiegoś dzieciaka, któremu uda się namówić rodziców na nieplanowany zakup.

– Nawet jeśli zdołamy się tam ukryć, to chyba nadal nie będzie właściwy kąt, żeby dostrzec, czy wśród zakładników jest Amina – szepcze Miranda.

– Wcale nie to mam na myśli. Spójrz, czym tutaj handlują. – Javier kiwa głową w jej stronę. – Wpadłem na ten pomysł dzięki tobie, kiedy zobaczyłem, co robisz z telefonem.

Cole pierwszy pojmuje, o co Javierowi chodzi.

– Stary, to świetny pomysł!

– Co takiego? – Grace wydaje się tak samo zbita z tropu jak Miranda.

Cole wykonuje gest, jakby prowadził samochód.

– Włączymy nagrywanie w jednym z naszych telefonów. A potem wsadzimy go do zdalnie sterowanego samochodu i puścimy go w tamtą stronę!

# Jeśli chcesz nas okłamać

godzina 17.53

**P**arker nie jest jedyną osobą, która ma przy sobie zapalniczkę. Marynarka także ją posiada.

– Mam zamiar wywołać zamieszanie – szepcze Szpilka. – A kiedy to zrobię, wy rozbiegniecie się do różnych sklepów. Wbiegnijcie na zaplecze i bierzcie wszystko, co nawinie się wam pod rękę, papierowe torby, pudełka z tektury, papier na paragony – i podłóżcie pod to ogień. Jeden z tych dwóch oprychów, którzy zostali po naszej stronie bramki, będzie musiał pójść zobaczyć, co się dzieje. Wtedy go zaatakujemy. Zaczniemy rzucać w niego różnymi rzeczami, skoczmy mu na plecy, odbierzemy broń.

– No dobrze, a co z pozostałymi dwoma? – pyta Dred. – Są poza naszym zasięgiem, ale nadal mogą nas zastrzelić. Co mamy zrobić z nimi?

Wyraz twarzy Szpilki się nie zmienia, ale w jej głosie Parker słyszy coś na kształt wzruszenia ramionami.

– Nie sędzę, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie, jeśli uda nam się zdobyć broń.

– Czy Kilo wie, że nie możemy znaleźć Novembera? – pyta Ron, stojąc tuż obok bramki bezpieczeństwa.

– Jeszcze nie – odpowiada Wilk. – Ale Kilo wie, że go szukamy.

– To mu się nie spodoba – mówi Ron.

Parker dochodzi do wniosku, że tajemniczy Kilo musi być ich szefem, kierującym całą akcją z zewnątrz.

Wilk prostuje ramiona.

– Pozwól, że ci przypomnę, że Kilo mnie wyznaczył na dowódcę tej operacji. – Odwraca się w stronę muzułmańskiej dziewczyny. – Hej, ty! Gdzie się do tej pory ukrywałaś?

Dziewczyna zaciska usta i nie odpowiada.

– Czy ty masz w ogóle jakieś pojęcie, jak się obsługuje tego typu broń? – pyta Biznesmen szeptem, w którym pobrzmiwa lekceważenie

– Wyobraź sobie, że tak – odpowiada Szpilka suchym, rzeczowym tonem. – Ktoś jeszcze?

Po dłuższej chwili odzywa się Dred:

– Raz zdarzyło mi się ćwiczyć na strzelnicy.

– A ja przez trzydzieści lat służyłem w wojsku – dorzuca Rzep.

– W takim razie zaatakujemy go we trójkę – decyduje Szpilka. – Tylko poczekamy, aż wejdzie do sklepu, żeby pozostali nie mogli zobaczyć, co się dzieje.

– Nie widywałeś jej wcześniej? – pyta Ron. – Amina pracuje u Culpeppersów.

– Czy to właśnie tam schowali się twoi mali przyjaciele? – pyta Wilk.

Na moment zapada cisza.

– Nie. Ukrywaliśmy się w całkiem innym miejscu. W innym sklepie – odpowiada wreszcie Amina.

Śmiech Wilka przypomina prychnięcie.

– Hej, jeśli chcesz nas okłamać, musisz bardziej się postarać.

– Moja siostra jest wśród ludzi, których ustawili rzędem przy szybie. Jeśli zaczną nas zabijać, oni zginą jako pierwsi. Wystrzelają ich jak kaczki – szepcze Stanford.

– Nie jeśli krzykniemy im, żeby zaczęli się ruszać – mówi Szpilka. – W ruchomy cel trudniej jest trafić. Dym powinien jeszcze bardziej utrudnić to zadanie. Tak czy owak, koniecznie musimy krzyczeć. Chcemy wywołać maksimum zamieszania. Ile tylko się da.

Parker przypomina sobie coś, co widział w telewizji parę miesięcy wcześniej.

– Latem w wiadomościach podawali, że jeśli znajdziesz niemowlę zamknięte w rozgrzanym samochodzie, możesz łatwo wybić szybę, jeśli uderzysz w dolny narożnik okna czymś twardym i wąskim, na przykład śrubokrętem.

– Ale my nie mamy śrubokrętu – zauważa szeptem Dred.

– Na podłodze w pracowni sklepu Van Duyn leży nóż.

– Ostrze pewnie się złamie – mówi Szpilka. – Ale trzonek... trzonek może wytrzymać.

– Więc tamci zwyczajnie zwiali i cię zostawili, tak? – pyta Wilk Aminę. – Dokąd mogli pójść?

Amina unosi podbródek i odzywa się pewnym głosem:

– Nie mam pojęcia. *Inshallah*, oni uciekli.

Wilk nachyla się ku niej.

– Czy na korytarzach służbowych widziałaś kogoś jeszcze?

– Tylko Lindę z Pottery Barn – głos Aminy załamuje się. – Ale ona nie żyje.

– Podpalcie w wielu miejscach – szepcze Szpilka. – Chcemy, żeby tu było mnóstwo dymu. Chcemy, żeby włączyły się spryskiwacze. I może alarm przeciwpożarowy, jeśli jeszcze działa. Im większy chaos, tym lepiej. A potem, jeśli któryś z nich pójdzie sprawdzić, od razu go atakujemy.

Parker przypomina sobie pracownię na zapleczu sklepu Van Duyn i okazały zwój białego papieru do pakowania, stosy papierowych kubeczków oraz pudełka na cukierki. Może uda mu się rozpałić ogień na biurku, dzięki czemu dym szybciej dotrze do spryskiwacza.

– Ja biorę na siebie salon Van Duyn – mówi. – Ale ktoś musi zaopiekować się moją siostrą. Ona musi być bezpieczna.

Wilk nachyla się do mikrofonu, który ma na ramieniu.

– Kilo, czy podano ci przewidywany czas przybycia transportu do przewozu zakładników? – Czekaj przez chwilę, ale odpowiedź nie nadchodzi. – No dalej, Kilo, zgłoś się. Kilo, zgłoś się – z każdym powtórzeniem Wilk mówi coraz dobitniej, jakby dzięki temu mikrofon mógł zadziałać lepiej. – Kilo, czy mnie słyszysz?

Dłoń Rona przecina powietrze.

– Najpierw twój brat, a teraz Kilo. Wcale mi się to nie podoba!

– Nikt nie jest bezpieczny – szepcze Stanford. – Ale mogę obiecać, że spróbuję. – Wyciąga obie ręce. – Chodź do mnie, kochanie.

– Nie! – Moxie ciasno obejmuje Parkera w pasie.

– Ciii... – Parker wkłada palce pod podbródek siostry i unosi jej buzię tak, że może patrzeć wprost w zapuchnięte od płaczu oczy dziewczynki. Chciwie wciąga w nozdrza słodki zapach dziecięcego szamponu. – Zostań z nią, Moxie. Ja muszę pomóc w zatrzymaniu tych złych facetów, rozumiesz?

– Ale to tamci są źli – popłakuje Moxie. – To właśnie oni zrobili ci krzywdę!

Przynajmniej udaje jej się utrzymać głos na granicy szeptu.

– Oni robili tylko to, do czego zostali zmuszeni przez tych bandytów. Tak naprawdę źli są ci panowie, którzy chodzą w kominiarkach, i właśnie ich musimy

powstrzymać. Chcesz się stąd wydostać, Moxie? Chcesz zobaczyć tatę i mamę? – głos Parkera drży i w końcu się załamuje.

Jego prawdziwe życie – rodzice, drużyna zapaśnicza, przyjaciele, szkoła – wszystko wydaje się teraz snem. W rzeczywistości zawsze był tutaj, z miedzianym posmakiem krwi w ustach, ze sparaliżowanym ze strachu językiem, z małą siostrą uwieszoną u ramienia.

- Tak – delikatny głosik dziewczynki go miażdży.
  - Więc pozwól mi to zrobić, Mox. Wtedy będziemy mogli wrócić do domu.
- Jej ramionka w końcu zwalniają uścisk.



# Każdy trzask i każdy stukot

godzina 17.56

**M**iranda oczyma wyobraźni widzi, jak samochód zabawka pędzi korytarzem wystarczająco daleko, żeby sfilmować zakładników, a potem wraca. Z jednym z napastników, goniącym za nim w szalonym pościgu.

– A co, jeśli Amina jest gdzie indziej? – pyta dziewczyna. – Nie dowiemy się, dopóki nie obejrzymy nagrania.

Nagle w głowie świta jej pewien pomysł.

– Czy ktoś ma zainstalowany na telefonie FaceTime albo Skype? Bo jeśli zadzwonimy z jednego telefonu na drugi, to będziemy mogli użyć jednego z nich, żeby obejrzeć to, co rejestruje drugi. Dzięki temu będzie tak, jakbyśmy faktycznie znajdowali się w samochodzie. A przecież nie musimy widzieć tego autka, żeby nim sterować.

Okazuje się, że wszyscy poza Javierem mają zainstalowane wymienione aplikacje. Jednak kiedy trzeba podjąć decyzję, nikt nie ma ochoty być tą osobą, która zaryzykuje utratę swojego aparatu.

W końcu Grace przystaje na to, żeby to jej telefon pojechał na fotelu kierowcy.

– Ale co będzie, jeśli oni po prostu zestrzelą to autko?

– Będzie to samo, o czym mówiłem już wcześniej – odzywa się Cole. – Jeśli tamci otworzą ogień, policja natychmiast dojdzie do wniosku, że terroryści zabijają zakładników. I wtedy przypuszczą atak, niezależnie od wszystkiego. Moim zdaniem właśnie dlatego nie zastrzelili Aminy ani tego kumpla Mirandy. Teraz sytuacja sprzyja zakładnikom. Terroryści postawili żądania i czekają, aż zostaną spełnione. Na pewno nie będą chcieli tego zaprzepaścić, strzelając do samochodu zabawki.

– A jeśli mój telefon wypadnie? – Grace nerwowo przyciska komórkę do piersi.

– Położymy go na płasko, żeby był bardziej stabilny – zapewnia ją Cole. – W ten sposób raczej nie uderzy o spód bramki, jeśli będę musiał wjechać nim do środka, żeby przekonać się, że Amina na pewno tam jest.

– Jeśli ty będziesz musiał nim wjechać? – powtarza jak echo Javier. – To był mój

pomysł, żeby użyć zdalnie sterowanego samochodu. To ja powinienem nim kierować. Milion razy grałem w Grand Theft Auto!

Cole ostrzegawczo podnosi palec.

– Zanim ktokolwiek czymkolwiek zacznie kierować, najpierw trzeba zdobyć to autko. Co oznacza, że ktoś musi przebiec przez otwartą przestrzeń najszybciej jak się da i wrócić. I to ten, kto podejmie to ryzyko, powinien potem sterować autem.

Javier spogląda na swoją zabandażowaną nogę, a potem zaciska usta i kiwa głową. Miranda i Grace nie sprzeciwiają się ustaleniom Cole'a.

Zanim Cole spróbuje zdobyć samochód, Miranda znowu kładzie się płasko na podłodze i wysuwa telefon, przechylając go dopóty, dopóki nie zobaczy dwóch facetów z bronią. Obaj stoją twarzami do zakładników. Jeden wydaje się coś mówić.

Na jej znak Cole rzuca się biegiem w poprzek holu. Ma do pokonania zaledwie sześć metrów, ale czuje, jakby to były kilometry. Miranda przełyka kłęb waty, obserwując zabójców i nasłuchując kroków Cole'a. Nie widzi, co się dzieje za stoiskiem, ale każdy trzask i każdy stukot sprawiają, że krzywi się z przerażenia. Na szczęście żaden z zamachowców się nie odwraca. Miranda ma wrażenie, że upłynęły całe wieki, zanim w jej polu widzenia pojawił się Cole, wyglądający ostrożnie zza rogu, choć w rzeczywistości pewnie nie upłynęła nawet minuta. Znowu kiwnięciem daje mu znak, że jest bezpiecznie. Tuż po tym, jak Cole wpada w zakręt korytarza, jeden z mężczyzn obrzuca spojrzeniem cały hol, ale mowa jego ciała świadczy o tym, że nie zauważył niczego podejrzanego.

Miranda bierze swój telefon i drżąc na całym ciele, oddycha głęboko.

Cole zdobył dwudziestopięciocentymetrowego jeepa z otwartym dachem i pilotem. Grace próbuje ustawić bokiem swój telefon na miejscu kierowcy. Komórka mieści się z trudem, ale pasuje.

Dziewczyna wyjmuje go z powrotem i łączy się przez FaceTime z Cole'em. Teraz na ekranie aparatu Cole'a pojawia się to, co widzi aparat Grace; jedynie mała kwadratowa wstawka w samym rogu ukazuje to, na co w rzeczywistości jest nakierowany. Zresztą na aparacie Grace pojawia się to samo, tylko na odwrót. Kiedy Grace wkłada swój telefon z powrotem do autka, na ekranie komórki Cole'a widać jej kciuk oraz maskę białego jeepa.

Udało im się stworzyć przenośną kamerę monitorującą.

Już czas. Cole ustawia swój telefon na gablocie z planem całego centrum. Poprawia baseballówkę na swojej głowie i bierze do ręki pilota.

# Szanse bliskie zeru

godzina 18.01

**M**iranda raz jeszcze używa swojego telefonu do sprawdzenia, co dzieje się w holu. Faceci z karabinami wciąż obserwują zakładników. Dziewczyna daje znak Grace, która wyciąga rękę i stawia jeepa na podłodze jak najbliżej ściany. Wtedy razem z Mirandą dołączają do Cole'a i Javiera, żeby wpatrywać się w niewielki obraz na ekranie.

Z głębi holu dobiega hałas. Cole uruchamia jeepa. Samochodzik jedzie wśród porzuconych toreb na zakupy, mija donice z roślinami, ławki i wystawioną na zewnątrz sklepu reklamę Hickory Farms.

Oglądanie wszystkiego z poziomu podłogi sprawia, że Mirandę ogarniają wątpliwości. Nagle cały plan wydaje się jej po prostu śmieszny. Szanse, że za kilka minut uda im się związać jednego z zamachowców za pomocą kilku szali, są bliskie zeru.

Żeby odpędzić od siebie te myśli, koncentruje wzrok na skupionej twarzy Cole'a. Chłopak ma taką samą minę jak wszyscy jej koledzy, kiedy akurat grają w jakąś grę wideo. Widać, że obraz na ekranie jest dla niego tak rzeczywisty, jakby sam znajdował się teraz w holu.

Jeep dociera do skrzyżowania korytarzy i do strefy restauracyjnej. Cole przesuwa palec na pilocie i samochodzik skręca. Bramka bezpieczeństwa znajduje się teraz na wprost, a za nią widać kilka tuzinów uwięzionych w holu ludzi. Miranda mruży oczy i przysuwa się bliżej wyświetlacza.

Tak! Amina jest wśród nich, choć jej turkusowy szal gdzieś zniknął.

Obok niej stoi jakiś chłopak. Jego twarz jest zalana krwią i mocno spuchnięta, niemal niemożliwa do rozpoznania, lecz mimo to Miranda wie, kto to jest. Parker.

Na szczęście Parker żyje. Miranda łapie się kurczowo tej myśli.

Nagle na prawo od jeepa pojawia się mężczyzna ubrany na czarno. Jeden z zamachowców. Przekłada karabin do lewej ręki, a prawą sięga za siebie i wyciąga pistolet. Zwykły pistolet, choć wyglądający nieco dziwnie. Jakby miał za długą lufę.

# Nigdzie nie jest bezpiecznie

godzina 18.01

**S**zpilka odwraca się do Marynarki.

– Braciszek bierze sklep ze słodyczami. A ty co wybierasz?

Chłopak z salonu AT&T odzywa się szeptem:

– U nas za ladą stoi mnóstwo pudełek. Powinny łatwo zająć się ogniem.

– Chcesz wziąć moją zapalniczkę? – pyta Marynarka. – Ja już nie jestem taki szybki, a poza tym ty wiesz, gdzie stoją te pudełka.

Parker widzi rozterkę na twarzy chłopaka. Czy lepiej działać, czy raczej nie ryzykować ściągnięcia na siebie uwagi? Jednakże ktoś, kto będzie na zapleczu wzniecał ogień, tym samym zostanie usunięty z wcale nie tak przysłowiowej pierwszej linii strzału. Przez moment Parker zastanawia się, czy może powinien zabrać Moxie z powrotem do sklepu ze słodyczami? Stanford miała rację. Nigdzie nie jest bezpiecznie. Przynajmniej nie tutaj.

– Okay – szepcze w końcu chłopak z AT&T.

Marynarka rozpoczyna żmudny proces sięgania związanymi rękoma do kieszeni, kiedy Szpilka energicznie potrząsa głową.

– Dajcie mi parę minut. Niech nikt niczego nie zaczyna, dopóki nie uda mi się odwrócić ich uwagi.

Parker zastanawia się, co takiego ona może zrobić? Czy zamierza symulować atak choroby, czy może zacznie udawać, że postradała zmysły? Cokolwiek to będzie, Szpilka z pewnością podejmuje ryzyko, że zostanie zaszlachtowana jako pierwsza z owiec, do których porównała zakładników.

Nagle dziwny hałas każe im odwrócić głowy w kierunku strefy restauracyjnej. Z początku Parker ma trudności z rozpoznaniem tego dźwięku. Brzmi znajomo, ale zupełnie nie pasuje do miejsca ani do sytuacji. Nagle na końcu holu pojawia się coś, co z dużą prędkością zmierza w ich kierunku.

Zdalnie sterowany samochód. Biały jeep o długości nie większej niż trzydzieści centymetrów. Zatrzymuje się w odległości mniej więcej sześciu metrów od

napastników, a następnie wykonuje zwrot w prawo. Kiedy podjeżdża bliżej, Parker widzi leżący bokiem na siedzeniu kierowcy telefon. Chłopak mruży oczy. Czy to złudzenie, czy na ekranie widzi czyjeś twarze? Nagle wszystko staje się jasne. To musi być Miranda i ludzie, z którymi się ukrywa.

– Teraz! – za plecami Parkera rozlega się szept Szpilki. – To jest nasza szansa. To może przyciągnąć ich uwagę! Ruszajcie! Teraz! Teraz!

# Nie miałem pojęcia

godzina 18.03

– **C**o to jest? – szepcze Grace.

Cole nie odrywa oczu od wyświetlacza i ostro zakręca autkiem, ale jego głos zdradza zaskoczenie.

– To tłumik od rewolweru.

W głębi holu rozlega się dźwięk przypominający głośne klaśnięcie i nagle ekran robi się czarny.

Grace rozdziawia buzię, kiedy zdaje sobie sprawę, że jej telefon właśnie został zniszczony.

– Wydaje mi się, że mówiłeś, że oni nie będą strzelać?

Cole klnie.

– Nie miałem pojęcia, że ten drań ma tłumik! Musimy się stąd wynosić! Wycofujemy się!

Gdzieś z holu dobiega okrzyk jednego z zabójców:

– To gówno przyjechało stamtąd!

Głośne kroki dudnią po podłodze, nieubłaganie zbliżając się do nich. Przez cały ten czas przygotowywali się do tego, że będą musieli pokonać faceta z długą bronią, którego przywiodła w ich stronę ciekawość i który nie ma zamiaru strzelać, nie zaś wściekłego bandytę uzbrojonego w rewolwer z tłumikiem. Muszą stąd uciekać, zanim ich zauważy. Może jeszcze nie zdążył się zorientować, skąd nadjechał jeep, choć stoisko ze zdalnie sterowanymi zabawkami wydaje się cholernie czytelną wskazówką.

Rzucają się w stronę wnęki, którą tak niedawno opuścili. Miranda, która biegnie w samych skarpetkach, ślizga się i o mały włos nie traci równowagi. To jak ucieczka w sennym koszmarze. Świat zwęża się do tunelu w jaskrawych kolorach, do niewyraźnych smug. Jakaś część jej duszy pragnie, żeby to wreszcie się skończyło. Niewiele ją obchodzi, jaki będzie finał, byleby już było po wszystkim.

Docierają do końca holu i nagle Cole przykładą palec do ust, a potem na coś wskazuje. Tym razem nie jest to żadne służbowe przejście, lecz schody. Schody

prowadzące w górę.

Miranda w lot pojmuje tok jego rozumowania. Górne piętro, skąd nie ma żadnego wyjścia na zewnątrz, jest ostatnim miejscem, w którym zabójcy będą ich szukać. Być może nawet znajdzie się tam jakaś kryjówka.

Zresztą wszystko jedno, po prostu muszą dokądś uciekać. Dokądkolwiek. W tej chwili cała ich czwórka jest widoczna jak na dłoni.

Biegną w górę po schodach, a przynajmniej starają się biec. Miranda ma wrażenie, że jej stopy grzęzną w lotnych piaskach. Próbuje odpędzić strach, skoncentrować się na podnoszeniu nóg, które są jak z ołowiu, lecz czuje się tak, jakby znajdowała się pod wodą, ciężka i bezwładna. Jej skarpetki ślizgają się na każdym stopniu. Pozostali starają się iść cicho, bo każde zbyt szybkie postawienie stopy na stopniu rozbrzmiewa donośnym echem.

Cole biegnie jako pierwszy. Mięśnie na ramionach Javiera napinają się jak postronki, kiedy stara się podciągać do góry, trzymając się poręczy. Za nimi podąża Grace, dysząc z otwartymi ustami, a jej twarzy wykrzywia grymas przerażenia. Biegając, przebiera ramionami, przy każdym kroku wymachując kijem od szczotki. Na zakręcie schodów przypadkowo uderza nim w biodro Mirandy i ta ostatkiem sił powstrzymuje okrzyk bólu.

Gdzieś poniżej miejsca, w którym się znajdują, rozlega się echo czyichś kroków. Serce Mirandy na moment przestaje bić.

Ile czasu upłynie, zanim przestanie bić na zawsze?

# Dokładnie tam, gdzie trzeba

godzina 18.03

**P**arker rzuca się pędem do sklepu ze słodyczami, serce wali mu jak młotem. Dobiega do lady i natychmiast pada na kolana. Gdy na czworakach pełźnie na zaplecze, z holu dobiega przytłumiony dźwięk strzału.

Z ust wyrywa mu się okrzyk zaskoczenia. Kogo zastrzelili? Marynarkę, gdy ukradkiem próbował przekazać zapalniczkę Chłopakowi z AT&T? A może właśnie Chłopaka z AT&T, za to, że próbował wzniecić pożar? Czy mogła to być Stanford, dziewczyna pilnująca jego siostry? A może sama Moxie?

Parker zagryza zęby i zmusza się, by przemknąć na zaplecze. Nie może sobie pozwolić na to, żeby groza go sparaliżowała. Czy powinien zamknąć za sobą drzwi? Co będzie, jeśli któryś z zabójców zauważy ruch? Lecz jeśli drzwi zostaną otwarte, oni mogą go zobaczyć. Delikatnie je zamyka.

Chwyta nóż leżący na podłodze i wstaje na nogi. Sięga ręką za siebie i wsuwa go za pasek od spodni. Jego plecy są lepkie od potu. Umieszcza ostrze w taki sposób, żeby płasko przylegało do kręgosłupa, zasłonięte przez koszulkę polo.

Jego wzrok przyciąga srebrna skrzynka ze szklanym frontem wisząca na ścianie. W środku znajduje się gaśnica. Zamachowcy mogliby wykorzystać ją do ugaszenia ognia.

Parker otwiera skrzynkę i przez chwilę siłuje się z zaczepami, nim udaje mu się uwolnić metalowy przyrząd. Musi go gdzieś ukryć. Może w szafce, gdzie wcześniej chowała się Moxie? Nawet przelotna myśl o niej sprawia, że miękną mu kolana. Ale jego niepokój jej nie pomoże, a on nie może pozwolić sobie na rozproszenie uwagi.

Z wysiłkiem koncentruje się na tym, co jest tu i teraz. Może powinien mieć tę gaśnicę pod ręką, to może być całkiem skuteczna broń. Kiedy już uda mu się wzniecić pożar, poczeka za drzwiami, aż któryś z zabójców wtargnie do środka, a potem uraczy go strumieniem chemikaliów skierowanym prosto w twarz.

Na myśl o tym wyrywa mu się zduszony chichot. Gdyby dzisiaj rano ktoś powiedział mu, że o zmroku będzie próbował wywołać pożar i zastanawiał się, jak najlepiej unieszkodliwić człowieka, pomyślałby, że ten ktoś zwariował.



Parker stawia gaśnicę na podłodze i szeroko rozpościera ramiona, żeby zebrać w stos złote kartonowe pudełka oraz brązowe papierowe kubeczki leżące na stole. Ustawia je na środku zimnego marmurowego blatu, a następnie oddziera kilka kawałków białego papieru do pakowania i zwija je w kulki. Spogląda na sufit. Metalowy spryskiwacz wisi mniej więcej dwa i pół metra nad rogami stołu. Parker przesuwając stos w tamtą stronę.

Na zewnątrz, w holu, panuje względna cisza. Przynajmniej nie słychać kolejnych strzałów.

Parker grzebie w kieszeni w poszukiwaniu zapalniczki. Przy próbie pstryknięcia metalowe kółko wbija mu się w kciuk. Kiedy wreszcie pojawia się wąty płomyk, Parker zbyt gwałtownie rusza ręką. Płomyk gaśnie.

Parker oddycha głęboko i próbuje ponownie, tym razem osłaniając drugą dłoń pomarańczowym ogieniem. Przesuwając go powoli, dopóki płomień nie zacznie lizać zwiniętej kulki papieru do pakowania. Zamiast buchnąć od razu, płomień delikatnie nadgryza brzeg papieru, pozostawiając po sobie poczerńniętą krawędź.

Parker podstawia więc zapalniczkę pod róg złoczonego pudełka i trzyma tak długo, aż karton zaczyna się palić. Słyszy, jak w holu rozlega się ryk Rona. Brzmi to jak jednostronna dyskusja, więc pewnie Ron rozmawia przez telefon. Oskarża swojego rozmówcę o kłamstwo. O szpiegostwo.

Ogień powolutku unosi się z dwóch stron, więc Parker ostrożnie dmucha i płomień wyraźnie się powiększa. Czarne brzegi najpierw ulegają zwęgleniu, a następnie zmieniają się w szarawy popiół.

Ron mówi coraz głośniej. Parker wyraźnie rozróżnia słowa „zdalnie sterowany samochód”.

Więc oni sądzą, że autko zostało wysłane przez policję. Czy to lepiej, czy gorzej, że nie zorientowali się, jaka jest prawda? Może lepiej dla Mirandy i jej przyjaciół, ale wygląda na to, że napastnicy są coraz bardziej zdenerwowani. Czy jeśli ich wściekłość sięgnie zenitu, zaczną znowu strzelać do ludzi?

Płomień jest teraz wysoki na jakieś siedem centymetrów. To jeszcze nie pożar, ale ogień wydziela sporo gryzącego dymu. Półtora metra nad stołem wisi szara chmura, smugi dymu zaczynają wypełniać pomieszczenie, łagodząc kontury przedmiotów. Parker czuje, jak dym gryzie go w gardle. Może złotko z pudełek wydziela jakąś toksyczną substancję? Nagle dopada go atak kaszlu, który niemal gasi płomień.

Po chwili prawie cały stos zajmuje się ogniem, lecz w pomieszczeniu nie robi się ani trochę goręcej. Wszystko to trwa strasznie długo. Zadaniem Parkera było rozproszenie uwagi napastników, jednak nie za wiele udało mu się osiągnąć. W takim

tempie zraszacze wody nigdy nie zaczną działać.

Spogląda w górę, na wiszące nad stołem urządzenie. Właściwie dlaczego zawraca sobie głowę rozpaleniem ognia na blacie, skoro może podstawić płomień dokładnie tam, gdzie trzeba?

Wetknąwszy zapalniczkę z powrotem do kieszeni, Parker podpira się obiema rękoma, żeby podciągnąć się na blat, ale po chwili przychodzi mu do głowy myśl, że kiedy zraszacz się uruchomi, cały papier nasiąknie wodą. A jeśli trzeba będzie potem rozpaść ogień w innym sklepie? Zbiera resztę papieru i tekturowych pudełek i ustawia w pobliżu gaśnicy. Potem znowu wspina się na blat, uważając, by jego ubranie nie zajęło się ogniem. Jego posiniaczone ciało protestuje przy każdym ruchu. Parker pstryka kciukiem zapalniczkę, nasłuchuje, czy mechanizm zadziałał, i po chwili widzi, jak pojawia się pomarańczowy płomyk. Żeby dosięgnąć zraszacza, musi wyciągnąć rękę ponad płomieniem. Powietrze nad zapalniczką jest o wiele bardziej gorące, niż się spodziewał. Ma wrażenie, że skóra na jego przedramieniu stała się sucha jak wiór. Wyciąga rękę jak najdalej i przesuwając zapalniczkę pod zraszaczem tam i z powrotem. Jednocześnie przygotowuje się w duchu na strumień lodowatej wody, wmawiając sobie, że to będzie jak zimny prysznic w ubraniu.

Jednak gdy urządzenie zaczyna działać, Parker ma wrażenie, że ktoś zawiesił nad nim wąż strażacki i maksymalnie odkręcił dopływ wody. Chlust! Wrażenie jest piorunujące, woda uderza z taką siłą, jakby była ciałem stałym. Ogień znika w mgnieniu oka.

Parker cofa się o krok, żeby odsunąć się od zalewającego go potopu. Jednak na blacie stoi woda, na której ślizgają mu się stopy, i zanim udaje mu się złapać równowagę, już obie jego nogi są w powietrzu, a on spada, trafiając kością ogonową w kant stołu. Ból uderza jak taran, wysyłając impuls wzdłuż całego kręgosłupa. Wrażenie jest niezwykle intensywne, jakby ktoś jednym naciśnięciem guzika zatrzymał resztę świata. Parker jak kłoda zwala się na podłogę. Nie może zebrać myśli. Nie może nawet oddychać. Zastyga, obezwładniony przez ból.

W końcu gwałtownym haustem zasysa powietrze. Każdy ruch sprawia mu cierpienie. Mnóstwo cierpienia. Ale on musi się stąd ruszyć, bo niedługo ktoś tutaj nadejdzie, żeby sprawdzić, co się dzieje. Parker prostuje plecy i rusza w kierunku drzwi, a wtedy, dzięki zmianie pozycji, ból staje się odrobinę mniej dokuczliwy.

Teraz myśli, że może lepiej było zostawić sprawy swojemu biegowi. Pozwolić, żeby ogień zwiększał się powoli. Dymu w zasadzie już nie ma. Ani ognia. Wszędzie jest pełno wody. Oczywiście spryskiwacz hałasuje, to jasne, ale czy wystarczająco głośno, żeby przyciągnąć tutaj Rona albo Laskę? Może powinien rozpaść jeszcze jedno ognisko, tym razem za biurkiem?

Parker pstryka zapalniczką. Bez efektu. Chłopak wytrząsa wodę ze zbiorniczka i próbuje jeszcze raz.

Nadal nic. Wygląda na to, że już nie uda mu się zaprószyć ognia.

# Niczego poza oddechem

godzina 18.03

**K**iedy wpadają za zakręt schodów, Miranda ma wrażenie, że serce zaraz wyskoczy jej z piersi. Na wprost przed nimi znajdują się metalowe drzwi z wąskim, poprzecznym oknem oznaczone tabliczką z napisem: DRUGIE PIĘTRO. POMIESZCZENIA BIUROWE.

Gdzieś pod nimi rozlega się okrzyk jednego z zabójców: „Wydaje mi się, że nadjechał stamtąd!”.

Jak bardzo zdążył się zbliżyć?

Cole zerka przez szczelinę okna, a potem uchyla drzwi.

Miranda ostatkiem sił wpada do środka, pozostali depczą jej po piętach. Cole zamyka drzwi tak delikatnie, że nie wydają przy tym żadnego dźwięku.

Teraz czekają, żeby przekonać się, czy ktoś podąża ich śladem. Miranda zakrywa usta dłonią, zarówno po to, żeby jej zdyszany oddech nie zdradził ich obecności, jak i żeby powstrzymać się od krzyku. Wciąga powietrze tak mocno, że za każdym oddechem jej nozdrza robią się płaskie. Jej serce bije w szalonym tempie.

Razem z Grace przysiada po jednej stronie drzwi, Cole z Javierem po przeciwnej. Grace trzyma na ramieniu szczotkę, jakby to był kij do baseballa. Javier zaciska dłoń na swoim straszaku. Cole uzbroił się w nożyczki i trzyma je tuż przy skroni niczym oszalały nożownik.

Miranda stara się przygotować psychicznie do walki. Gdzie się podziała skarpeta z monetami? Nie pamięta, żeby ją upuściła, ale najwyraźniej tak właśnie się stało. Zaciska mocno pięści, aż paznokcie wbijają się jej boleśnie w miękką skórę dłoni.

Nie słyszy niczego. Niczego poza oddechem pozostałych.

Powolutku zaczyna przesuwać się w stronę wąskiego okienka. Wzdłuż jej kręgosłupa płynie strużka potu. Nie powinna wyglądać przez to okno. Powinna pozostać w ukryciu. Ale musi spojrzeć. Musi się dowiedzieć.

Schody poniżej są puste. Przyciskając twarz do zimnej szyby, Miranda stara się dojrzeć to, co znajduje się za zakrętem schodów. Ale tam także nie ma nikogo.

Westchnienie ulgi wyrywa się jej z ust. Lekko kręci głową, w ten sposób dając znak pozostałym, że nikogo nie widać. Z walącym wciąż szaleńczo sercem odwraca się w drugą stronę.

Krótki korytarzyk, w którym teraz się znajdują, prowadzi wprost na drugie piętro, przypominające kształtem prostokątnego donuta. W centralnej części jest pustka, w dole widać strefę restauracyjną, a wysoko w górze – połąć przeszklonego dachu. Pomieszczenia biurowe umieszczone są na obrzeżach piętra, natomiast wewnętrzną krawędź zabezpiecza czarna metalowa barierka.

Tu na górze nie ma żadnych ciał, przynajmniej w polu widzenia Mirandy. Ale wystarczy, że dziewczyna spojrzy w dół; scena rzezi, którą tam widzi, jest jeszcze gorsza niż ta, którą zachowała w pamięci. Miranda widzi czerwone smugi wskazujące, którędy ranni usiłowali się czołgać, a także martwe ciała w miejscach, gdzie umarli, próbując się ratować. Dostrzega mamę Grace, która leży jak bezwładna lalka, z rękoma rozpostartymi nad głową po tym, jak Grace usiłowała odciągnąć ją w bezpieczne miejsce.

Teraz Grace musi przytknąć dłoń do ust, żeby zdusić jęk.

Gdzieś niżej i na wprost słychać przekleństwa jednego z napastników.

– Przestańcie łazić w kółko, do kurwy nędzy! Nie zmuszajcie mnie, żebym kogoś zastrzelił!

Miranda oddałaby wszystko, żeby znaleźć się teraz daleko stąd, z powrotem w swoim domu, w swoim łóżku. Próbuje przypomnieć sobie dzisiejszy poranek, przywołać chłód prześcieradła, poczuć miękkość poduszki pod głową, ale na próżno. Delikatnie obejmuje ramieniem Grace i odwraca ją ku sobie, żeby nie musiała spoglądać dłużej na nieżywe ciało matki.

Cole przykłada palec do ust, a chwilę później rozlega się jego szept:

– Chyba wiem, jak możemy zdobyć prawdziwy karabin.

Grace natychmiast odrywa rękę od ust. Wszyscy przysuwają się do Cole'a, aż stają stłoczeni wokół niego, stykając się ramionami.

– Byłem tutaj na górze, kiedy zaczęła się strzelanina. I widziałem taki wielki karabin, który ktoś schował w donicy. Nie miałem pojęcia, że jest prawdziwy.

– Gdzie? – Pytanie Javiera jest ciche jak westchnienie.

Cole wskazuje w kierunku barierki. Dookoła, w równych odstępach, stoją trzy betonowe donice. W każdej z nich rośnie dorodna roślina o szerokich zielonych liściach w kształcie łopat, które kontrastują z wielkimi białymi kwiatami, przypominającymi nieco kaptury. Mirandzie wydaje się, że rośliny te noszą nazwę skrzydłokwiatów.

– W tej drugiej.

Miranda mierzy wzrokiem odległość.

– Moim zdaniem, jeśli będziemy iść na czworakach i trzymać się blisko ściany, to tamci nie mają szans nas zauważyć.

Ale Cole kręci głową.

– Po co wszyscy mają ryzykować? Ja go przyniosę.

Zanim ktokolwiek zdąży zaproponować, Cole opada na czworaki i rusza w kierunku donicy. Tu, na górze, jest mniej porzuconych rzeczy, ale i tak widać, że ludzie uciekali w panice. Na środku leży jakaś beapańska torebka, a nieopodal niej zwitek papieru. Dalej znajduje się wózek na przesyłki pocztowe, czyjaś kurtka i pudełko z pączkami, z którego wypadła połowa zawartości.

Kiedy rozlega się głos jednego z zamachowców, wszyscy zastygają w bezruchu. Brzmi tak, jakby znajdował się na wprost, ale na niższym poziomie, gdzieś obok strefy restauracyjnej.

– Zulu, wracaj do bazy. Zulu, odbiór.

Grace i Miranda wymieniają zaskoczone spojrzenia. Zulu?

– G-g-g-golf, daj mi jeszcze chwilę – jąka się inny mężczyzna. Jego głos słychać z poziomu strefy restauracyjnej, ale z tyłu, gdzieś za nimi. – Ten samochodzik musieli wysłać gliniarze, chociaż Romeo mówił, że obiecali się wycofać. Muszę ich odszukać i zająć się nimi... Odbiór – dodaje po chwili.

– Odmawiam, Zulu. Oni być może starają się nas rozdzielić, żeby nas wyłapać jednego po drugim. Wracaj do bazy. Zaraz. Odbiór.

Co to za imiona, Golf i Zulu? – zastanawia się Miranda. Potem świta jej myśl, że brzmią jej one jakoś znajomo.

– Przyjąłem – potwierdza Zulu z wyraźnym ociąganiem.

– Ustaliłeś, gdzie może być November? – pyta Golf. – Odbiór.

– Nicolas? Nie – odpowiada Zulu. – Jak myślisz, czy gliniarze zdołali go dorwać?

– Nie mam pojęcia. Po prostu wracaj. Natychmiast. Odbiór.

Więc November i Nicholas to ta sama osoba? Nagle Miranda zaczyna wszystko rozumieć.

– „Whiskey Tango Foxtrot” – szepcze do Javiera i Grace. – Myślę, że oni używają swoich inicjałów w wojskowym alfabecie zamiast prawdziwych imion.

Cole znów rusza przed siebie. Jeśli chce wyciągnąć karabin, musi przysunąć się do samej barierki. Co będzie, jeśli któryś z zabójców akurat podniesie głowę i go

zauważy?

Miranda nienawidzi siedzieć beczynn timer. Żeby zająć czymś swoją uwagę, przygląda się czarnej szmatce, która leży na podłodze kawałek dalej. Na pierwszy rzut oka wygląda jak czapka typu beanie, ale z trzema okrągłymi otworami. Otworami, które zostały celowo wycięte, ponieważ są obszyte nicią. Kiedy dociera do niej, co to jest, Miranda z wrażenia wstrzymuje oddech.

To jest kominiarka. Taka sama jak te, które mają napastnicy.

Tylko co się stało z facetem, który ją nosił?

# Stworzona jedynie do zabijania

godzina 18.11

**C**ole jest w połowie drogi do donicy, kiedy na niższym piętrze słyszy zbliżające się kroki. Szybkie i dochodzące gdzieś z tyłu. Przywiera całym ciałem do wykładziny, podczas gdy Miranda i pozostali wycofują się rakiem w stronę drzwi prowadzących na klatkę schodową. To musi być ten o pseudonimie Zulu. Wraca do bazy.

Nie widzą go, ale doskonale słyszą. Jego głos brzmi tak, jakby znajdował się teraz dokładnie pod nimi.

– Nie podoba mi się to – mówi Zulu. – W ogóle mi się to nie podoba. Gliny wężą dookoła, Nicolas zniknął. Powinieneś być pozwolić, żebym się rozejrzał. Może bym go znalazł albo przynajmniej ustalił, którzy gliniarze weszli do środka.

– Pamiętaj, co mówił nam Kilo. – Z odbiornika Zulu dobiega odpowiedź Golfa. – Że mamy trzymać się razem, choćby nie wiem co.

– No dobrze, a gdzie jest Karl, Kilo czy jak on tam się zwie? Łazi sobie po lotnisku, podczas gdy my bierzemy na siebie całe ryzyko. Nawet nie raczył się odezwać, kiedy ostatnio próbowałeś go wywołać.

Głos Golfa pozostaje spokojny.

– Uprzedzał, że czasami będzie uchwytny, a czasami poza zasięgiem.

W głośniku rozlega się trzeci głos.

– Negocjator obiecywał, że gliniarze będą trzymać się z daleka. Najwidoczniej łął jak bura suka. Sprawy idą w złym kierunku. Nicholas zniknął, Karl przestał się odzywać, a gliniarze wyraźnie mają nas na oku.

– Nie tak to miało wyglądać – wtrąca czwarty mężczyzna.

Kiedy tamci rozmawiają, Cole zaczyna czołgać się z powrotem. Od donicy dzieli go dosłownie metr. Za nią ukryta jest jakaś czarna, dziwacznie wypchana kamizelka z tuzinem kieszeni... Miranda mruży oczy.

Nagle lodowaty dreszcz spływa jej w dół kręgosłupa, bo zdaje sobie sprawę, że to



kamizelka samobójcy, dokładnie taka sama, jakie noszą napastnicy.

– Nie rozumiem, w jaki sposób policja czy FBI zdołali zbliżyć się na tyle, by wysłać zdalnie sterowanego jeepa – zastanawia się Zulu. – Każde wejście w pobliżu zostało odcięte. Mamy wszystko pod kontrolą, więc powinniśmy od razu zauważyć, gdyby chcieli coś kombinować. Tymczasem oni najwyraźniej są tutaj, a my nie mamy pojęcia gdzie.

– Dlatego nie możemy pozwolić, żebyś się oddalił – wyjaśnia Golf. – Nie możemy sobie pozwolić na stratę jeszcze jednego z naszych ludzi.

– Musimy się stąd wydostać – mówi trzeci mężczyzna. – Musimy dostać ten cholerny autobus, i to jak najprędzej. Powiedziałem negocjatorowi, że mają się pospieszyć, jeśli nie chcą, żeby zginęło jeszcze więcej ludzi.

Autobus? Czy oni gadają jakimś slangiem? Miranda wymienia z Grace pytające spojrzenia. Autobus nie wydaje się idealnym pojazdem do ucieczki. Jest wolny, ciężki, ma ogromny promień skrętu... Nagle Miranda pojmuje. Jedyną zaletą autobusu jest jego ładowność, można nim przewieźć sporą grupę ludzi. Mordercy planują więc zabrać ze sobą przynajmniej niektórych zakładników.

Gdzieś wśród gwaru ludzkich głosów pojawia się inny dźwięk. Miranda przechyla głowę, żeby lepiej słyszeć. Nie potrafi umiejscowić tego dźwięku. Zupełnie jakby ktoś zostawił wąż, z którego płynie woda.

Javier puka ją w ramię i wskazuje coś po przeciwnej stronie. Naprzeciw nich na drugim piętrze widać szeroko otwarte drzwi z napisem OCHRONA OBIEKTU, a tuż za progiem, z twarzami skierowanymi ku podłodze, leżą bez ruchu dwaj umundurowani mężczyźni. Jeden jest całkiem łyсы z wyjątkiem półkola siwych włosów. Miranda mijala go dziesiątki razy, pilnując się, by nie patrzeć mu w oczy ani też nie odwracać wzroku.

Wcześniej zastanawiała się, czy współpracownicy tego ochroniarza, który zabrał Aminę, również uczestniczą w całym procederze, ale widok ich nieruchomych ciał rozwiewa jej wątpliwości. Wygląda na to, że zostali zaskoczeni. Jeśli już musisz umrzeć, to może lepiej być nieświadomym aż do końca albo nawet w samej chwili śmierci?

Miranda odwraca spojrzenie z powrotem ku Cole'owi. Udaje sama przed sobą, że nie dostrzega ciał leżących w strefie restauracyjnej ani zwłok strażników w biurze ochrony. Udaje, że brak Oxy wcale nie przyprawia jej o dreszcze ani nie jest powodem mdłości.

Cole dociera do donicy i podnosi się na kolana. Jedną ręką rozsuwa liście, drugą zanurza w gęstwinę i nagle w jego dłoni pojawia się karabin. Matowy i czarny jak

smoła. Jego kolba kończy się płaskim, wydłużonym prostokątem. Miranda przypuszcza, że dzięki temu łatwiej opierać broń o ramię. Na przodzie, przed cynglem, widać zaokrąglenie magazynka. Broń wygląda na w pełni profesjonalną. Bez wątplenia została stworzona jedynie do zabijania.

Cole zaczyna pełznąć z powrotem, ale trudno jest się czołgać z karabinem w ręku. Spogląda w dół, na strefę restauracyjną, a kiedy przekonuje się, że nikogo tam nie ma, wstaje na nogi i przyciśnięty do ściany podąża do miejsca, z którego wyruszył.

– Powtarzam, że musimy ustalić, gdzie są gliniarze – odzywa się Zulu podniesionym głosem. – Co będzie, jeśli zamierzają wciągnąć nas w pułapkę, żeby odpłacić nam za tamtą małą niespodziankę?

– Zaczekaj, spróbuję wywołać Karla – mówi Golf. – Kilo, słyszysz mnie? Kilo, odbiór!

Jeden z zabójców wkracza w pole widzenia Mirandy, a wtedy ona odruchowo wstrzymuje oddech. Skoro ona może go zobaczyć, to znaczy, że on może zobaczyć ich. Wystarczy, że podniesie na chwilę głowę. Idzie dość nerwowym krokiem i wciąż rozgląda się na boki, może mu więc przyjść na myśl, żeby zerknąć także na górne piętro. Muszą zniknąć z widoku, i to zaraz. Natychmiast.

Ona, Grace i Javier wycofują się, ale mimo wszystko przeszywa ją dreszcz przerażenia. Nie ma sposobu, żeby zdołali ostrzec Cole'a.

Jednak kiedy on dostrzega ich zachowanie, natychmiast opada na kolana i tak posuwa się naprzód, pchając przed sobą karabin.

Miranda wsuwa się do najbliższego biura. Jest dość małe, stoi tu zaledwie jedno biurko i trzy krzesła. Inni idą w jej ślady. Kiedy Cole wpełza do środka, Grace zamyka drzwi, zanim Miranda zdąży ją ostrzec, że ruch może ściągnąć spojrzenie zamachowca.

A jeśli on zdążył ich zauważyć? Miranda chwyta wąski biały segregator z napisem „Faktury rok dwa tysiące siedemnasty”, kładzie na podłodze i wsuwa grzbietem pod drzwi, aż do oporu. To taka prowizoryczna blokada. Jeśli ktoś wejdzie na górę i naciśnie klamkę, drzwi łatwo nie ustąpią. Cole kiwa głową na znak aprobaty.

Miranda czuje przyływ dumy. Jednak po chwili dochodzi do wniosku, że jeśli mordercy nabiorą podejrzeń, po prostu przestrelą drzwi.

– Więc to jest AK-47? – pyta, spoglądając na karabin leżący na wykładzinie obok Cole'a.

Cole wzrusza ramionami.

– To AR-15.

– Co robiłeś tu na górze, że widziałeś ten karabin? – dopytuje się Grace.

W jej głosie słyhać napięcie ostatnich kilku godzin.

– Hmm... doręczałem towar. Pracuję w firmie, która zaopatruje biura.

Javier kiwa głową.

– Tak mi się zdawało, że już cię wcześniej widziałem.

– Zauważyłem ten karabin, kiedy próbowałem się stąd wydostać – mówi Cole. – Oni chyba zostawili go dla kogoś, kto po prostu nie przyszedł. Może dla kogoś, kto się wycofał.

Miranda przypomina sobie kominiarkę, którą widziała na podłodze w pobliżu karabinu.

– Nie sądzę, żeby ten sprzęt czekał na kogoś, kto nie przyszedł. Raczej ktoś zdążył to założyć, a potem doszedł do wniosku, że woli to zdjąć. I pozbył się ekwipunku w najprostszy sposób. Najpierw porzucił karabin, potem kamizelkę samobójcy, a na końcu zostawił kominiarkę.

– Możesz mieć rację. – Cole prostuje plecy. – Hej, może zacznę udawać, że to ja nim jestem! Tym facetem, który to zostawił! Założę kamizelkę i kominiarkę, a potem podejść do bramki. Nie sądzę, żeby odróżnili mnie od gościa, którego szukają, przynajmniej nie na pierwszy rzut oka. Jeśli nie będę się odzywał, mogą się nie zorientować aż do chwili, gdy już będzie za późno.

Zaciska usta w wąską kreskę.

– Wtedy zrobię to, co muszę zrobić.

Javier marszczy brwi. Wygląda na zaniepokojonego.

– Albo oni po prostu cię zabiją.

Miranda zastanawia się, czy pomysł Cole'a w ogóle ma szanse powodzenia, kiedy odzywa się Grace.

– Tak, tylko kiedy założysz tę kamizelkę i kominiarkę, niczego nie będziesz udawał. Bo to ty nosiłeś je na samym początku. Jesteś jednym z nich, zgadza się?

W ogłuszającej ciszy, która zapada po jej słowach, Grace nagle rzuca się na Cole'a. Zaciska dłonie na jego gardle.

– To ty zabiłeś moją mamę!

# Naprawdę wierzyłeś

godzina 18.12

**P**rzemoczony do suchej nitki, przyciskając do piersi gaśnicę, Parker czeka w napięciu, aż któryś z zabójców wpadnie na zaplecze sklepu Van Duyn.

Czeka.

I czeka.

W końcu nie może wytrzymać ani chwili dłużej. Woda ze zraszacza, uderzając o podłogę, huczy niczym wodospad, ale z jakiegoś powodu nie wzbudza to niczyjego zainteresowania. Parker uchyla odrobinę drzwi pracowni i po sekundzie przykuca za sklepową ladą. Pełźnie do głównej części sklepu, popychając przed sobą gaśnicę. Jego mały palec lewej ręki wygląda na złamany, tyłek wciąż jest odrętwiały i obolały, a lewe oko pulsuje w rytm uderzeń serca. Doskwiera mu każda część ciała.

Posuwając się ciągle na kolanach, ośmiela się wyjrzeć za próg sklepu. Mordercy stoją całą gromadą przy bramce, zupełnie nie zwracając uwagi na zakładników. Większość z nich siedzi na podłodze, wyczerpana ciężkimi przeżyciami. Zaledwie kilkoro sprawia wrażenie czujnych i pełnych niepokoju. Rzucają na boki nerwowe spojrzenia, jakby starali się przewidzieć następny ruch swoich prześladowców.

– Kilo? Zgłoś się. Kilo? Słyszysz nas? – powtarza w kółko Wilk. – Odbiór!

Napięcie w jego głosie mówi Parkerowi, że Wilk nie po raz pierwszy powtarza te słowa.

Wszyscy podskakują z wrażenia, kiedy odbiornik nagle zaczyna trzeszczeć.

– Tutaj Kilo – odzywa się głos z oddali. – Odbiór.

Po drugiej stronie holu wewnątrz salonu AT&T powoli zaczyna wypełniać się gęstym, szarym dymem. Parker w przelocie dostrzega chłopaka, który tam pracuje, jak klęczy za ladą i co chwila dokłada do ognia stosy jakichś formularzy. Spoglądając na pożar w salonie AT&T, Parker zaczyna żałować, że zamiast porządnie rozpaścić swój ogień pozwolił, by jedynie się tlił, a sam zajmował się uaktywnieniem zraszacza. Teraz dym powoli zaczyna wydobywać się do holu, lecz napastnicy nie zwracają na to uwagi, wciąż zajęci rozmową z kimś, kto najwyraźniej jest ich dowódcą.

– Jak sprawy wyglądają na lotnisku? Czy nasi ludzie już tam dotarli? – pyta Wilk. – Co z samolotem? Odbiór.

– Z samolotem? – jak echo powtarza Kilo. – Naprawdę wierzyłeś w to, że przyleci tu jakiś samolot? Może wierzysz także w Zająca Wielkanocnego i Świętego Mikołaja?

Po sekundzie pełnej napięcia ciszy wszyscy czterej zamachowcy zaczynają mówić jednocześnie, przeklinając i domagając się wyjaśnień, co właściwie Kilo miał na myśli.

Głos Kilo włącza się w dyskusję, a jego spokojny ton kontrastuje mocno z głosami pozostałych.

– Czy naprawdę uważacie, że ten plan wypali? Że gliny i FBI pozwolą wam wyjechać stąd autobusem – autobusem! – z tuzinem zakładników na pokładzie? Że dadzą wam samolot i pozwolą odlecieć w siną dal?

Jego śmiech jest sztuczny, pretensjonalny.

– Jeśli tak, chłopcy, to jesteście jeszcze głupszy, niż przypuszczałem. Nie ma mowy, żeby wasz plan się powiódł. Zostaliście uznani za terrorystów, mimo że jesteście Amerykanami. Pamiętajcie, że agencje rządowe nie prowadzą negocjacji z terrorystami.

– Dlaczego wciąż powtarzasz: „wy”? – denerwuje się Myszka. – Przecież ty także tkwisz w tym po uszy! Jeśli my jesteśmy terrorystami, to ty także nim jesteś!

– Wybacz, braciszku. Ty jesteś jedynie marionetką, która miała odwrócić uwagę glin. Ja to całkiem co innego. Rozumiesz, miałem na oku mały projekt wart parę milionów dolarów w złocie. Jedynym problemem było to, jak nawiać ze złotem i nie dać się złapać. I właśnie chciałem wam serdecznie podziękować. Bo czego dziś udało się wam dokonać? Zapewniliście robotę każdemu gliniarzowi, zastępcy szeryfa i agentowi FBI w promieniu wielu kilometrów. Dzięki wam byli zajęci jak diabli w centrum handlowym i nie mieli czasu zajmować się takim szarakiem jak ja.

– Zaczekaj... – mówi powoli Laska. – To kiedy przylatuje ten samolot?

– Idiota! – Ron daje mu kuksańca w ramię. – Nie rozumiesz? On wystrychnął nas na dudków!

– A co z naszą sprawą? – pyta Wilk.

– Z jaką sprawą? – odpowiada Kilo. – Nikogo to nie obchodzi, braciszku. Nic się nie zmieni. Timothy MacVeigh wysadził w powietrze Murrah Federal Building w Oklahomie, zabijając stu sześćdziesięciu ośmiu ludzi. Myślał, że wzniesi powstanie przeciwko rządowi. Jedyne, co uzyskał, to zastrzyk z trucizną. A co powiecie o jedenastym września? Dwa pieprzone wieżowce runęły i prawie trzy tysiące osób straciło życie. Czy potem nastąpiły jakieś fundamentalne zmiany? Nie!

– Mimo wszystko nasze przesłanie pójdzie w świat – upiera się Myszka, chociaż głos mu drży.

– Kiedyś byłem tacy jak wy, chłopcy – mówi Kilo. – Myślałem, że ludzie będą mnie słuchać. Ale oni nie mieli zamiaru się zmienić. Po prostu nie chcą się zmieniać. Lubią kupować gówniane rzeczy. Lubią programy dla półmózgów w telewizji. Lubią interesować się głupawymi celebrytami. Tak naprawdę gówno ich obchodzi, czy politycy kłamią albo czy armia wysyła biedne dzieciaki na drugi koniec świata, żeby tam umierały... Oni nie chcą wiedzieć, co tak naprawdę rządzi naszym światem. Przynajmniej dopóty, dopóki mogą żyć w tym swoim zafajdanym komforcie... – Prycha z rozbawieniem. – Wiecie co? Doszedłem do wniosku, że ja wcale się od nich nie różnię.

Wilk potrząsa głową, jakby Kilo mógł go zobaczyć.

– Właśnie w tym momencie informacja o nas pojawia się w każdym dzienniku telewizyjnym i w każdej stacji – powtarza z uporem. – Nasz manifest znajdzie się na antenie. Chcąc nie chcąc, ludzie dowiedzą się, o co nam chodzi.

– Tak, ale ta zabawa wkrótce dobiegnie końca, ponieważ wszyscy zostaniecie zabici – wtrąca Kilo suchym, rzeczowym tonem. – Ludzie przestaną zajmować się wami i przejdą do kolejnej rozrywki.

– Chciałbyś! – warczy Laska. – Powiemy glinom, że to był twój pomysł! To ty wszystko zaplanowałeś!

– Niestety, Timmy, chyba ci się to nie uda, ponieważ nasze drogi właśnie się rozchodzą – odpowiada Kilo.

– Tak – mówi z goryczą Wilk. – Sytuacja zrobiła się beznadziejna, więc po prostu nas zostawiasz na pastwę losu.

– Nie do końca to miałem na my... – zaczyna Kilo, ale ostatnią sylabę zagłusza donośna eksplozja.

# Tylko kilka centymetrów

godzina 18.12

**W**szyscy zastygają w bezruchu, kiedy ręce Grace zaciskają się na szyi Cole'a. Miranda spogląda na drzwi. Czy okrzyk Grace mógł zdradzić ich obecność?

– Ciii, Grace... bo oni cię usłyszą.

– Mam gdzieś, czy ktoś mnie usłyszy! – Oczy Grace błyszczą od powstrzymywanych łez, ale palce zaciśnięte na gardle Cole'a nie cofają się ani o milimetr. – To właśnie on – Cole czy jak tam, do diabła, ma na imię – zastrzelił moją mamę!

Cole otwiera usta, ale wydobywa z nich tylko zdławiony charkot.

W pamięci Mirandy odtwarza się cały przebieg dramatycznych wydarzeń, jak obraz złożony z tysiąca małych zdjęć, które można połączyć w całość dopiero wówczas, gdy cofnie się o krok. To całkiem możliwe. Ale przecież nie może być prawdą? Czuje, jak żebra zamykają się wokół jej serca niczym zaciśnięta pięść.

I nagle wszystko staje się jasne.

– Ten Nicolas, którego nie mogli znaleźć... – mówi. – To przecież on! Nazwali go November, bo posługują się wojskowym alfabetem, ale tak naprawdę to jest Nicolas. Nick-Cole-Us. Cole.

Szare oczy Cole'a niemal wyłazą z orbit, a twarz przybiera odcień ciemnej czerwieni. Na czole pulsuje mu żyła. Ale mimo to nie walczy, nie próbuje nawet oderwać rąk Grace od swojej szyi, choć wydaje się, że dziewczyna ma zamiar go zabić. Zamiast walczyć intensywnie wpatruje się w jej oczy.

Miranda nie może spokojnie patrzeć, jak w jej obecności znowu ktoś umiera. Pochyliła się i szepcze do ucha Grace:

– Puść go, Grace. No dalej, puść go...

Delikatnie stara się rozsypać uścisk, ale palce Grace są sztywne jak drut.

– To nie rozwiąże naszych problemów... Nie zwróci życia twojej mamie...

W końcu Grace puszcza Cole'a.

I natychmiast sięga po karabin.

Do diabła, nie! Miranda daje radę ją uprzedzić. Chwyta broń i w ułamku sekundy wbija wylot lufy prosto w pierś Cole'a. Nie chce jego śmierci, ale w tej chwili nie ma nic przeciwko temu, żeby zostawić mu pamiątkę w postaci paru siniaków. Na wszelki wypadek nie trzyma palca na spuście.

Inaczej niż w scenariuszu, który przerabiali wcześniej, Cole nie próbuje udawać, że się poddaje, podczas gdy w rzeczywistości ma zamiar odzyskać broń. W ogóle nie podnosi rąk, nawet nie stara się wytrzeć krwi ciekącej mu po szyi z czerwonych półksiężyców, które zostawiły na jego skórze paznokcie Grace.

Wreszcie decyduje się odezwać. Przynajmniej stara się to zrobić.

– Ja... nie... rozumiecie... ja... – jąka się.

– Och, rozumiem – mówi Miranda. – Wiedziałeś, że tu znajduje się karabin, ponieważ to był twój karabin! I wiedziałeś dokładnie, gdzie on jest, ponieważ to ty go tutaj zostawiłeś!

Grace prycha z pogardą.

– Tak? Więc zastrzeliłeś moją mamę, a potem obleciał cię strach? Porzuciłeś karabin, zdjąłeś kamizelkę i kominiarkę? Potem zacząłeś udawać, że jesteś jednym z nas. Udawałeś, że jesteś człowiekiem.

Cole nie odpowiada. Ale w jego bladych oczach coś się pojawia i Miranda mogłaby przysiąc, że to smutek i żal.

Javier miota przekleństwa.

– Kim ty jesteś, stary? Do cholery, czy faktycznie jesteś jednym z nich?!

– Jesteś ich bratem, zgadza się? – mówi Miranda. – Chociaż mówiłeś, że twoi bracia nie żyją.

Naprawdę tak powiedział? A może powiedział tylko, że jego bracia służyli w armii, spoglądając przy tym w stronę strefy restauracyjnej, ona zaś błędnie zrozumiała, co oznacza czas przeszły?

Cole prostuje się na tyle, na ile pozwala mu lufa, która przyciska go do ściany.

– W niczym wam nie skłamałem.

– Och, więc kłamstwo nie mieści się w twoim pojęciu moralności, ale zabicie mojej mamy już tak? – szydzi z niego Grace.

– Posłuchajcie, wszystko, co wam mówiłem, jest prawdą. Moi rodzice zmarli, tak jak wam opowiedziałem. Moi dwaj bracia, Gabriel i Zach – Golf i Zulu, powtarza w myślach Miranda – służyli w armii. Dorastałem w przekonaniu, że chcę być taki jak oni. Tylko że kiedy zostali zwolnieni ze służby, nie mogli nigdzie znaleźć pracy.



Jedyna robota, jaką udało im się złapać, to praca w ochronie w tym zawieszonym centrum handlowym, gdzie każdy nazywał ich niedorobionymi gliniarzami i robił sobie z nich jaja. Ale oni otworzyli mi oczy. Dzięki nim wiem, co się wyprawia w szerokim świecie. I co tak naprawdę dzieje się w naszym kraju. Dołączyliśmy do grupy ludzi, którzy myślą tak samo jak my. Facet o imieniu Karl jest naszym dowódcą. To on wybrał to centrum, ponieważ pracują tutaj moi bracia i Ron, czyli ten facet, który złapał Aminę. Udało im się namówić innych ochroniarzy, żeby się do nas przyłączyli.

Cole zagryza wargi, aż całkiem znikają.

– Karl mówił, że to jedyny sposób, żeby zmusić Amerykę do słuchania... Zrobić coś tak niesamowitego, żeby nikt nie mógł przejść obojętnie. I wszystko, co mówił, naprawdę miało sens, mogę wam to przysiąc. Ale dzisiaj... – Głos odmawia mu posłuszeństwa, ale po chwili Cole znów próbuje: – Dzisiaj, kiedy... Po tym, jak ja...

Przenosi spojrzenie od Mirandy na Javiera, aż w końcu jego wzrok spoczywa na Grace. Otwiera usta, zamyka i znowu otwiera i zamyka.

– No i co? – warkliwie pyta Grace. – No dalej, możesz kontynuować. „Po tym, jak już zastrzeliłem twoją mamę...” Zrobiłeś coś ohydneho i teraz okazuje się, że brak ci cywilnej odwagi, żeby się do tego przyznać? Żeby z tym żyć?

– Ja... ja strasznie żałuję... – Cole mruga i po chwili po jego policzku płynie samotna łza. – Kiedy to zrobiłem, od razu wiedziałem, że to był straszny błąd.

Pełen niedowierzania uśmiech Grace przypomina ranę po cięciu nożem.

– Niestety twój żal niczego nie zmienia. Prawdę powiedziawszy, wręcz wszystko pogarsza. – Grace gwałtownie potrząsa głową. – Bo gdybyś pomyślał wcześniej, że będziesz żałował, to może to wszystko by się nie wydarzyło. Albo przynajmniej moja mama wciąż by żyła.

Cole wykrzywia usta.

– Co twoim zdaniem można zrobić, kiedy człowiek popełni błąd? Kiedy zrobisz coś złego i już nie możesz tego cofnąć ani w żaden sposób naprawić? Bo to już się stało. Już jest po wszystkim.

Jego głos nabrzmiwa łzami.

– Starłem się uratować tych, których mogłem. I kiedy cię spotkałem, pomyślałem, że może uda mi się nas stąd wydostać. Albo wydostać przynajmniej ciebie. Potem okazało się, że nie mogłem zrobić nawet tego.

Miranda myśli o chwili, kiedy tamten ochroniarz złapał Aminę. I o tym, jak Cole zostawił wtedy ją i Javiera. Bez namysłu szturcha go łufą.

– Ty cholerny łgarzu, nawet nie próbowałeś! Wprowadziłeś nas prosto w pułapkę!

– Jeśli kłamię, to dlaczego uciekałem, kiedy Ron złapał Aminę? Dlaczego nie pomogłem mu was schwytać? Wszystko, na czym mi zależało, to pomóc wam znaleźć drogę ucieczki. Ale wy mi na to nie pozwoliliście. Po prostu musieliście po nią wrócić. To była wasza decyzja, żeby swój los złączyć z jej losem.

– Złączyć z jej losem? – powtarza jak echo Grace. – Więc według ciebie powinniśmy zostawić ją i pozwolić, żeby zginęła?

– Co według ciebie jest lepsze? Śmierć jednej osoby czy pięciu? Nawiasem mówiąc, wcale nie kłamałem, kiedy mówiłem, że według mnie oni jej nie zastrzelą. Tak, na początku musiało być parę ofiar, ale dalszy plan przewidywał, że mamy zachować zakładników przy życiu i użyć ich jako karty przetargowej. – Cole bierze głęboki oddech. – Najwyraźniej nie wiedziałem o wszystkich planach. Na przykład nie miałem pojęcia, że oni chcą wysadzić w powietrze tamtych gliniarzy.

– I co, powstrzymałbyś ich, gdybyś wiedział? – pyta z naciskiem Javier.

Cole milczy przez chwilę, ale to milczenie stanowi wystarczającą odpowiedź.

Miranda nie czeka, aż Cole znów się odezwie.

– Oni mówili coś na temat autobusu i samolotu. Wiesz coś o tym? Co teraz się wydarzy?

– Zażądaliśmy transportu, żeby przewieźć zakładników na lotnisko. Poza tym władze miały zwolnić z więzienia trzech przyjaciół moich braci i ich także dostarczyć na lotnisko. Po wejściu na pokład samolotu mieliśmy zwolnić połowę zakładników, a potem wystartować i dokądś polecieć – nigdy nie dowiedziałem się dokąd. Po wylądowaniu pozostali zakładnicy mieli odzyskać wolność.

– Czy ty naprawdę wierzyłeś, że to wszystko się wydarzy? – pyta Javier bezbarwnym głosem.

Cole nie odpowiada.

Miranda od pewnego czasu intensywnie nad czymś rozmyśla.

– No dobrze, teraz musimy wprowadzić w życie ten durny plan, który wymyśliłeś. Oczywiście z pewnymi modyfikacjami. Zejdziemy z tobą na dół. Nie założysz kominiarki ani kamizelki. Powiemy tamtym, że zabijemy cię, jeśli nie otworzą wyjść. Tej metalowej bariery i wszystkich drzwi.

Trąca go lufą karabinu.

– No, jeśli się nie zgodzą, to chociaż ja udowodnię, co to znaczy dotrzymywać obietnic.

– Czy ty w ogóle wiesz, jak się z tego strzela? – pyta Cole.

Miranda wzrusza ramionami.

– To chyba nie ma większego znaczenia, skoro od celu dzieli mnie tylko kilka centymetrów?

# Już go nie ma

godzina 18.16

**S**zkło roztrzaskuje się w drobny mak. Mimo iż Parker klęczy na obu kolanach, fala uderzeniowa prawie przewraca go na podłogę.

Czy to była następna bomba? Chmura białego dymu spowija grupę zamachowców, a w powietrzu unosi się zapach... zapach grilla?

Kiedy dym zaczyna się rozrzedzać, Parker mruga. Laski nie ma. Już go nie ma. W miejscu, gdzie przed chwilą stał, leży teraz poszarpany tułów odziany w resztki kamizelki samobójcy. Kilka metrów od Parkera spoczywa ręka. Sama ręka, niepołączona z resztą ciała.

Ron krzywi się z obrzydzeniem i odsuwa od ciała kolegi.

Poprzez dzwonienie w uszach, spowodowane bliskim wybuchem, Parker słyszy, jak zakładnicy krzyczą z przerażenia. Dziewczyna z Uniwersytetu Stanforda przyciska buzię Moxie do brzucha.

Myszka klnie.

– Psiakrew, dlaczego Timmy odpalił tę cholerną kamizelkę?!

– Nie odpalił! – krzyczy Wilk, rozrywając paski swojej kamizelki. Jego karabin z brzękiem uderza o podłogę i sekundę później Wilk rzuca swoją kamizelkę w kierunku strefy restauracyjnej. Kamizelka eksploduje w powietrzu. Idąc za przykładem Wilka, Myszka w popłochu grzebie przy zapięciach swojego ekwipunku, jednak odgłos następnej eksplozji dobiega z dalszej odległości. Myszka daje radę uwolnić się i cisnąć kamizelkę tuż przed jej wybuchem.

Kiedy wszyscy zamierają, sparaliżowani szokiem, Szpilka boso startuje w stronę leżącego pod ławką karabinu Laski. Rzuca się baseballowym ślizgiem i wyciąga rękę.

Jednak zanim zdąży zacisnąć palce na broni, Ron podbiega i przygniata ją nogą. Jednocześnie przekręca na ramieniu własny karabin, podczas gdy Szpilka rozpaczliwie usiłuje się wycofać.

Nie! Parker już spieszy z odsieczą. Kieruje wąż gaśnicy prosto w twarz Rona i kciukiem zwalnia spust.

Z końcówki czarnego węża z cichym świstem wydobywa się bladożółty proszek. Ma on tak ścisłą strukturę, że wydaje się niemal płynny. Ron krzyczy i natychmiast zaczyna dławić się i charczeć. Zza chmury pyłu ledwie widać jego rysy. Nie wypuszczając karabinu z prawej ręki, lewą usiłuje naciągnąć na nos i usta swoją koszulę.

Trująca żółta chmura zaczyna spowijać także Parkera. Chłopak zanosi się kaszlem, ale nie opuszcza dłoni z gaśnicą. Musi powstrzymać tego faceta od zabicia Szpilki. Od zabicia ich wszystkich.

W tym czasie Szpilce udaje się wstać z podłogi. Od razu rzuca się do ucieczki. Ron strzela na oślep i pociski rozpruwają podłogę tuż za jej piętami, lecz nie trafiają do celu.

Z boku z upiornym wrzaskiem na Rona rzuca się Tunel. Chwyta za lufę karabinu, wykręca ją w dół, a następnie wrywa go z rąk bandyty.

– Wszyscy stać! – ryczy Wilk z drugiej strony kraty.

– Nie! Nie słuchajcie go! – wrzeszczy równie głośno Szpilka. – Nie róbcie niczego, co wam każe! Nadszedł czas, żeby walczyć!

Sięga w głąb otwartej torby na zakupy i wysokim łukiem rzuca jakiś przedmiot wielkości grejpfruta. Przedmiot przelatuje pomiędzy otworami kraty i trafia Wilka prosto w podbródek. Wygląda jak okrągła buteleczka z żółtym balsamem do ciała. Wilk zatacza się w tył, chyba bardziej z zaskoczenia niż z bólu.

Tunel nie należał do grona osób, które twierdziły, że mają doświadczenie w posługiwaniu się bronią, i teraz najwyraźniej nie wie, co zrobić ze zdobytym karabinem. Kieruje lufę w stronę Rona, lecz Ron osuwa się na kolana, wstrząsany napadami kaszlu. To jasne, że nie stanowi już zagrożenia. Tunel obraca się z karabinem wokół własnej osi, żeby wycelować go w zamachowców po drugiej stronie kraty, lecz na linii strzału są spanikowani zakładnicy. Niezdecydowany odwraca się to w jedną, to w drugą stronę.

Nawet kiedy Ron jest już na kolanach, Parker nie wypuszcza gaśnicy z rąk.

– Mam nóż! – krzyczy do Szpilki. – Jest na plecach, pod koszulką!

Szpilka podbiega do niego i Parker czuje, jak unosi lepki od potu materiał, a potem wsadza palce pod pasek jego spodni.

Ściskając w rękę nóż, Szpilka rzuca się do przeszklonych drzwi wejściowych. Pada na kolana między dwojgiem zakładników i zaczyna uderzać trzonkiem noża w dolny róg szyby.

Nagle gaśnica zaczyna się krztusić i pryskać resztkami zawartości. Ron leży zwinięty w kłębek na podłodze. Parker nadal kieruje strumień proszku w jego stronę,

jednak decyduje się na moment odwrócić głowę i szybko sprawdzić, co się dzieje wokół. Wszyscy są w ruchu. Niektórzy rzucają, czym popadnie, w Wilka i Myszkę, inni w panice biegają, zataczając szalone koła. Kilka osób próbuje skryć się w sklepach, chowają się za ich wyposażeniem, nawet za innymi osobami.

Gaśnica nadal syczy, ale już nic się z niej nie wydobywa. Jest pusta.

W końcu Parker zdejmuje kciuk ze spustu i podnosi głowę. Coś się dzieje przy drugim końcu kraty, coraz więcej zakładników spogląda w tamtą stronę. Wilk i Myszka odwrócili się plecami i także spoglądają w kierunku strefy restauracyjnej.

Parker podąża wzrokiem za ich spojrzeniami. Widzi, że zmierzają ku nim jacyś ludzie, mijając przewrócone stoliki i rozrzucone krzesła, a także leżące tu i ówdzie ciała. Na przedzie kroczy chłopak w baseballowej czapce i z uniesionymi nad głowę rękoma. Za nim idzie dziewczyna ubrana w dżinsy i luźny czerwony sweter. Trzyma w ręku automatyczny karabin i co kilka kroków dźga nim plecy idącego przed nią chłopaka.

To Miranda. Więc ona żyje! Nagły przypływ szczęścia zalewa serce Parkera.

Mruży oczy. Za Mirandą idą jeszcze dwie osoby. Jedna to pomocnik kelnera z knajpki w strefie restauracyjnej. Wyraźnie kuleje, a jego noga obwiązana jest czymś w rodzaju bandaża. Za nim kroczy szczupła dziewczyna w bluzce poplamionej krwią.

– Otwierać bramkę! – żąda Miranda. – Natychmiast! Albo zastrzelę waszego brata!

# Nie ustępuje

godzina 18.20

**O**dłóżcie broń i otwórzcie bramkę. – Parker słyszy, jak Miranda powtarza wezwanie.  
– W przeciwnym razie wasz brat umrze.

Jej twarz jest blada i spokojna, niemal jak maska, lecz głos drży z napięcia.

Dla podkreślenia swoich słów szturcha chłopaka w baseballówce tak mocno, że ten zatacza się do przodu. Jest wysoki i smukły, ma bladoniebieskie oczy. Takie same jak oczy Myszki i Wilka.

– Jesteś cały, Cole? – pyta Myszka.

– Proszę, zróbcie, co wam każe – głos Cole’a się łamie. – Ona nie żartuje.

Parker kątem oka rejestruje jakiś ruch. To Ron zdołał podnieść się z podłogi. Teraz zatacza się do tyłu, zgięty wpół, a po jego pokrytej żółtym pyłem twarzy płyną łzy zmieszane z glutami. Trzymając się jedną ręką ściany, skręca za róg, do dziennego spa.

Parker rusza w ślad za nim. Woli mieć go na oku, choć w jego bronii nie ma już amunicji.

W holu panuje chaos. Powietrze przesycone jest mydlanym zapachem proszku z gaśnicy, który miesza się ze swędem dymu z salonu AT&T, gdzie zraszacz wciąż się nie uruchomił. Za to ze sklepu Van Duyn dobiega ogłuszający łoskot wody.

Ale teraz, kiedy kamizelka Laski eksplodowała, Parker zajął się Ronem, zaś Miranda trzyma na muszce jednego z napastników, wydając pozostałym polecenia, już nie trzeba odwracać uwagi zamachowców.

Z gaśnicą w ręku Parker wkracza do salonu spa. Parę kroków przed nim Ron zatacza się obok blatu recepcji, zmierzając w stronę pierwszej z pół tuzina czarnych umywalek do mycia włosów. Swoimi muskularnymi łapskami chwyta za brzeg zlewu i zaczyna wymiotować. Nawet jego wymiociny mają jasnożółty kolor. Ciekawe, jakiego rodzaju chemikalia zawiera proszek z gaśnicy? – zastanawia się Parker. Czy można od nich umrzeć? Wciąż dławiąc się od kaszlu, Ron odkręca kran i podsuwa twarz pod strumień zimnej wody.

Wzrok Parkera przyciąga zestaw narzędzi rozłożony na białym ręczniku, widoczny za Ronem. Przypominają mu one narzędzia chirurgiczne z medycznych dramatów, które leczą w telewizji, ale ponieważ obok dostrzega gablotkę z kolorowymi lakierami do paznokci, dochodzi do wniosku, że jest to zestaw do manicure'u. Nagle mruży oczy. Jeden z przyrządów wygląda jak mała, fioletowa wiertarka. Przybliżyła się. To faktycznie jest wiertarka, wyposażona w malutką końcówkę w kształcie łopaty.

Parker wygląda do głównego holu. Szpilka klęczy na podłodze. Uwolniła ręce z więzów i nadal uderza trzonkiem noża w szklane drzwi. Mimo że tłucze z dużą siłą, ryzykując, że nóż odskoczy, trafiając ją prosto w pierś, jej wysiłki nie przynoszą rezultatu. Szyba nie ustępuje.

Parker chwyta wiertarkę do manicure'u i biegnie w stronę wyjścia ze spa. Zdaje sobie sprawę, że nawet nie wie, jak Szpilka ma na imię.

– Hej! Hej! – wykrzykuje, dopóki ona nie podnosi wzroku. – Spróbuj tym!

Schyła się i ślizgiem posyła po podłodze wiertarkę. Szpilka wyciąga rękę, łapie urządzenie, a jej twarz się rozpromienia.

Kiedy Parker z powrotem odwraca się w stronę spa, woda w umywalce do mycia włosów jest nadal odkręcona, ale Ron gdzieś zniknął.

Nie! Parker obraca się wokół własnej osi, jego oddech coraz bardziej przyspiesza. Dokąd ten drań mógł pójść?

Jest! Jego wzrok wyłapuje z tłumu w głównej części holu czarny pas z kieszonkami i niebieską koszulkę z poliestru, teraz poplamioną wodą i żółtymi chemikaliami. Choć były ochroniarz nie ma w ręku broni, tłumek rozstępuje się przed nim w popłochu. Parker bez namysłu rzuca się w pościg.

W drugim końcu holu Wilk i jego brat stoją z uniesionymi rękoma, podczas gdy Myszka mocuje się z zamkiem spinającym bramkę bezpieczeństwa. Wszystko to odbywa się pod czujnym okiem Mirandy i pomocnika kelnera, któremu gdzieś udało się zdobyć rewolwer.

Parker jest mniej więcej dwadzieścia kroków za Ronem, gdy ten sięga ręką i wyciąga z tłumu jakąś dziewczynę. To Amina, ekspedientka ze sklepu Culpeppersów. Ron obejmuje jej szyję prawym ramieniem. Gdy unosi drugą rękę, światło pada na coś błyszczącego. To metalowy pilnik do paznokci. Parker został z tyłu, więc nie widzi dokładnie, co się dzieje, ale ma wrażenie, że bandyta przyciska pilnik do gardła Aminy. To znaczy, Parker ma nadzieję, że przyciska go do gardła dziewczyny, a nie zatapia w nim jego ostrze. Chłopak liczy na to, że Ron jest na tyle przytomny, by pomyśleć o swojej przyszłości. O tym, że życie Aminy może stanowić niezłą kartę przetargową.



Tunel drżącymi rękoma unosi karabin i celuje w kierunku jego pierwotnego właściciela. Ale każda kula, która trafi Rona, prawdopodobnie wcześniej przesyje Aminę. I to o ile Tunel ma dobrego celu. Jeśli nie, może ściąć tuzin znajdujących się dookoła osób, w tym także Parkera.

– Nie! – wrzeszczy Parker. – Nie strzelaj! To zbyt niebezpieczne!

Gdzieś za jego plecami rozlega się dźwięk roztrzaskującego się na kawałki szkła, który w ogólnym rozgardiaszu brzmi jak muzyczna fraza. Co, do diabła? Parker odwraca się w tamtą stronę. Szyba nareszcie ustąpiła. Szpilka wyrywa rękę z otworu, ale to bezpieczne szkło, rozbiło się na setki drobinek o tępych brzegach. Kruszy się i wypada z ramy coraz wyżej i wyżej. Szpilka owija rękę swetrem i zaczyna wybijać resztki z dolnej części drzwi.

Ron także gapi się w tamtym kierunku. Parker postanawia wykorzystać okazję. Bez zastanowienia rzuca się na większego od siebie faceta. Obiema rękoma trzyma jeden koniec opróżnionej gaśnicy, zamachując się nią jak maczugą. Celuje w głowę Rona, w przeciwną stronę niż ta, po której trzyma Aminę. Na szczęście dziewczyna jest na tyle niska, że sięga napastnikowi zaledwie do pachy.

Ron błyskawicznie podrywa ramię, blokując cios. Gaśnica uderza z donośnym plaśnięciem. Pilnik do paznokci wypada z rąk Rona, ale i Parkerowi wyslizguje się jego gaśnica, która uderza o podłogę jakieś trzy metry za plecami ochroniarza. Ron odwija się lewym sierpowym, Parker daje nura i uderzenie dosięga jedynie czubka jego głowy, lecz jest na tyle silne, że mierzwi mu włosy.

Amina sięga w tył i wbija paznokcie w twarz Rona. Na jego policzkach pojawiają się czerwone półksiężycy. Ron wrzeszczy z bólu. Amina wykorzystuje moment jego nieuwagi, wykręca się z uścisku i ucieka.

Teraz Ron i Parker stają oko w oko. Ochroniarz natychmiast ustawia się pod kątem i zaciskając pięści na wysokości twarzy, podskakuje i balansuje ciałem. Od razu staje się jasne, że musiał uprawiać boks. Jest wyższy od Parkera i ma większy niż chłopak zasięg ramion. Parker może i jest mistrzem w zapasach, ale na macie, w walce na określonych zasadach i pod okiem sędziego, poza tym z kimś w swojej kategorii wagowej. Kiedy gaśnica znalazła się poza jego zasięgiem, stracił jedyną przewagę, którą miał nad Ronem.

W ułamku sekundy rozważa wszystkie możliwości. Podcięcie nóg przeciwnikowi? No tak, ale co będzie, jeśli obaj zwałą się na podłogę? A może powinien spróbować walki w parterze, znaleźć się pod przeciwnikiem, unieść go i grzmotnąć nim o posadzkę? Jednak ta opcja wydaje mu się niewykonalna, ponieważ Ron jest cięższy przynajmniej o dwadzieścia kilogramów.

Wtedy wpada na pomysł. Chwył klamrowy od tyłu. Jak wszyscy zapaśnicy, Parker

ćwiczył mieszane sztuki walki. Tyle że teraz znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie i nie może pozwolić sobie na żaden błąd. Jeśli uda się wykonać ten manewr, może zdoła doprowadzić Rona do utraty przytomności. Jeśli nie, wylądują obaj na podłodze, a cięższy przeciwnik usiądzie na nim.

Jednak bez wątplenia to największa szansa, jaką ma.

Udając, że zamierza się z prawej strony, Parker ścina kąt i wyslizguje się na lewo. Chwyta Rona za prawe ramię i ciągnie tak długo, aż znajdzie się za plecami przeciwnika. Wtedy jak mała skacze mu na ramiona, jednocześnie prawe ramię owijając wokół jego szyi, a nogami oplatając pas.

Z Parkerem wiszącym mu na plecach Ron zatacza się do przodu, zgięty wpół. Palcami usiłuje oderwać od szyi przedramię Parkera, które nie pozwala mu zaczerpnąć powietrza. W tym czasie Parker lewą ręką popycha tył głowy Rona do przodu i w dół, napierając jednocześnie klatką piersiową. Nie ma pojęcia, co powinien zrobić, jeśli Ron zdoła go zrzucić. Jest wyczerpany, ledwo udaje mu się utrzymać równowagę. Nie ma już siły na dalszą walkę, ale wie, że nie wolno mu odpuścić. Porusza prawą ręką w prawo i w lewo, żeby lepiej dopasować ją do miejsca, gdzie przebiega tętnica szyjna, a potem krzyżuje ramiona i zamyka między nimi szyję Rona. Stękając z wysiłku, przyciąga łokcie coraz bliżej i bliżej.

Wreszcie Ron zaczyna charczeć i osuwa się na kolana. Parker ani na moment nie zwalnia uścisku. Jeszcze chwila i Ron pada twarzą na linoleum. Nawet nie próbuje się ruszyć. Dopiero wówczas Parker rozluźnia chwyt i rozplątuje nogi.

Wyciągając rękę spod bezwładnego ciała, powoli wstaje i na wszelki wypadek kopie Rona w bok, ale ochroniarz nie reaguje. Teraz Parker może rozejrzeć się dookoła i dostrzega Aminę, która trzyma w rękach gaśnicę, gotowa wkroczyć do akcji, gdyby Parker zaczął przegrywać walkę.

– Dziękuję – mówi.

Serce wali mu tak mocno, że czuje każde uderzenie w uszach i czubkach palców. Opiera dłonie na kolanach i nagle ogarnia go strach, że za chwilę zwali się na podłogę obok Rona.

– Jesteś cała? – pyta.

Oczy Aminy są wielkie i piękne. Z wysiłkiem kiwa głową.

– A ty?

# Na spuście

godzina 18.23

**C**o za chaos, myśli Miranda. Jej dłonie ślizgają się na kolbie karabinu, który należał niegdyś do Cole'a, kiedy przemaszerowują przez otwartą właśnie bramkę i wkraczają do holu. To jedyne słowo, jakie przychodzi jej do głowy na widok tego, co się tu dzieje. Układając swój plan, wyobrażała sobie, że wszyscy skupią uwagę na wypowiedzianej przez nią groźbie zastrzelenia Cole'a. Oczywiście kto mógł przewidzieć, że kamizelki z ładunkami wybuchowymi zaczną eksplodować jedna po drugiej. Na szczęście ta należąca do Cole'a znajdowała się na tyle daleko, że nikomu z jej towarzyszy nie wyrządziła krzywdy.

Dostrzegłszy szansę na ucieczkę, część zakładników przebiega teraz obok Mirandy, kierując się w stronę strefy restauracyjnej i galerii. Gość z ogoloną na łyso głową, który wyskoczył z Shoe Mill, miał nawet karabin, ale ponieważ nie wycelował go w Mirandę, przebiegając obok niej, doszła do wniosku, że nie będzie sobie zawracać nim głowy. W przeciwnym końcu holu grupa zakładników stara się przeczołgać przez część szklanych drzwi z wybitą szybą, które nadal spięte są linką do roweru.

Miranda trzyma się planu. Musi mieć pewność, że jej niewielka ekipa oraz Parker i Moxie wyjdą stąd bezpiecznie. Ignoruje smród dymu, huk spadającej na podłogę wody, widok nieżywego zakładnika i fragmenty ciała jednego z terrorystów, który zginął, kiedy jego kamizelka eksplodowała.

Wchodzą dalej w głąb holu. Miranda prowadzi przed sobą Cole'a oraz jego braci. Nagle ten mniejszy, noszący wojskowe imię Zulu, rzuca się w stronę ławki i coś spod niej wyciąga. Kiedy prostuje się i odwraca w stronę Mirandy, w rękach trzyma karabin.

Miranda zamiera. Skąd, do diabła, wzięła się tam ta broń? Musiała należeć do drania, który zginął. Wszystko wokół nagle zwalnia bieg. Z ostrością lasera Miranda widzi, jak Zulu trafia kciukiem na spust, ale ma wrażenie, że cały czas świata należy do niej, że zdąży odsunąć się na bok, żeby zejść z linii ognia. Z najdrobniejszymi szczegółami wyobraża sobie, jak pocisk przelatuje obok niej. Jej myśli płyną ospale, jak w sennym marzeniu.

I nagle dziewczyna z przerażeniem uświadamia sobie, że jej ciało tak naprawdę nie wykonuje żadnego ruchu. Że ona wcale nie stara się zrobić uniku. Nawet nie próbuje pociągnąć za spust karabinu, który trzyma w rękach. Zastyga w bezruchu, zupełnie jakby była widzem, który przyszedł popatrzeć, jak jej życie dobiega końca.

Z drwiącym uśmiechem, przez wycięte w kominiarce otwory zabójca spogląda prosto w oczy Mirandy. Jego tęczołki mają kolor lodowatego błękitu. Pod lewą brwią znajduje się charakterystyczne znamię.

Zulu zgina palec, zaciskając go na spuście.

Wszystko, co Miranda może zrobić, to wciągnąć ze świstem powietrze. Więc to już!

Jednak zamiast gradu pocisków rozlega się ciche kliknięcie. Miranda mruga. Zulu naciska spust raz za razem, ale rezultat wciąż jest ten sam. Karabin musiał ulec uszkodzeniu, kiedy jego właściciel został rozerwany na strzępy podczas eksplozji kamizelki.

Z pełnym irytacji prychnięciem Zuli chwyta karabin za lufę, najpierw jedną ręką, potem obydwoma. Podnosi go na wysokość ramienia, a potem wysuwa się o krok, robiąc szeroki zamach. Nie spuszcza oczu z Mirandy, ale Grace znajduje się bliżej. Z potwornym, głuchym odgłosem trzon karabinu uderza ją prosto w skroń. Grace chwieje się na boki i przyklęka na jedno kolano. Zulu znowu podnosi broń.

– Niecee! – ryczy Cole. – Zostaw Grace!

W jego ręku nagle pojawiają się nożyczki zabrane ze sklepu Culpeppersów. Jeszcze sekunda i te same nożyczki sterczą z szyi jego brata, dokładnie w miejscu, gdzie szyja styka się z ramieniem. Zulu upuszcza karabin i chwiejnie cofa się o krok, a następnie siada na podłodze, całym ciężarem opierając się o okno wystawowe salonu z meblami.

Grace chwyta niedziałający karabin i kieruje w jego stronę.

Morderca ściąga kominiarkę. Potem jego dłoń wędruje do zadanej nożyczkami rany.

– Nie ruszaj tego, Zach! – krzyczy Cole, ale brat go nie słucha i wyszarpuje nożyczki. Z jego szyi tryska jasnoczerwona fontanna krwi, ale w tym samym momencie jakieś zamieszanie przy wejściu sprawia, że Miranda odwraca głowę w tamtym kierunku. Po drugiej stronie szklanych drzwi stoi armia ludzi w mundurach, kobiet i mężczyzn. Niosą nożyce do metalu i łomy, ale oprócz tego wszyscy bez wyjątku uzbrojeni są w broń palną. Nagle drzwi stają otworem i mundurowi z krzykiem wpadają do środka.

– WSZYSCY STAĆ!

– RZUCIĆ BROŃ!

– RĘCE NA GŁOWĘ!

Miranda natychmiast upuszcza karabin, podobnie jak facet z tunelami w uszach, który wcześniej odebrał broń ochroniarzowi. Javier również odrzuca swój pistolet straszak.

Tylko Grace stoi nieruchomo z zablokowanym karabinem w ręku i gapi się jak urzeczona na Zulu i na tryskającą z jego szyi krew. Nie wykonuje najmniejszego ruchu.

Miranda widzi to, co muszą widzieć gliniarze. Kobieta z automatycznym karabinem w ręku stoi nad ciężko rannym zakładnikiem, jakby zamierzała go dobić.

Jeden z policjantów kieruje w jej stronę broń.

– Rzuć broń! – ryczy na cały głos. – Rzuć broń, natychmiast!

– Grace! – krzyczy Miranda, starając się zdjąć z niej zakłęcie. – Grace!

Ale Grace się nie rusza. Nawet nie mruga.

Miranda widzi, jak policjant spokojnie namierza cel.

– Grace! – krzyczy jeszcze raz.

I wtedy Cole rzuca się pomiędzy Grace a celującego do niej policjanta. I pocisk przeznaczony dla Grace trafia Cole'a. Cole wydaje straszliwy jęk i pada na podłogę, tuż obok swojego brata.

W końcu Grace upuszcza karabin. Osuwa się na kolana tuż obok Cole'a i krzyczy, krzyczy, krzyczy...

# To koniec

godzina 18.27

**T**o koniec. Na rozkaz policji Parker unosi wysoko obie ręce, nie zwracając uwagi na przeszywający ból. Stara się także nie myśleć o tym, że mały palec lewej ręki jest wykrzywiony pod dziwnym kątem.

Dziewczyna w poplamionej krwią bluzce rozpacza nad martwymi lub może tylko rannymi terrorystami, Myszką i jego bratem. Ron nadal leży nieprzytomny.

Brakuje tylko Wilka, o którym nie powinno się zapominać.

Ponieważ on, zamiast podnieść ręce, rzuca się przed siebie. W biegu sięga ręką do swoich pleców i wyciąga coś zza paska. Coś długiego i srebrnego. To rewolwer z przykręconym do lufy tłumikiem, ten sam, z którego zastrzelił jednego z zakładników, kiedy temu zadzwonił telefon. Teraz Wilk podbiega do dziewczyny ze Stanfordu i wrywa jej z ramion Moxie.

Zimny strach jak zaciśnięta pięść dławi serce Parkera, gdy widzi, jak bandyta przystawia rewolwer do głowy jego siostry.

– Parker! – krzyczy Moxie, wyciągając ręce do brata. – Parker!

# Tego już za wiele

godzina 18.27

**T**ego już za wiele, myśli Miranda, spoglądając na Grace zawodzącą nad ciałami Cole'a i jego brata. Dzisiejsza jatka przeszła jej wszelkie wyobrażenia. Już dłużej tego nie wytrzyma. Zwyczajnie nie wytrzyma. Zaciska mocno powieki.

Ale w pewnej chwili, ponad krzykiem i nawoływaniem zakładników oraz rozkazami policji, słyszy przeraźliwy pisk.

Natychmiast otwiera oczy i czuje, jak jej żołądek wywraca się na drugą stronę. Nie, myśli. Boże, proszę, nie! Ja wcale tego nie widzę!

Tuż przed policją stoi jeden z zabójców i lewą ręką trzyma Moxie, mocno przyciskając ją do siebie, drugą zaś wbija rewolwer z tłumikiem pod jej bródkę. Robi to tak mocno, że mała, mokra od łez buzia Moxie jest skierowana prosto w sufit.

Moxie musi wiedzieć, że to prawdziwa broń, ponieważ nie stara się wykręcać ani nie próbuje kopać. Po prostu stoi w całkowitym bezruchu.

Na ten widok Miranda walczy z falą mdłości.

– Moxie! Nie! Moxie! – głos Parkera się łamie. Bezradnie wyciąga ku niej obie ręce. Od siostry dzieli go może dwadzieścia kroków, ale jest oczywiste, że nie odważy się podejść bliżej.

Policjanci najbliżej zabójcy nieruchomieją, czujni. Poruszają się jedynie gałki ich oczu. W miarę, jak bezruch ogarnia coraz szerszy krąg zakładników i ich wybawców, wszyscy zaczynają zdawać sobie sprawę, że horror wciąż trwa.

– Cofnąć się albo zastrzelę dzieciaka! – mówi przywódca terrorystów. Jego głos bez trudu wybija się ponad cichnącą wrzawę. – Macie podstawić mi samochód, a potem umożliwić wyjście stąd.

Nikt się nie rusza. W końcu jeden z policjantów decyduje się przerwać milczenie.

– No dobrze... Możemy o tym porozmawiać.

– Żadnego gadania! – brzmi odpowiedź. – Rób, co powiedziałem.

Przesuwa rewolwer tak, że teraz opiera się o ramię Moxie.

– Dawajcie ten samochód. ZARAZ! Zaraz albo zacznę od tego, że przestrzelę jej rękę albo nogę.

Jeśli pozwolą mu wyjść z dzieckiem, Moxie z pewnością umrze. To jasne jak słońce. Morderca pozbędzie się jej, kiedy tylko przestanie mu być potrzebna, albo mała zginie podczas pościgu. Albo wtedy, gdy policyjny pocisk nie trafi do celu.

Miranda jest pewna, że jeśli Moxie umrze, Parker umrze razem z nią.

Ktoś musi to zatrzymać.

Miranda przypomina sobie, że w kieszeni ma kilka szalików – miały posłużyć do związania terrorysty, którego chcieli wywabić zdalnie sterowanym samochodem. Teraz Miranda wyciąga zwój jedwabiu i obwiązuje jego końce dookoła swoich dłoni. Na szczęście uwaga zabójcy jest skoncentrowana na policjantach znajdujących się przed nim, nie zaś na zakładnikach, którzy zostali z tyłu.

Zanim zdąży lepiej to wszystko przemyśleć, podbiega do mężczyzny od tyłu, nie zwracając uwagi na kawałki szkła wbijające się w jej białe stopy. Zarzuca pętlę na głowę Wilka i z całej siły szarpie do tyłu. On się zatacza i ciężko opada na pośladki, pociągając za sobą Mirandę, która ląduje na kolanach. Kiedy Wilk podrywa lewą rękę, żeby zerwać z gardła dławiący go materiał, Moxie wyrywa się i co sił w nogach pędzi do Parkera. Jednak Wilk nawet na chwilę nie rozluźnia palców zaciśniętych na kolbie rewolweru. Przekręca broń w taki sposób, by strzelić do tego, kto znajduje się za nim. Żeby strzelić do niej. Miranda szarpie końce szala jeszcze mocniej, rozpaczliwie starając się wydusić tlen z płuc terrorysty. Jednocześnie widzi, jak jego palec zaczyna naciskać spust.

Z głuchym szcękaniem rozgrzany kawałek metalu trafia ją prosto w czoło, gryząc dotkliwie. Gorący strumień krwi zalewa oczy.

Po chwili wszystko spowija biel.



# Morderstwa i wzięcie zakładników w Fairgate Mall w Portland okazały się zasłoną dymną dla kradzieży dwudziestu dwóch milionów dolarów

*(Associated Press)*

Portland, Oregon

FBI ujawniło, że cyniczna strzelanina i wzięcie zakładników w Fairgate Mall w Portland w grudniu zeszłego roku były nie tylko wewnętrznym aktem terrorystycznym, lecz także sposobem na odwrócenie uwagi, które umożliwiło złodziejom spokojną ucieczkę z ładunkiem metali szlachetnych, wartych ponad dwadzieścia dwa miliony dolarów. Sprawcy kradzieży nadal pozostają na wolności, zaś skradzionego złota i srebra wciąż nie udało się odzyskać.

W ataku śmierć poniosło dziewiętnaście osób, w tym trzech terrorystów. Kolejne dwadzieścia trzy osoby zostały ranne. Kilka ofiar z powodu odniesionych obrażeń nadal przebywa w szpitalu.

Za zorganizowanie ataku odpowiedzialna jest grupa Liberty Makers, która w przeszłości określała się jako organizacja patriotyczna. Członkowie grupy twierdzą, że obecnie największym zagrożeniem dla Ameryki nie są wrogie kraje islamskiego terroryzmu, lecz rząd federalny. Władze twierdzą, że członkowie tej organizacji są doskonale uzbrojonymi ekstremistami o nastawieniu antyrządowym i konspiracyjnym. Wielu z nich jest – albo było w przeszłości – żołnierzami.

„Czołowe idee tych tak zwanych patriotycznych organizacji mają bezsprzecznie związek z obawami, że elity w naszym kraju i na świecie w nikczemny sposób prowadzą nas w kierunku stworzenia jednego, światowego systemu rządzenia”, twierdzi Mark Goforth z Southern Poverty Law Center.

Przywódcą grupy był charyzmatyczny ekszołnierz piechoty morskiej, Karl McKinley. Wśród jej członków znaleźli się też trzej bracia Bond. Gabriel i Zach Bondowie zostali z honorami zwolnieni ze służby po odbyciu misji w Iraku

i Afganistanie. Ich młodszy brat, Nicolas „Cole” Bond, ukończył ostatnio szkołę średnią. Wszyscy trzej mieli problemy ze znalezieniem pracy, w której wynagrodzenie byłoby wyższe niż wymagana prawem pensja minimalna. Pozbawieni złudzeń zdecydowali się przystąpić do Liberty Makers. Dwaj starsi bracia ostatecznie znaleźli zatrudnienie w ochronie Fairgate Mall. Tutaj pozyskali dla swojej sprawy innego pracownika ochrony, niejakiego Rona Skinnera. Tom Hollingsworth, szósty członek Liberty Makers, który przyłączył się do napadu w centrum handlowym, od dawna figurował w policyjnych kartotekach za pomniejsze przestępstwa takie jak kradzież sklepowa i picie alkoholu w miejscach publicznych. Hollingsworth, podobnie jak Nicolas i Zach Bondowie, zginął w centrum handlowym.

Jednak członkowie organizacji nie mieli pojęcia, że McKinley od dawna nie wierzy w głoszone przez siebie idee. Nawet w okresie, gdy zakładał grupę ekstremistów, nie wierzył, że uda mu się zmienić społeczeństwo, zdecydował się jednak wykorzystać Liberty Makers do własnych celów. Pozyskał informacje o transporcie sztabek złota i srebra, które miały znajdować się w ładowni ciężarówki naczepowej jadącej z Boise w stanie Idaho do zakładów przemysłowych w Vancouver w stanie Washington. Postanowił obrabować ciężarówkę, lecz potrzebował jakiegoś wydarzenia, które odwróciłoby uwagę służb od napadu i pozwoliłoby mu ujść z łupem.

Atak na Fairgate Mall był takim właśnie wydarzeniem. McKinley zdołał przekonać swoich współtowarzyszy, że błyskawiczna akcja w centrum handlowym, połączona z wzięciem zakładników, zapewni ich sprawie szeroki rozgłos.

Plan McKinleya zadziałał. W czasie, gdy zgłoszono kradzież cennych kruszców, wszystkie jednostki policji znajdowały się sto pięćdziesiąt kilometrów dalej, zaangażowane w akcję w Fairgate Mall. Interwencja w sprawie rabunku, nawet przedmiotów o tak znacznej wartości, musiała zostać odłożona na później.

W ciągu tygodni, które upłynęły od ataku, policji nie udało się namierzyć McKinleya ani żadnych współpracowników, których mógł mieć, więc istnieje obawa, że przestępca zdołał zbiec z kraju. Dwaj terroryści, którzy przeżyli atak w Fairgate Mall – Ron Skinner i Gabriel Bond – twierdzą, że nie wiedzą nic na temat planów McKinleya ani nie wiedzą, gdzie on obecnie przebywa.

# Razem możemy coś zmienić

godzina 15.53

Pięć miesięcy później

**M**iranda ujmuje w obie ręce tekturową tacę z Perk Me Up, a potem oddycha głęboko i śmiało wkracza w otwartą przestrzeń strefy restauracyjnej Fairgate Mall. Wszystko wygląda dokładnie tak samo, jak pięć miesięcy temu, zanim zaczęła się strzelanina. Tak samo jak wtedy ludzie jedzą, rozmawiają, zerkają na telefony, niosą torby z zakupami, pospiesznie wchodzą do sklepów bądź z nich wychodzą. Jedynie bożonarodzeniowe piosenki zastąpiła bardziej neutralna muzyka. W przeblysku pamięci Miranda widzi kobietę z dzwonkiem i slogan na jej kociołku: „Razem możemy coś zmienić”.

Wspomnienia niosą ze sobą też inne obrazy: widok nieruchomych ciał, kałuże krwi, potłuczone szkło i przewrócone krzesła. Znowu widzi, jak Gabriel Bond sunie ruchomymi schodami, niespiesznie podnosząc broń, żeby zastrzelić ranną kobietę, która leży u jego stóp. Czuje smród dymu, woń chemicznego proszku z gaśnicy i odór własnego strachu, zaś w jej uszach rozbrzmiewa huk wystrzałów, pisk alarmu przeciwpożarowego, wrzaski i eksplozje.

Jest tutaj po raz pierwszy od chwili, gdy ratownicy wynieśli ją na zewnątrz, i musi zebrać całą siłę woli, by spokojnie skierować się do stolika, przy którym czekają na nią Javier, Amina, Parker i Grace.

Cała piątka przez ostatnie miesiące utrzymywała ze sobą luźny kontakt, głównie poprzez esemesy. Osobiście spotykają się po raz drugi od tamtego okropnego dnia. Pierwszy raz miał miejsce parę dni po Nowym Roku, kiedy zostali uhonorowani przez burmistrza za pomoc w zakończeniu tego, co zostało określone mianem Oblężenia Fairgate. Zdaniem Mirandy to brzmi nieco średniowiecznie, jakby to, co się wydarzyło, miało związek z murami zamku, wrzącym olejem i głowami zatkniętymi na lancach. Zresztą może tak było, tylko w bardziej współczesnej wersji.

Przy wtórze podziękowań Miranda stawia swoją tacę obok dwóch czerwonych róż, owiniętych w zielony papier, które leżą przed Grace.

Javier sięga po czarną kawę, a Amina odnajduje na tacy swoją miętową herbatę. Grace bierze swoją kawę, zaś Miranda, podobnie jak Parker, zamówiła latte. Podnosząc swój kubek, Parker obdarza Mirandę szerokim uśmiechem.

Chociaż Parker jest tą osobą, z którą Miranda kontaktuje się najczęściej, nadal nie bardzo wie, jak ma nazwać łączące ich stosunki. Przebywanie w jego towarzystwie przypomina jej o tym, co w niej najgorsze i najlepsze zarazem. O tym, jak dalece zmieniła się od tamtego popołudnia, spędzonego w piwnicy jego domu. Jednak zdarza się, że nie ma ochoty przypominać sobie, kim wówczas była ani przez co przeszła.

– Zupełnie jakby nic nigdy się tu nie wydarzyło – mówi na głos, rozglądając się dookoła.

– Nawet nie ma tabliczki – przytakuje Amina, odpinając od bluzki plakietkę z logo sklepu Culpeppersów.

Parker wzrusza ramionami.

– No cóż, nigdzie nie jest powiedziane, że po czymś takim powinni zburzyć całą galerię i zbudować ją od nowa.

Ten temat przerabiali z Mirandą od samego początku, jeszcze w szpitalu, kiedy jej tata powiedział, że zarząd centrum handlowego planuje wkrótce ponowne otwarcie.

Wszyscy spędzili wówczas noc na tym samym oddziale. U Grace zdiagnozowano wstrząśnienie mózgu. Javier przeszedł zabieg, podczas którego oczyszczono i zszyto jego rany. Parker na skutek pobicia, którego dokonali zmuszeni do tego inni zakładnicy, miał złamany nos, palec i dwa żebra. Oprócz tego doznał pęknięcia kości ogonowej, kiedy poślizgnął się i upadł. Nawet Amina została hospitalizowana, tak na wszelki wypadek.

Choć Miranda była przekonana, że umiera albo ślepie – albo obie rzeczy naraz – po badaniu wyszło na jaw, że pocisk wystrzelony przez Gabriela Bonda zaledwie drasnął skórę na jej głowie. Gdyby trafił o centymetr niżej, uszkodziłby mózg, i Miranda była przekonana, że tak właśnie się stało, bo krew zalewająca jej oczy wywołała czasowe kłopoty ze wzrokiem.

W karetce wciąż pytała ratowników, czy umiera, i wciąż słyszała tę samą odpowiedź, że nie, ale sądziła, że to fałszywa pociecha, którą zwykle słyszy ten, kto naprawdę za chwilę opuści ten świat.

A jednak zapewnienia ratowników okazały się prawdziwe. Po oczyszczeniu oczu Miranda odzyskała zdolność widzenia. Przed zszyciem rany lekarz musiał jej ogolić sam czubek głowy, zostawiając odkryte miejsce o szerokości pięciu centymetrów. Teraz, po pięciu miesiącach, zarosło już krótkimi włosami.

Miranda potrząsa głową, jakby chciała odgonić nieprzyjemne myśli. Odwraca się

do Grace.

– Podoba mi się twój nowy look.

Grace ma na głowie jasnobłękitnego boba. To oczywiście peruka, ale wybór wydaje się szczęśliwy. I może rzeczywiście taki jest.

– Doszłam do wniosku, że niby czemu mam się wstydzić? – uśmiecha się Grace. – Poza tym zawsze chciałam mieć niebieskie włosy.

Wygląda na zdecydowanie zdrowszą niż wtedy, kiedy ukrywali się na zapleczu sklepu. Jej buzia się zaokrągliła, a na policzkach pojawiły się rumieńce.

– Podobno po chemioterapii włosy mogą odrosnąć zupełnie inne, to znaczy mogą być innego koloru albo kręcone, jeśli wcześniej były proste, lub na odwrót. Pomyślałam, że kiedy już przyzwyczaję się do niebieskich włosów, żadna odmiana mnie nie zaskoczy. – Bierze głęboki wdech. – Wybaczcie mi na chwilę, okay?

Podnosi ze stołu obie róże i odsuwa krzesło. Pozostali obserwują w milczeniu, jak Grace idzie w kierunku tej części holu, w której zamknięto zakładników. Pochylając się, kładzie jedną różę w miejscu, gdzie Cole przyjął kulę przeznaczoną dla niej. Kilka osób przygląda się temu z zaciekawieniem, lecz w ogólnym pośpiechu większość niczego nie zauważa. Po chwili Grace odwraca się i wędruje z powrotem ku restauracji, tam gdzie leżało ciało jej mamy. Teraz przykłęka na kolanie, zamyka oczy i trwa tak przez dłuższą chwilę.

Kiedy wraca, Javier odzywa się jako pierwszy.

– Przykro mi to mówić, Grace, ale ktoś zaraz zgarnie te kwiaty i wrzuci je do kosza. Zapewne zrobi to chłopak, którego przyjęto na moje miejsce. Kierownictwo nie lubi, kiedy ktoś przypomina ludziom o wydarzeniach, które tutaj miały miejsce.

Zanim centrum handlowe zostało ponownie otwarte, właściciele urządzili międzywyznaniową ceremonię, na którą zaproszono przedstawicieli różnych religii, od katolickiego księdza po miejscowego szamana. Modlitwy zostały odmówione, ziele spalone. A potem zaczęły się zakupy.

Tuż po strzelaninie zarząd centrum handlowego zwolnił Javiera, wyjaśniając, że nikt nie miał pojęcia, że Javier przebywa w Stanach nielegalnie. Po nagłośnieniu sprawy na portalach społecznościowych – głównie dzięki Parkerowi – Javier został przyjęty z powrotem, i to nawet na lepsze stanowisko.

Grace się krzywi.

– Mogą udawać, ile chcą, że nic tu się nie wydarzyło, ale to im się nie uda. Nikomu z nas się nie uda. To, co stało się tamtego dnia, pozostanie w nas na zawsze.

Jej oczy wilgotnieją.

– Przynajmniej ja wciąż żyję, żeby pamiętać. Na początku zastanawiałam się, dlaczego akurat moja mama musiała umrzeć, skoro to ja jestem chora. Chodzę na terapię, żeby się uporać z obiema tymi sprawami, i terapeutka pomogła mi już prawie całkiem pozbyć się poczucia winy. Poza tym mam jeszcze tatę i siostrę, i mnóstwo przyjaciół, żeby z nimi rozmawiać. Ale oni nie rozumieją mnie tak dobrze jak wy. Cole zabił moją mamę... A potem ocalił mi życie. Wciąż staram się zrozumieć, jak jedna osoba mogła zrobić dwie tak różne rzeczy.

– Według mnie trudno mu było znieść myśl, że całe lata mógłby spędzić w więzieniu – odzywa się Miranda. – Pewnie doszedł do wniosku, że śmierć jest lepszym wyjściem.

– Uważasz, że Cole naprawdę przewidział, co się wydarzy? – Parker wydaje się pełen wątpliwości.

Amina wyciąga rękę i ujmuje dłoń Grace.

– Widziałam jego twarz, kiedy to zrobił. On chciał cię uratować. Nie mam pojęcia, czy wiedział, że zginie, ale to nie umniejsza jego czynu.

– Nadal jest typem faceta, który uważał, że zabijanie ludzi jest w porządku – mówi Parker.

Parkerowi łatwo jest widzieć Cole'a wyłącznie w czarno-białych barwach, myśli Miranda. On nie siedział z nimi w ukryciu na zapleczu sklepu. Nie słyszał, jak Cole opowiada o wydarzeniach, które ukształtowały jego postawę i stosunek do świata. Czy naprawdę to, jakim był człowiekiem, wynikało z okoliczności, w jakich przyszło mu żyć? To stwierdzenie mogło zanegować wszystkie złe i wszystkie dobre rzeczy, których dokonał.

– Cole był rasistą – odzywa się Javier. – Lecz mimo to uratował mnie przed wykrwawieniem się na śmierć. Obie te rzeczy są zgodne z prawdą.

Przez minutę cała ich piątka siedzi pogrążona w milczeniu.

W końcu Miranda nachyla się do Javiera.

– No i jak ci leci w tej nowej pracy?

Javier przesuwa palcami po swoich krótkich czarnych włosach.

– To stanowisko nazywa się inżynier do spraw konserwacji, ale tak naprawdę zajmuję się systemem ogrzewania i chłodzenia. Teraz myślę o tym, żeby pójść do college'u, żeby w przyszłości być prawdziwym inżynierem. Tata Aminy pomógł mi znaleźć prawniczkę, która zajmuje się sprawami imigrantów. – On i Amina wymieniają uśmiechy. – W dodatku robi to pro bono, czyli bez wynagrodzenia. Zapewnia, że mogę dostać specjalną wizę, jeśli będę zeznawać w procesie tych morderców, i dzięki wizie będę tutaj legalnie.

Amina spogląda na Parkera.

– A jak tam twoja siostra, Parker? Co słyhać u Moxie?

Parker wygrzebuje z kieszeni telefon i podaje wszystkim po kolei, żeby mogli popatrzeć na jej zdjęcie. Moxie z szerokim uśmiechem pokazuje dziurę po przednim zębku.

Przez twarz Grace przemyka cień.

– Śliczna dziewczynka – mówi, a Miranda zastanawia się, czy Grace myśli o tym, że kuracja przeciwnowotworowa może spowodować u niej bezpłodność. – Czy czasem wraca do tego, co się wydarzyło?

Parker wzrusza ramionami.

– Moi rodzice zmusili nas, żebyśmy poszli na terapię, ale jeśli chodzi o Moxie, to chyba w większości spłynęło to po niej jak woda po kaczce.

Miranda wie, że w wypadku Parkera sprawa wygląda całkiem inaczej.

– Tata chce, żebym opowiadał tę historię, by koledzy mieli supertemat na wypracowania. – Wypuszcza powietrze przez zaciśnięte usta, jednocześnie spoglądając na swoje zwinięte w pięści dłonie. – Według mnie to nie w porządku – dodaje.

– I tak wszyscy bez przerwy o to pytają – mówi Amina. – W sumie więc można zrobić z tego jakiś użytek.

Dotyka szala, który szczelnie zakrywa jej włosy.

– Ludzie bez przerwy się na mnie gapią, i to nie tylko w sklepie Culpeppersów. Połowa z nich pyta, czy jestem tą dziewczyną, o której pisano w gazetach, a pozostali wyzywają mnie od terrorystek albo każą wracać do mojego kraju. Zupełnie jakby nie można było być jednocześnie muzułmanką i Amerykanką.

– Widocznie zapomnieli, że ci, którzy dokonali zamachu, urodzili się w Ameryce. – Javier wykrzywia usta.

Miranda nagle orientuje się, że mówi na głos coś, co chodziło jej po głowie od kilku miesięcy:

– Czasami myślę, że oni nie byli tak całkowicie w błędzie, jeśli chodzi o pewne sprawy.

Macha ręką w stronę tłumu przelewającego się przez centrum handlowe.

– Nie może być tak, że w życiu najważniejsze jest kupowanie. Nasze priorytety w pewnym sensie zeszły na psy.

– Ale ich priorytety wcale nie były lepsze! Same teorie spiskowe! – Grace porusza

się na krześle, jakby przypomniawszy sobie rozmowę z Cole'em i to, że częściowo przyznała mu rację. – Zabijać ludzi, żeby zwrócić na siebie uwagę? Weźcie na przykład tego McKinleya! Facet udawał, że chodzi mu o jakieś idee, podczas gdy jedyne, czego chciał, to miliony dolców w złocie.

Karl McKinley, którego terroryści nazywali Kilo, nadal pozostawał nieuchwytny. Miranda doszła do wniosku, że z taką ilością złota facet mógł kupić sobie dowolną fałszywą tożsamość. I zapłacić każde pieniądze za operację plastyczną, żeby upodobnić się do zdjęcia w nowych dokumentach.

– Więc według ciebie jakie powinny być nasze priorytety? – pyta Javier.

– Może to zabrzmie ckliwie i staromodnie, ale moim zdaniem wszystko sprowadza się do miłości – mówi powoli Miranda. – Trzeba kochać ludzi. Robić to, co się kocha.

Miranda dołączyła w szkole do grupy Anonimowych Narkomanów i rozważa zostanie terapeutką, kiedy będzie starsza. Może uda jej się pomóc ludziom odkryć, jak można wypełnić dziurę we własnej duszy, nie zapychając jej tabletkami, jedzeniem czy alkoholem.

Od sąsiedniego stolika, przy którym siedzi grupka kobiet w średnim wieku, wstaje jakaś babka w różowym golfie. Z wahaniem zbliża się do nich.

– To wy jesteście tymi dzieciakami, zgadza się? – pyta. – Tymi, które pokonały terrorystów?

Spogląda na nich łapczywie. Miranda czuje, jak jej żołądek zwija się w węzeł.

Z każdym mijającym dniem ich powszechnie znana historia staje się coraz prostsza. Cole wcale nie był ich kumplem, zaś pozostali zakładnicy – nie wyłączając kobiety, którą Parker nazwał Szpilką – nawet nie próbowali stawiać oporu. Sytuację uratowała grupa dzielnych nastolatków.

W końcu Miranda potakuje głową.

– Dziękuję wam – mówi uroczyście nieznajoma i odchodzi, Miranda zaś stara się nie zwracać uwagi na wpatrzone w nią spojrzenia pozostałych czterech pań, na ich trącanie się łokciami, teatralne szepty i robione ukradkiem zdjęcia.

– No dobrze, Mirando, a co u ciebie? – pyta Grace. – Jak sobie radzisz?

Miranda przez chwilę zastanawia się nad odpowiedzią. Spotyka się z tatą częściej niż przedtem. Mama nabrała zwyczaju obejmowania jej mocno i stara się rozmawiać z nią o rzeczach, które zdaniem Mirandy dotyczą dorosłych. W szkole dostaje zdecydowanie lepsze stopnie. Od tamtego wieczora, kiedy zdarzył się zamach, nie widziała Matthew ani nie rozmawiała z nim.

– Nie biorę Oxy, jeśli o to chciałaś zapytać. To nie było łatwe.



Przyznała się do uzależnienia jeszcze w szpitalu, kiedy nie pozwoliła, żeby lekarze podali jej jakiegokolwiek lekarstwo, nawet Avil.

– Najgorsze chwile odwyku przeszłam tutaj, w Fairgate Mall, kiedy siedzieliśmy razem na zapleczu sklepu – oznajmia.

– Na pewno by się nam nie udało, gdybyśmy nie starali się pomóc sobie wzajemnie. – Grace kładzie chłodną dłoń na dłoni Mirandy. – Po prostu musieliśmy tego dnia być razem.

Wtedy Javier, Amina i Parker po kolei dołączają do nich, aż piramida w końcu osiąga wysokość pięciu dłoni.

## Od autora

*Uciekaj, ukryj się, walcz* opowiada o czymś, co budzi w ludziach ogromny strach: o snajperze w miejscu publicznym i/albo ataku terrorystycznym (w tym wypadku dwa w jednym). Czy w ogóle istnieje ktoś, kto nigdy nie zastanawiał się, co by zrobił w takich okolicznościach? Bo są rzeczy, które można zrobić, jeśli kiedykolwiek znajdziemy się w podobnej sytuacji. Prawdę powiedziawszy, tytuł powieści został zainspirowany filmem *Texas Homeland Security*, zatytułowanym *Uciekaj, ukryj się, walcz*. Właśnie tam znajdują się praktyczne wskazówki, jak należy się zachować.

Trzydzieści pięć lat temu mój ojciec, który był okręgowym komendantem policji w stanie Oregon, otrzymał list z groźbą śmierci od skrajnie prawicowej grupy o nazwie *Posse Comitatus*. To obudziło moje zainteresowanie antyrządowymi organizacjami o charakterze terrorystycznym, takimi jak *The Order*, *Timothy MacVeight* i całkowicie wyimaginowanymi zbrodniarzami, których napotkacie w tej książce. Niektórzy przedstawiciele władz federalnych i lokalnych traktują zagrożenie ze strony powstających na terenie kraju organizacji co najmniej tak samo poważnie jak zagrożenie ze strony *ISIS* i innych obcych islamskich organizacji terrorystycznych.

*Bill Krieg*, porucznik z patrolu w *Appleton Police Department* w Wisconsin i instruktor taktyk obronnych w *Fox Valley Technical College*, pomagał mi, kiedy głowiłam się, starając się wymyślić początkowy wątek – i nawet pokazał mi, jak używa się narzędzia ratowniczego typu *Halligan*. Spotkaliśmy się we *Writers Police Academy*, prowadzonej przez weterana policyjnej grupy śledczej *Lee Loflanda*. *Wolontariusz z Multnomah County Sheriff's Office Search and Rescue*, *Jake Keller*, był jak zawsze nieocenionym źródłem informacji. *Robin Burcell*, była policjantka i autorka na swoich własnych prawach, odpowiedziała na ogromną liczbę pytań, zaczynających się od „Co, jeśli”, zaś *Joe Collins*, ratownik medyczny i strażak, który odbył szkolenia według rozmaitych scenariuszy, z atakiem na centrum handlowe włącznie, dał mi kilka sprytnych wskazówek. *Joe* także odpowiadał na moje pytania dotyczące broni palnej, jak również wytłumaczył mi, jak należy opatrywać rany postrzałowe, jeśli nie ma dostępu do apteczki. Odbyłam również fascynujące zajęcia z *Mikiem Mortonem*, specjalistą od bezpieczeństwa i byłym komandosem z zespołu antyterrorystów, w jaki sposób można poradzić sobie w przypadku spotkania ze snajperem.

*Elisabeth Bunga*, ekspert planowania przestrzennego z *City of Lake Oswego*,

pomogła mi pojąć zasady obowiązujące przy rozmieszczaniu obowiązkowej liczby wyjść ze sklepów w galerii handlowej. Mark Berger, przewodniczący i główny urzędnik do spraw produkcji w Securitech Group Inc., pomógł mi dowiedzieć się, jak otworzyć drzwi, które powinny być zamknięte, i jak zamknąć te, które powinny być otwarte. Krys Jeffrey, kierownik zespołu pracowników ochrony w Portland's Galeria Target, zaznajomił mnie z sekretnym światkiem złodziei sklepowych. Trener Chris Bauer, posiadacz brązowego pasa w brazylijskim jiu-jitsu, który pomógł mi udoskonalić moją technikę, podsunął mi chwyt zapasnicze, które mogłyby zostać wykorzystane w niektórych scenach.

Choć trudno mi w to uwierzyć, to już moja dwudziesta druga książka, która powstała we współpracy z tą samą agentką, Wendy Schmalz.

Christy Ottaviano, mój wydawca, jak zwykle dopilnowała, żeby książka wyglądała najlepiej, jak to możliwe. Jessica Anderson wie, jak tego dokonać. April Wards projektuje moje zdumiewająco piękne okładki. Amanda Mustafic nie tylko nosi najfajniejszą grzywkę, ale także potrafi koordynować wydarzenia w sześciu stanach jednocześnie. Pozostali cudowni ludzie w firmie Henry Holt to: Lucy Del Priore, Melissa Croce, Katie Halata, Lara Stelmaszyk, Jennifer Healey, Molly Ellis, Allison Verost i Mark Von Bargaen.